

Michał Jonakowski

SYGNAŁ CZASU

Historia pewnego phreakera.

Od Autora.

Opisane w tej książce zdarzenia miały miejsce naprawdę. Niektórzy z ich uczestników twierdzą, że są tu nieco podkoloryzowane. Opisuję jednak prawdziwe sytuacje i to nie tylko dotyczące phreakingu. To moja młodość. Bywała smutna i nudna, ale też pełna radości i fascynujących zdarzeń. W każdym bądź razie, nie przesiedziałem jej na murku z puszką piwa w dłoni, plując przed siebie - jak określił to jeden z moich kolegów.

To właśnie moi koledzy i przyjaciele wraz ze mną tworzyli ten świat.

Fascynujący świat przygody ze wszelkimi zakazanymi owocami łączności i elektroniki.

Główno, lipiec 1978 roku. Pracowniczy dom wypoczynkowy.

Zgraja dzieciaków rozbiegła się po korytarzach „strzelając” z patyków do „Niemców”. Film „Czterej pancerni i pies” szedł właśnie w telewizji, co powodowało że większość zabaw odbywała się właśnie „w wojnę”.

Rodzice rozlokowywali się w pokojach. Jeden z chłopców powoli wchodził samotnie po schodach. Jak zwykle ostatni...

Lecz jego smutne oczy spjrzały na niewielki parapet nad grzejnikiem, na którym stał aparat telefoniczny.

Nieco dziwny, bo bez tarczy, ale za to z korbką u boku. Takich aparatów chłopiec dotąd nie widział.

Ostrożnie podniósł słuchawkę oczekując jakiegoś sygnału.

Po chwili jednak, zamiast sygnału w słuchawce odezwała się kobieta.

- Słucham - głos był jakby nieco natarczywy i nie spodobał się chłopcu.
- Halo - odpowiedział zastanawiając się na razie, co będzie dalej.
- Przestań się gówniarzu bawić tym telefonem! - wrzasnęła słuchawka. Chłopiec rzucił ją jak oparzony i pobiegł do swego pokoju.

Następnego dnia, gdy z dziadkami schodzili do stołówki, chłopiec mruknął do opiekunów:

- Ten telefon jest niedobry.
- Czemu?
- Jakaś pani krzyczy...

Schodzili dalej po schodach, ale chłopiec wciąż patrzył i patrzył w aparat. Kiedyś pogadamy...

Warszawa - Bielany, osiedle Piaski, 15 Marca 1995 roku, godzina 21:30

Dwudziestojednoletni chłopak z włosami upiętymi w kitkę, sięgającymi mu aż za łopatki, opierał bosc stopy na poprzecznej desce, spajającej pod blatem cepeliowski stół.

Był zadowolony. Właśnie poprzedniego dnia jego matka wyprowadziła się do nowego mieszkania wraz z dziadkiem i trzyletnią siostrzyczką.

Został „na swoim”. 40 metrowe dwupokojowe mieszkanie na parterze, wymagało remontu ale było jego.

Chłopak kończył pisać „część teoretyczną” do swej pracy dyplomowej.

Temat wybrał sam i to dość ambitny. Miał mianowicie zrobić działające łącze światłowodowe z dwoma aparatami, przez które można by rozmawiać. Oczywiście miała być przesyłana pełna sygnalizacja, a algorytm miał umożliwiać wygodne i bezproblemowe korzystanie z tego pełno-dupleksowego interkomu. Całość układu własnego pomysłu już zmontował i uruchomił. Dwa stare telefony "na tarczę" posłużyły tylko jako obudowy.

Teraz kończył pisać „wersję papierową”, czyli to co w polskim szkolnictwie od podstawówki po uniwersytet jest najważniejsze.

W kącie pokoju, na służącej nie wiadomo do czego, zdjętej, wiszącej w zamierzeniach projektanta, szafce kuchennej, stało radio na baterie. Szafka stała w kącie niczym Kolumna Zygmunta i w zasadzie służyła jedynie za podpórkę tylko pod owo radyjko. Chłopak pisał, a radio ustawione na program pierwszy na falach długich, grało polskie współczesne lub nieco tylko starsze kawałki.

„Niezwykłem... dotykać cię... jak ogień...” - z cichutkim gwizdem nadawał Raszyn.

Gabin już dawno się zawalił, a Solec jeszcze nie powstał. Raszyn a właściwie Radiowe Centrum Nadawcze w Łazach pod Warszawą, miało w nadajniku podarowanym przez rząd Szwajcarii mały feler. Feler pogwizdywania w takt mowy czy muzyki. Ledwo to było słyszalne, ale było to "zakłócenie" już nadawane przez sam nadajnik.

„Dotykać cię...”.

Chłopak odłożył długopis.

Dotykać...

Nie miał kogo TAK dotykać. Dziewczyny ciągle nie miał, mimo swych 21 lat.

Wyrósł z patologicznej rodziny, z ciągłego strachu i ciągłych kompleksów.

Tak bardzo chciałby kogoś TAK dotykać...

„Przerzutnik monostabilny z progiem zadziałania...”

- I co? Czy teraz moje życie się odmieni?

„Zbudowany na tranzystorach T34 i T35...”

- Czy tam chodzi po ziemi, gdzieś moja druga połówka?

Myśli uparczywie wracały do tego, do czego już dojrzewał.

Do prawdziwej miłości na całe życie.

Dojrzewał do tego, a nie przeżył nawet „szaleństw młodości”.

Radio zatrzeszczało, bo sąsiad zza ściany zapalił widocznie gaz na herbatę, elektryczną zapalarką.

O właśnie – sam bym się napił.

Chłopak wstawił pełny czajnik.

Lubił pić zimną przegotowaną wodę, więc korzystając z ciągnącej się latami awarii gazomierza, polegającej na tym, że ten zaczynał działać dopiero po przekroczeniu pewnego poboru i nigdy nie liczył, gdy działał tylko jeden, nawet największy palnik – wstawiał zawsze pełne czajniki wody.

Po wyprowadzeniu się matki, używał w zasadzie tylko tego jednego palnika i, jak miało się okazać, oficjalnie przez lata nie zużył ani metra sześciennego gazu.

Nawet kontrole przychodziły, ale te zawsze zapalały wszystkie palniki na raz i wtedy gazomierz liczył.

Woda zaczynała powoli szumieć, a w radiu śpiewał Andrzej Zaucha.

Chłopak nie znał tej piosenki.

„Byłaś serca biciem... wiosną, zimą, życiem, marzeń moich echem... winem, wiatrem śmiechem...”

Uff....praca dyplomowa zaliczona.

Razem z Jasiem szli z Technikum Elektroniczno-Hutniczego ku pętli tramwajowej.

- No więc co pierwsze odjeżdża?
- Chodź lepiej na przystanek, bo tu wsiądziesz w 22, a odjedzie 33 albo 29 i będziesz siedział jak głupi.

„Nie lubię ludzi” - napisał ktoś sprayem na wiacie.

- O! Jedzie 22.

Obydwoje wsiedli do drugiego wagonu.

Jasio zaczął się śmiać.

- Z czego się brechtasz?
- Zobacz...

Spojrzałem na tylną ściankę za nieużywaną "kabiną".

Ktoś namalował piękną kobietę. Nagą. I chyba ze znawstwem anatomii...

- Jakiś „badacz” - zaśmiał się Jasio.
- No i młodsza kadra też ma tu swój kawałek: „G I Joe mają wpierdol”. Podpisane „Transformers”, przeczytałem ze zdumieniem.

Wagon był pusty.

Wsiadłem więc do nieużywanej kabiny, która dość łatwo dała się otworzyć kluczem od klatki schodowej użytym jako wkrętak.

Rozsiadłem się w fotelu.

Jasio już się trząsł ze śmiechu.

Otwarty był panel sterowania.

Przełączyłem przełącznik.

DZWONEK!

Jasiu zwija się ze śmiechu.

- Jasiu, to co? Wyprzedzamy?

Wrzuciłem lewy migacz i dzwonię.

Pierwszy wagon był prawie pusty, i widzę przerażone oblicze motorniczego w kabinie, gapiące się w lusterko. Wtedy jeszcze łączności radiowej w tramwajach nie mieli, a młodzieży w grupie bali się bardzo.

Co prawda nasza grupa to tylko dwie osoby, ale motorniczy wyglądał chuderlawo. Otworzyłem boczne okienko.

Motorniczy przyspieszył.

Moje pedały były odłączone i nie działały.

Prosty odcinek pomiędzy Hutą a ulicą Wólczyńską, biegnący wtedy właściwie skrajem ugoru, pozwolił motorniczemu na rozpędzenie składu do 60km/h.

Zaczęliśmy zrównywać się z budowlaną ciężarówką.

Na końcu drogi, tory skręcały gwałtownie w lewo i przecinały drogę ciężarówce.

Jak widać nasze wyczyny zdopingowały motorniczego. Zaczął ścigać się z ciężarówką.

- O cholera, nadepnąłeś mu na ambicję – powiedział Jasio – on się tam wykolei na tym zakręcie.

- Chyba trochę zwalnia...

Faktycznie skład zwolnił, ale ciężarówka i tak ostro hamowała. Pierwszy wagon przeleciał tuż przed nosem kierowcy.

No więc ja wychyliłem się z okienka drugiego wagonu i zdumionemu szoferowi wykrzyczałem machając pięścią:

- Jak jeździsz baranie!

Pierwszy raz widziałem rozdziawioną ze zdziwienia gębę w naturze...

Pani „profesor” od elektroniki nie miała za grosz poważania u uczniów. Nie były to jednak czasy zakładania na głowę nauczycielowi kosza na śmieci.

Panowała więc raczej „luźna” atmosfera, przy czym poziom luzu podlegał litościwej samokontroli uczniów.

- No to wyciągamy karteczki – powiedziała ochryple acz niepewnie.

Nachyliłem się do swej torby.

Ustawiłem na swoim Icomie częstotliwość 337,175 MHz wiedząc że warszawski STOEN (zakład energetyczny), który wówczas tam pracował, ma po pierwsze potężny sygnał a po drugie dość miłe dla ucha selektywne wywołanie brzmiące jak melodyjka.

Ustawiłem częstotliwość, ale zapomniałem że głośność jest ma maksimum.

- No to wycią...

„Tiurururu” zabrzmiała echem po klasie melodyjka selektywnego wywołania, po czym rozległ się tubalny głos: „zamknąć beznapięciowo odłącznik na kierunek Bajana-Pawilon”. Przez salę przetoczył trzask zamykanego squelcha.

- Pani profesor – zaczął konfidentycznie z uśmiechem „Ignac” Ignaczewski.

Cała klasa miała już kpiące uśmiechy.

- Mamy szpiega w klasie! On przez radio fotografuje, notuje i raportuje...

- Do kuratorium!

Śmiech.

- Michał, czy mógłbyś wyłączyć radiostację. Wyjmujemy karteczki.

W domu miałem jedno ogólne zajęcie przez cały czas trwania edukacji w technikum.

Byłem krótkofalowcem.

Jednym z pierwszych z „nowej fali”, z licencją zrobioną po komunie.

„Stara gwardia” nie bardzo była zadowolona z „liberalizacji” przepisów.

Najpierw nie pasowało im to, że „teraz każdy może mieć łączność radiową na przykład CB radio”.

Bardzo ich to bolało.

Nie byli już wybrańcami społeczeństwa i pieszczochami władzy ludowej. Był taki sort po stanie wojennym – krótkofalowców donosicieli. Donosili na kolegów, że ci w łącznościach zagranicznych prosili o lekarstwa dla chorego syna sąsiada czy w innych „nagannych” przypadkach. Mieli się „orientować”, kto może potrafić budować nadajniki dla Radia Solidarność i ogólnie była to najgorszego gatunku grupa wzajemnej adoracji, żyjąca wspomnieniami „lepszyc czasów”.

Ci najbardziej dawali odczuć mi, a potem moim kolegom, że „skoro przyszliscie z >>Cymbał Radia<< to w ogóle powinniście siedzieć cicho.” „Słuchać mądrzejszych”, a w ogóle to ukrywać „wstydlivy epizod” z czasów aktywności na CB.

Ja się na to nie godziłem.

Ale przez pierwsze lata przygryzałem wargi.

Czara goryczy przelała się w 1996 roku.

Licencję II kategorii zrobiłem pod koniec roku 1992. Namówiłem na egzamin kolegę z mojej poprzedniej szkoły, z zawodówki przy ulicy generała Zajączka.

Na początku rozmawialiśmy tylko ze sobą na „nowym” paśmie.

Jakieś pół roku po naszym pojawieniu się jako krótkofalowców, ujawniła się tajemnicza piracka stacja nazwana „bekaczem”. Człowiek ten w zasadzie bekał lub mówił różne prowokacyjne teksty „bekającym” głosem, nie pozwalając na identyfikację. Nie można było rozpoznać jego głosu i nawet gdyby był to ktoś znany na przykład w środowisku CB, to wiedział co robi. Pozostawał nierozpoznany.

W tym też czasie „stara gwardia” „jeździła” po nowych krótkofalowcach jak po łysej kobyle. Pouczała bez ustanku i bez potrzeby. Na każdym kroku dawała odczuć swą wyimaginowaną wyższość.

Bekacz był pierwszym, który im dał odpór.

Jeden raz powiedziałem zdanie w stylu: „no to teraz macie >>porządek<< na pasmie – przyjdzie bekacz i wyrówna – dobrze wam tak, za to co robicie w stosunku do nas”.

To wystarczyło bym został okrzyknięty bekaczem.

„Skoro chwali, to znaczy, że to on beka” – wyszli z dziecinnego założenia.

Akurat przyszła jesień.

Pierwsza jesień po zdaniu matury no i pierwsza jesień bez nauki w szkole.

Po 15 latach chodzenia do różnorakich szkół – zakończyłem tę pasjonującą przygodę z wysuniętymi placówkami Ministerstwa Edukacji Narodowej.

Człowiek czuł się taki trochę zagubiony.

Czym zappełnić czas ?

Czy wybrać jakieś studia ?

Wraz z Marcinem, przyjacielem jeszcze z zawodówki, wybraliśmy się jak każdej pięknej złotej jesieni, na całodzienną wycieczkę do Puszczy Kampinowskiej.

Uwielbiam Puszczę jesienią.

Szurając opadłymi złotymi liśćmi, szliśmy tak sobie „w trasę”, która nie raz kończyła się powrotem do Truskawia późną nocą. Tu była pętla autobusowa lub właśnie tu zostawialiśmy mój samochód.

Wracaliśmy nierzadko bez latarek, w zupełnej ciemności i tylko dym z kominów oraz ujadanie wiejskich psów upewniał nas, że zbliżamy się do siedzib ludzkich. Czasem na drodze stanął nam dziki zwierz, lecz na szczęście obyło się bez ekscesów typu ucieczka na drzewo przed lochą w warchlakami.

Marcin też był krótkofalowcem. W zasadzie niby go nie namawiałem, ale zrobił licencję trzymając fakt pójścia na egzamin w tajemnicy. Nie chciał podobno zapeszyć.

Tej jesieni, a był to październik 1996 roku, w Warszawie doszło do „buntu młodych” na pasmach amatorskich UKF.

Ba! Dołączyli piraci, nie mający licencji, a mający radiostacje i od lat tylko słuchający pasm amatorskich.

Wszyscyśmy mieli dość słuchania, jacy to ludzie wywodzący się z CB radia są źli, głupi i nieokrzesani.

Zaczęło się kłótnią na „naszym” kanale 144,575 na którym siedzieli „młodzi”.

Coraz częściej włączali tu starsi, a że dysponowali większymi mocami i antenami wieloelementowymi na wysokich budynkach, tak więc wymyślali nam od najgorszych i złośliwie uniemożliwiali kontynuowanie łączności.

Nagle, pewnego dnia, w przeciągu godziny, na przemienniku w trakcie „narady starszych”, pojawił się „bekacz”. Przemiennik jest to stacja przekaźnikowa dla amatorów i przez nich instalowana, umieszczana zwykle na bardzo wysokim obiekcie, tak aby słabe stacje mogły porozumiewać się na dalekie odległości.

Zaraz za „bekaczem” nieoczekiwanie pojawiło się mnóstwo innych piratów.

Oczywiście byli oni straszni przez „starszyznę” standardowymi tekstami, że „już są namierzeni” i „już nie żyją”.

Tego dnia pękła tama.

Nakrywające się jedna na drugiej stacje, po prostu po raz pierwszy wygrały siłą sygnału z prawowitymi użytkownikami pasma.

Cała skumulowana złość uwolniła się. Przez bekania, śpiewy i melodyjki z zegarków elektronicznych, „legalni” nie mogli się przedrzeć. Działacze Warszawskiego Oddziału Terenowego, Polskiego Związku Krótkofalowców próbowali nadać cotygodniowy komunikat dla członków. Po raz pierwszy dostało im to uniemożliwione.

Wojna została wypowiedziana. Zrodziła się tradycja „wieczorów wtorkowych”. Wieczorów aktywności piratów, dając wyraz swej złości, kiedy to na przemienniku gromadził się „beton”.

Pewnego mroźnego marcowego poranka stanąłem na czwartym piętrze wielkiego i „dziwnego” budynku przy ulicy Górczewskiej, przed solidnymi drzwiami zaopatrzonymi w groźnie brzmiący napis: „Sala stojaków. Osobom obcym wstęp surowo wzbroniony!”

Stałem przez chwilę wspominając moją decyzję, aby pójść w końcu do pracy.

Praca ta zmaterializowała się właśnie w postaci owych drzwi, a ja jako osoba świeżo zatrudniona, nie zaliczałem się chyba do osób „obcych”.

Nieśmiało nacisnąłem klamkę.

Za drzwiami ukazała się wielka sala, niczym szkolna sala gimnastyczna, cała zastawiona stalowymi „szafami” od podłogi aż po bardzo wysoki sufit. „Szafy” biegły w poprzek sali, tworząc alejki.

Przy ścianach z każdej strony było przejście, pozwalające minąć się dwóm osobom.

Całą salę wypełniał monotonny mechaniczny stukot wielu elektromagnesów przyciągających i zwalniających swe kotwice.

Czuć było zapach przegrzanej emalii drutu nawojowego. Taki przegrzany zapach aparatury elektryczno-elektronicznej.

Zaraz obok, ujrzałem drzwi do „pokoju socjalnego”, gdzie przywitała mnie miła kierownik zmiany oraz mój „wspólnik” zmianowy – Darek.

Darek był nieco starszy ode mnie i zdaje się miesiąc wcześniej „popęłił małżeństwo”. Krok przez owe drzwi, był milowym krokiem ku mojemu phreakingowi.

Nie zatrudniłem się tam w celach „szpiegowskich” - co to to nie.

Nawet nie w celach „edukacyjnych”. W ogóle nie wiedziałem nawet jaka będzie moja telekomunikacyjna przyszłość.

Po prostu interesowały mnie centrale telefoniczne, a w tamtych czasach centrale miały jeszcze swoje załogi. Były to też czasy, gdy Telekomunikacja Polska przyjmowała jeszcze ludzi do pracy.

W moim wypadku, najwyraźniej zrobiła wielki błąd i zatrudniła „niewłaściwego człowieka”. Lecz wówczas ani ja, ani oni nie mieliśmy o tym pojęcia.

Centrala do której mnie przydzielono była centralą elektromechaniczną typu Pentaconta 1000C. Uważana jest słusznie, za najbardziej udaną i najbardziej nowoczesną centralę elektromechaniczną. W zasadzie ta konstrukcja jest szczytem możliwości techniki komutacji elektromechanicznej.

Zasada działania podstawowego ogniwa jest prosta. Prąd płynie albo nie płynie przez cewkę elektromagnesu. Cewka ta przyciąga lub „odpuszcza” stalową kotwicę i zwiera, rozwiera lub przełącza styki zwane żargonowo „sprężynami”. Jeśli to wszystko odpowiednio połączyć w skomplikowany sposób, to można zbudować pierwszy w historii komputer, czy w końcu dość funkcjonalną jego odmianę, jaką była centrala Pentaconta 1000C.

Późniejsze centrale, już elektroniczne, choć najpierw wcale nie cyfrowe, działały bardzo podobnie, lecz przekaźniki elektromagnetyczne zastąpiono tranzystorami wykonującymi podobne funkcje. Z czasem tranzystory „schowano” do układów scalonych, z których nawet tylko jeden, mógł zawierać ich miliony, tak jak to jest obecnie w mikroprocesorach.

Centrala na której przyszło mi pracować była, szczęśliwie dla mnie, tego samego typu, co centrala do której podłączony był mój domowy telefon. W późniejszym czasie mi to pomogło, a Telekomunikacji zaszkodziło.

Centrala na której pracowałem, obsługiwała numery wówczas sześciocyfrowe, rozpoczynające się od cyfr 37. Obsługiwała abonentów Koła, części Woli, Jelonek czy Bemowa. Liczyła 10 tysięcy numerów.

Centrala miała „pod sobą” małą centralę „satelicką” na 2 tysiące numerów zlokalizowaną przy ulicy Sołtana na Bemowie. Ta, znajdowała się przerobionym na ten cel w mieszkaniu. Bezzałogowa centrala „satelicka” obsługująca abonentów, których numery rozpoczynały się cyframi 638 1 i 638 2, nie posiadała stałych dyżurów, mimo że więcej awarii zdarzało się właśnie tam.

Centrala przy Sołtana była w pewnym stopniu zależna od centrali na Kole.

Znaczy to tyle, że korzystała z pewnych zasobów naszej centrali.

Gdyby nasza nagle przestała istnieć, lub przerwany zostałby kabel łączący obie te centrale, to abonentci tej drugiej, pozbawieni byłiby możliwości wykonywania połączeń. Być może mogli by te połączenia odbierać od ograniczonego zakresu abonentów Warszawy i okolic.

Nasza centrala posiadała także urządzenie dość szumnie i na wyrost zwane „koncentratorem”, pozwalające wówczas stelefonizować osiedle Groty.

Koncentrator pozwalał, aby na osiedlu Groty podłączono przykładowo 200 abonentów za pomocą kabla, który normalnie pozwoliłby podłączyć pięciu abonentów.

Działanie urządzeń po obu stronach polegało na tym, aby przypisać pierwszą wolną parę kablową, podnoszącemu słuchawkę na Grotach abonentowi.

Par w kablu było założmy pięć dla jednego modułu, a abonentów było dwustu. Zatem szósty chętny w tym czasie do rozmowy, nie dostawał sygnału, póki nie zwolniła się jedna z pięciu par.

Rozwiązanie tragiczne, ale tak wówczas podłączone do świata było owo osiedle domków jednorodzinnych.

W sali stojaków na ścianach wisiały także „pudła” RSŁA czyli Radiowego Systemu Łączy Abonenckich. Był to system w którym kabel zastępowały fale radiowe. Tak podłączano abonentów do których zwykłego przewodu z różnych przyczyn doprowadzić nie było można. Na dachu budynku stał wielki maszt upstrzony antenami kierunkowymi „patrzącymi” we wszelkie możliwe kierunki, w obu polaryzacjach i na obu ówczesnych pasmach dostępnych dla RSŁA czyli 160 MHz i 300 MHz.

„Pudła” RSŁA włączone były normalnie wtyczkami zasilania 220V~ w gniazda na ścianie. Co ciekawe, w czasie awarii prądu gdy uruchamialiśmy agregat, w tych gniazdach prądu nie było. Abonenci podłączeni przez RSŁA mieli nieczynne telefony. Jednakże gniazdo w które włączony był czajnik elektryczny w pomieszczeniu socjalnym, prąd z agregatu miało...

Pierwszego dnia siedziałem jak trusia. Dopiero pod koniec godzin pracy zapytałem nieśmiało, czy mogę sobie pochodzić po centrali.

- Ależ oczywiście – odparła pani Grzegorzewska, kierownik zmiany – tylko niczego nie ruszaj, ale obejrzyj sobie wszystko.

Centrala była ogromna. Cały czas stukała niczym stare kasy sklepowe w latach osiemdziesiątych.

Jedna alejka była wyraźnie inna niż pozostałe. Było tu coś w rodzaju pulpitu ze słuchawką telefoniczną i mnóstwem przełączników oraz kolorowych światełek.

Dołączył do mnie Darek.

- Tutaj masz alejkę utrzymania. Zbiegają się tu wszystkie sygnały od najważniejszych urządzeń na centrali. Ich stan jest wyświetlany o tu...

Przełączył wyłącznik i nagle za plecami rozbłysła ferią barw, migająca masa kolorowych żarówczek.

Było ich kilkaset, zgrupowanych w prostokąt o wielkości sporego telewizora.

Dowiedziałem się, że właśnie nazywają to po swojemu - „telewizorek”.

Wyglądało to niczym wnętrze statku kosmicznego z filmu science-fiction. Setki kolorowych lampek, a każda mrugała niezależnie od innych. Podobno w Hollywood na potrzebę takich scen korzystano z ujęć podobnych urządzeń. Tylko centrale telefoniczne zapewniały tak różnorodne błyskanie setek lampek.

- Widzisz. To co tu mruga, to są sygnalizacje podłączone tylko do głównych, najważniejszych zespołów centrali. Pomniejsze w ogóle nie są tu sygnalizowane.

„O cholera” – pomyślałem. - To skoro to są tylko te główne...

- A tu masz schematy „zadziałań”. My to nazywamy „bąbelki”, bo są to schematy algorytmów czyli zależności działań poszczególnych zespołów. O, tu masz bąbelkę z opisem. W kółeczku jest zaznaczone co robi ten zespół, jeśli poprzedni zrobił coś co jest opisane w innym kółeczku.

- To w ogóle nie przypomina schematów elektronicznych, które znam.

- To nic. Tu są nawet zwykłe schematy połączeń elektrycznych a i tak zupełnie niepodobne do elektronicznych. Ja też się zajmuję elektroniką .

Poszliśmy dalej.

- Tu są rejestry abonenckie. Jeśli ktoś podnosi słuchawkę, to zostaje mu przydzielony jeden z takich rejestrów i stąd słyszy ciągły sygnał. Gdy wybiera numer... O! Zobacz. - Darek otworzył klapę maskującą „ramę”. - Tu ktoś wybiera numer.

Przełączniki turkotały i ich kotwice „przelatywały” zadziałaniem i odpuszczeniem z góry na dół.

„Tratatatata...”.

- Siedem.

„tratatatata”

- Siedem...

„tratatatata”

- Dziewięć. Do Otwocka dzwoni – zawyrokował Darek obserwując pstrykające przełączniki.

Jak on to widzi ?

Poszliśmy dalej.

- A tu są translacje wychodzące. Są to zakończenia łączy od innych central.

Jeśli ktoś z naszych abonentów dzwoni gdzieś poza naszą centralę, to zajmie jedną z takich translacji do innej centrali. To takie zakończenie linii międzycentralowej.

Są grupy translacji do nadrzędnej centrali tranzytowej czyli „CET”. Tam kierują się połączenia do innych warszawskich central, ale nie do tych, do których mamy linie bezpośrednie. Linie bezpośrednie mamy zazwyczaj do central w sąsiednich dzielnicach. Jest też grupa do ACMM. ACMM to Automatyczna Centrala Międzydzielnicowa. Ale to uogólnienie. ACMM realizuje wszystkie połączenia poza TP i poza strefę numeracyjną. Tu trafiają wszystkie połączenia zaczynające się na zero. Na przykład międzycentralowe, komórkowe czy międzynarodowe. No i każde inne. Te wdzwaniane do internetu też.

Często w godzinach szczytu starcza translacji do ACMM na styk i kolejni abonenci dostają zajętość... Potrzebna byłaby rozbudowa, ale nie będą tego robić, bo za parę lat tę centralę wymienią na cyfrową.

Darek dość precyzyjnie objaśniał mi z grubsza, o co w tym „interesie” chodzi.

Przyznam, że było to coś zupełnie innego niż „zwykła” elektronika.

Co ciekawe - zostawiony sam sobie, z czasem, to dzięki własnym obserwacjom

zaczynałem rozumieć co i jak działa.

Wciągnęło mnie to bardzo.

- Mimo, że lekceważysz przepisy to wysłuchasz co ma do powiedzenia Komisja Eterowa

- płynęło z głośnika mego Digitala 931.

Wszystko się we mnie gotowało! Stary piernik, ich szef niemalże, wlażł mi na kanał i nie dawał dokończyć rozmowy.

- Tobie się powinno licencje zabrać i ja się o to postaram, a uwierz że mam wpływy – perorowałam.

- Mam gdzieś twoje wpływy. Nic złego nie robię. To, że się wam nie podoba temat naszej rozmowy to mam wiesz gdzie... Stare komunistyczne przyzwyczajenia...

Nie będziecie mi cenzurować łączności! Adam jesteś?

- Jeste... (pisk) - Nie skończyliśmy z tobą. Wysłuchasz co mamy... - nakładał się na Adama skubaniec.

Wyłączyłem radio i wykrzyczałem z wściekłością w kierunku gasnącego wyświetlacza:

- Nic kurwa nie wysłucham.

Chwyciłem słuchawkę telefonu i zadzwoniłem do Adama.

Podniósł po pierwszym sygnale.

- Adam, oni specjalnie najpierw mnie z równowagi wyprowadzają, a potem godzinami nośną stawiają.

- No wiem. Przykrywają cię doszczętnie,

- No to niech się podenerwują, że są nieskuteczni. Zróbmy tak, że będziemy tu wisieć na telefonie, a to samo co do telefonu, będziemy gadać do radia z wciskaniem przycisków nadawania. To czego nie usłyszymy przez radio, to usłyszymy przez telefon. Oni się wkurzą, że nas już nie przykrywają. Będą sprawdzać czemu. Może będzie chwila spokoju.

- Hehe. Dobra!

Wróciłem do radia, a telefon miałem na długim kablu.

- Es Ku Pięć... wywołałem Adama.

- Tu Es Ku (pisk)

- No już jestem znowu, Adam. Jakies mendo stawiają nośną ale i tak się przebijasz – zabelfowałem.

- To te pierniki. Zobacz, że oni tak podkreślają "ham spirit". Niby "kulturę krótkofalowca" i to że, ich właśnie kultura odróżnia od "bydła z CB radia". Niby tacy kulturalni, a sami robią to, co najgorsi badziewiarze na CB.

Radio piszczało w trakcie nakładek, ale pomyślałem, że gdzieś oni przecież się koordynują.

Nie wciskając chwilowo nadawania powiedziałem do telefonu.

- Adam, teraz ty nadawaj i gadaj byle co. Ja przelecę pasma i zobaczę czy gdzieś nie mają koordynacji.

- Okej. No więc...

Zacząłem przeszukiwać dostępne mi pasma.

Na 2m nic. To zrozumiałe. Tu mają zajęte radio i antenę.

No to może nowo przydzielone amatorom pasmo 6m...

Bingo.

- Adam - powiedziałem do telefonu - oni mają koordynację na 51,200 MHZ w USB.

Posłuchaj - przytknąłem mikrotelefon do głośnika

- ... ja nie wiem jak, ale ja już dałem półtora kilowata a oni dalej gadają.

- Ja też odwróciłem antenę na nich i mam teraz 800 W

- A to świnię! - powiedziałem do telefonu. Zobacz. Nadają większymi mocami niż największe w Polsce limity.

- A co myślałeś. Są równi i równiejsi. Oni są równiejsi.

Zadzwęczał domofon.

- Adam, to ja się rozłączam, bo ktoś dzwoni domofonem. Potem się zdzwonimy.

- No to cześć.

Otworzyłem drzwi.

- Ooo, cześć Jasiu !

- Cześć. To jest Bartek, mój kolega z osiedla.

- Cześć Bartek.

- Witaj.

- Chodźcie do pokoju, właśnie miałem scysję z piernikami na radiu.

- To geriatryki... Ja wiem o co chodzi. Siedzi taki jeden z drugim na trzystadwójce i „łoj, kuliego, ale mi dziś strzyka w korzonkach i mnie siem lampa przepaliła...” - zaśmiał się Jasio.

- No trzystadwójek to już chyba nie mają. A ci co się na nas uwzięli, to jest owoc stanu wojennego. Wiesz - konfidenci i w zamian najlepszy sprzęt, zero kontroli, przepisy i limity mocy to nie dla nich. To tacy, co bez egzaminu podostawali licencje w osiemdziesiątym trzecim.

- A może Bartek by ich trochę powkurzał ? Oni nie znają jego głosu.

- Można by jakąś akcję zorganizować. Ja ci powiem, że ja mam już dość takiego krótkofalarstwa. Nie sądziłem, że jeden drugiemu będzie kłody pod nogi rzucał i że starzy by chcieli, żeby od dziś już w ogóle licencji nie wydawać. Wszystkie pasma tylko

dla nich.

- Michał, oni inaczej myślą. To jest stara esbecka kadra.
- Czym by was poczęstować... herbatę zaraz nastawię – sponsoruje Mazowiecki Okręgowy Zakład Gazownictwa.
- Ja się mogę napić – powiedział Bartek
- Ja też – dodał Jasio - zimno dziś.

Po chwili na pusty stół w „jadalnym” - jednym z dwóch pokoi - podałem ptasie mleczko i słoik ogórków konserwowych.

- Czym chata bogata... hehe. Tu macie ogórki a tu ptasie na zagrychę.
- A nie ogórki na zagrychę ?
- Nie. Ogórki do zjedzenia, zalewa do wypicia, a ptasie mleczko na zagrychę.

Bartek nieufnie wziął jeden kawałek ptasiego mleczka.

- Jasiu słuchaj...
- Słucham.
- Ja ci coś powiem. Powoli mam dość tego krótkofalarstwa, jeśli to tak ma wyglądać.

Ja ci dam moje drugie radio. Będziemy gadać na „bokach”. A co! Złapią? Trudno. Lachę na to kładę. Możemy robić akcję „posesja” i ich trochę podenerwować. Oni twojego głosu nie znają. Sami też możemy gadać. Ja zaprogramuję nasze oba radia na komórki pamięci. Gdzieś na 147 MHz , ale tak żeby każdy kanał był w duplesie, każdy z innym shiftem i raz na plus a raz na minus, rozumiesz...

- Rozumiem.
- I będziemy mieli tabelki. Co kilka relacji będziemy te kanały zmieniać.

Ale nie będziemy mówić numeru następnego kanału, tylko na przykład „pięć pe” czyli pięć do przodu. Jeśli będzie dziewięć kanałów, a byliśmy na szóstym, to posuniesz gałkę pięć razy do przodu i wyjdzie nam obu drugi kanał - kapujesz ?

- Kapuję. To będą mieli zagadkę.
- Tym bardziej, że ty będziesz nadawał z ręczniaka i to z mieszkania.

Na przemiennik wejdziesz, ale nasze rozmowy już dotrą do nich tylko moim sygnałem.

- No dobra. Zrobmy tak.
- Bartek. Ogóreczka ?
- Nie, nie dzięki.
- A ja się poczęstuję – rzekł Jasio sięgając do słoika. - Coś ci powiem, Michał.

Oni żyli jak ludzie uprzywilejowani. Nie każdy kto za komuny zdał pozytywnie egzamin, dostawał licencje. Wiesz, wywiad środowiskowy dzielnicowego, pozytywna opinia milicji i te sprawy.

Oni byli „wybrańcami” i często tę władzę popierali. A przynajmniej wielu z nich. Zwłaszcza tych, co dostali pierwsze licencje po 1983 roku, po stanie wojennym.

Teraz ich boli, że każdy może mieć łączność radiową, bo jest legalne CB radio.

Do tego wielu z dawnych czy obecnych CBistów jak na przykład ty - robi licencje.

Nic nie mogą na to poradzić, więc czepiają się tematów twoich rozmów. Przecież kiedyś były nawet wytyczne, jakie tematy może poruszać krótkofalowiec w czasie łączności.

Oni by się chcieli bawić w poważną służbę radiową - suchy raport i następna łączność. Takie duże dzieci.

- Tak chyba jest, Jasiu.
- Ja dlatego nigdy nie zrobię licencji. Nie chcę w to włączyć.
- Ja chciałem po prostu mieć więcej pasm do dyspozycji...
- A widzisz - gównu masz. Oni cię mają za barbarzyńcę wpuszczonego do salonu i nie dadzą ci się tu rozwijać.
- Mam trochę dość już. Dobra! Robimy tę piracką łączność. Niech to się w którąś stronę przewali. Jak i tak nie mogę legalnie porozmawiać to na kij mi licencja...

Pewnego chłodnego poranka wyglądałem z okna pokoju socjalnego na centrali i obserwowałem jak grupa pijanych wyrostków tłukła butelki na przystanku śpiewając:

"Legia Warszawa, to nasza duma i sława..."

- Trochę tu niezbyt bezpiecznie - zauważyłem.
- Niby Koło, ale klimaty Woli już tu czuć - odparł Darek
- Idę na koncentratory, posłuchać co ludzie gadają.

Często z nudów chodziłem na alejkę gdzie stał „koncentrator”. Brałem swój służbowy mikrotelefon z kondensatorem separującym i wpinałem się akurat w pasujące tam gniazda probiercze.

Można było ciekawych rozmów posłuchać.

Zapaliła się dioda nad łączem Ł4.

Wpiąłem się w Ł4:

- Cześć kochanie.
- Hej...
- Przyjdiesz dziś do mnie ?
- Może...
- Tak wiesz coś dzisiaj mam na ciebie od rana ochotę, a ciebie nie ma.
- Może przyjdę... Ale musisz...
- Co kotku ?
- Musisz założyć to swoje "body...

- Tak.
- I musisz mieć pachnącą...

Ł7

Przełączam.

- ...już wiedzą i będą czekać.
- Ile ?
- Tyle co zawsze.
- A gdzie? Tam gdzie zawsze?
- Tak, cały kontener odbierasz i wiesz jak zwykle. Tylko żeby mi znów dziesięć telewizorów nie zniknęło.
- To się nie ma prawa powtórzyć, szefie...

Nagle przez otwarte okno wfrunął gołąb.

Gołobie były zmorą tej centrali.

Był ciepły początek kwietnia i ktoś nieopatrznie zostawił otwarte okno.

- Daaareeeek!
- Coooo?
- Gołąb.
- Co, gołąb?
- Wleciał!
- O cholera. Weź szczotkę.
- Tam poleciał. Gdzieś na sekcję końcową. Na piąty tysiąc.
- Cholera jasna, znowu nasra. W zeszłym roku nawet gniazdo jeden zrobił i jajko zniósł.
- I co?
- No i spadło na panią Danusię i się stłukło. W alejce utrzymania akurat...
- Hehe.
- Ty się zając nie śmieję. One nam tu narobią uszkodzeń.

Gołąb przefrunął z sekcji końcowej piątego tysiąca, na alejkę rejestrów.

- Dawaj tu drabinę. Ja wejść.

Wlażem na stojaki. Ledwo udawało mi się czołgać, bo sufit był nisko. Kilo kurzu...

- Tam poleciał, do ciebie.
- Co ?
- Taaam poleciał. Cholera jasna, tu idzie szyna zasilająca. Nie lubię tych 48V.

- Kijem go popchnij.
- Nie sięgam.
- Noo... popchnij.
- Uwaga leci ! Na okno go naganiaj, na okno !

Wyleciał.

Zlażłem szary od dwudziestoletniego kurzu,

- Czekaj, coś masz na plecach.
- Co mam ?
- Hehe, to fiszka kontrolna: "Przeprowadzono okresową kontrolę, 03 marca 1977"
- No to ładnie. Miałem wtedy 3 lata.
- Chodź napijemy się herbaty i umyj się trochę.

W „kapciorze” siedzieliśmy sobie w wygodnych fotelach i w ogóle atmosfera pracy bardzo mi odpowiadała.

Darek zaczął opowiadać o różnych ciekawych rzeczach.

- Bo widzisz. Kiedyś, gdy nie było systemów bilingowych to jak już wiesz i umiesz, trzeba było „czytać sznurówkę” aby zlokalizować kto dzwoni na przykład na milicję, albo do jakiejś szychy.
- A to można przecież tylko gdy trwa połączenie.
- No właśnie. I dlatego było coś takiego co nazywało się „przystawka złośliwa”.

W Polsce zawsze rozłącza abonent „A” czyli ten, który dzwoni. Abonent „B” czyli odbierający, nawet jeśli odłoży słuchawkę to połączenia nie przerwie.

Dlatego „przystawka złośliwa” umożliwia abonentowi „B” „przytrzymanie”, żeby „A” nie mógł się rozłączyć i aby służby ustaliły numer.

- Jak to było zrobione ?
- Dosyć prosto. Do normalnego abonenta idą dwa przewody. Do tego „uprzywilejowanego” szły cztery. Wystarczy że zwarł te dwa dodatkowe czyli podał potencjał ziemi na żyłę C, która normalnie nie opuszcza centrali, aby móc trzymać połączenie. Nie zawsze to działało, zwłaszcza przy połączeniach międzymiastowych, a teraz, gdy jest sporo central cyfrowych, to one tego przytrzymania „nie widzą” więc to zarzucono. Ale jest coś jeszcze fajniejszego.
- No ?
- Jak wiesz, każdy abonent należy do jakiejś kategorii. Zazwyczaj do pierwszej, co ustawia się zworkami na "etykiecie" na ST.
- No wiem.
- I kategoria pierwsza to jest „abonent zwykły”.
- A jakie są jeszcze?

- No na przykład szósta to jest „abonent bez zaliczania”, czyli rozmowy do niego są bezpłatne. Przykładowo numery alarmowe mają szóstą i dzwonisz do nich za darmo.
- A można sobie ustawić taką kategorię ?
- Pewnie.
- Szkoda że moja linia nie jest z tej centrali...
- Najlepsza jest kategoria „telefonistka z prawem interwencji”.
- A co to ?
- Jak masz taką kategorię, to nie ma dla ciebie zajętych numerów. To anachronizm z dawnych czasów, gdy telefonistki łączyły rozmowy z dalekich stron i miały pierwszeństwo. Jak byś sobie ustawił taką kategorię i na przykład dzwonisz do kogoś kto rozmawia z kimś innym, to nie masz zajętości tylko włączysz na ich rozmowę.
- Dobrze !
- Można się pobawić czasem. Tu mamy służbowe telefony pomiarowe. Nawet możesz sobie na audiotext 0-700 z nich dzwonić. Nie są rozliczane. Możesz sobie próbnie iść na stojak i zmienić kategorię, a potem podzwonić po często zajętych znajomych...

Wtorek zaczął się zwyczajnie jak to wtorki mają we zwyczaju. Lecz nie zwykły miał to być wtorek. To miał być wtorek, który miał głęboko zapaść w pamięć wielu ludzi.

To miał być wtorek „na miarę naszych możliwości” i nie miało to być nasze ostatnie słowo! We wtorki Warszawski Oddział Terenowy Polskiego Związku Krótkofalowców miał we zwyczaju o godzinie 21, wygłaszać na przemienniku amatorskim SR5W komunikat.

Po komunikacie były „pytania do członków zarządu”.

Tego dnia wczesnym popołudniem odwiedził mnie Jasio. Miałem już zaprogramowane radio stacjonarne, jak i ręczną Motorolę dla Jasia, w celu odbywania wieczornych pogawędek w trybie pirackim.

Jeździliśmy sobie tak po okolicy moim czarnym Peugeotem z rejestracją rozpoczynającą się od WIJ, co niektórym policjantom mogło sugerować wóz Biura Ochrony Rządu i innych podobnych instytucji. Swego czasu ich wozy „brały” właśnie te stare żoliborskie tablice rejestracyjne, których pierwotne wydawanie zakończyło się w połowie lat osiemdziesiątych.

Tak się jednak stało, że mój nowo zakupiony Peugeot dostał „w spadku” po jakimś wyrejestrowanym samochodzie taką właśnie rejestrację.

Już od godziny dwudziestej na przemienniku dała się odczuć zwiększona ilość pirackich stacji, które jednak bały się odezwać własnym głosem.

Znalazło się też kilku krótkofalowców, próbujących strofować, straszyć rychłym namierzeniem i uciszać brykające stacje.

A to poszedł kawałek disco-polo, a to ktoś coś powiedział z zatkanym nosem aby zmienić barwę głosu.

Gdy rozpoczął się komunikat... W zasadzie trudno określić to słowem „rozpoczął”.

Po prostu stacja wygłaszająca komunikat zaczęła nadawać i natychmiast została przykryta przez potężne beknięcie.

Bekacz wszedł do gry.

Pilnowacze porządku i moralności zaczęli jeden przez drugiego albo wyzywać, albo straszyć bekacza. I tak wszystko zginęło w kakofonii melodyjek breloczków i innych zjawisk akustycznych.

Akurat zatrzymaliśmy się w okolicy Lasu Bielańskiego.

Jasio, weteran CB, ale i długoletni nasłuchowiec pasm amatorskich, potrząsał ku niebu antenką Motoroli i z uśmiechem wołał :

- Jakbym trzymał normalnie ręczniaka CB na kanale 28.
- Robi się ciekawie.
- Michał, my musimy koniecznie nawiązać kontakt z tymi piratami. To jest jakaś zorganizowana akcja i ja muszę to rozgryźć. Ktoś dość dobrze zorganizowany robi im „zemstę nietoperza” za te lata upokorzeń.
- Warszawska jesień, hehe.

Pokręciliśmy się po okolicy. Próbowaliśmy słuchać częstotliwości wejściowej przemiennika co pozwoliło wstępnie ustalić, że jedna ze stacji pirackich nadaje najprawdopodobniej z ręczniaka, z okolicy Placu Wilsona.

- Michał, my musimy złapać kontakt. Tymczasem ja włączam się do gry. Mojego głosu nie znają.

Wcisnął nadawanie i powiedział:

- Dobry wieczór, tu piracka stacja Intenacional Bardacha, ogłaszam niniejszym, że od teraz to piraci rządzą na tym przemienniku.

Gdzieś w tle urywkami czytany był komunikat w przeświadczeniu, że jest on słyszalny.

Na przemienniku rozwinął się huragan.

- Maniek, teraz szukajmy tego gościa z Wilsconiaka.

Kręciliśmy się po wąskich uliczkach starego Żoliborza.

Pirat odpowiadał dość dziwnie i odnosiliśmy wrażenie, że nie potrafi obsługiwać radia. Wykorzystując przerwy w zakłóceniach wydobyliśmy informację jakie ma radio.

Podaliśmy mu więc instrukcję, jak zmienić częstotliwość na wolną i tam Jasio miał przystąpić do socjotechnicznego "wydobycia" pirata z domu, na spotkanie z nami.

Pirat był bojaźliwy.

Najpierw udało nam się nakłonić go, do zatelefonowania pod jedną z budek telefonicznych.

Dopiero w kolejny "wściekły wtorek" udało się wydobyć informację, że mieszka obok Teatru Komedia i tam też się ustawiliśmy, umówiwszy uprzednio spokojną

częstotliwość. Gostek wyraźnie się nas bał, ale rozmowa z nami go wciągała. Twierdził że nie wie czy jesteśmy po jego stronie czy też to prowokacja "starej gwardii".

W końcu ciekawość po długich rozmowach przeważyła i do samochodu zbliżył się 17 letni chłopak z radiotelefonem Yaesu.

- Zapraszamy do samochodu - przywitał go Jasio.

Wyglądało to jak scena z filmu gangsterskiego.

Pracujący cicho na biegu jałowym czarny Peugeot na "rządowych" numerach i kilku osiłków (udział brał też Bartek - miłośnik siłowni).

Tego dnia był z nami także Jańcio - kolega Jasia.

Tak więc ofiara ciekawości, usiadła z tyłu pomiędzy dwoma pakerami. Ja za kierownicą, a Jasiu z przodu na fotelu pasażera odwrócił się do trzęsącego się wyraźnie chłopaka i rzekł:

- A więc witamy brata pirata. Jak widzisz MY działamy skutecznie. Jak masz na imię ? Chłopak chyba miał już pełne gacie, bo ja ruszyłem z parkingu.

- Marcin - odparł

- A nazwisko?

- Poliakow.

- Rosjanin ?

- Mama Rosjanka a tata Polak.

- Skąd masz radio ?

- Tata skądś przyniósł.

- No dobra. Będiesz od dziś pracował dla nas.

Chłopak ciągle przestraszony kiwnął głową.

Jasiu - miłośnik tajnych służb, i Bartek - niezły talent aktorski - potrafili „zrobić atmosferę”.

- Podaj nam swój numer telefonu. Dostaniesz instrukcję obsługi swego radia, listę kanałów „bojowych” (tam masz wykonywać polecenia) i „operacyjnych” do łączności z nami.

- Jak widzisz, nie trafiłeś na prowokację, ciągle żyjesz i jesteśmy jednak po twojej stronie. - pocieszyłem chłopaka.

- Hybryda zgłoś się do Kaskady, wywołałem Jasia na kanale 1 (startowym i awaryjnym w razie rozsynchronizowania się łączności).

- Zgłaszam się - zaszumiał Jasio.

Dzieliła nas odległość około kilometra, ale Jasio używał ręczniaka w środku mieszkania na pierwszym piętrze, w budynku z oknem na podwórko - studnię.

Ja używałem anteny dachowej i pełnej mocy 5 watów.

Skomplikowany układ kanałów i ręczny „hopping” miał utrudnić nasłuch wrogiego już otwarcie środowiska krótkofalarskiego.

- Osiem „pe” i od razu przełączyłem osiem kanałów do przodu.

Nigdy nie mówiliśmy numeru kanału a tylko „skok”.

Każdy kanał miał inny shift duosimpleksowy, niektóre na plus, inne na minus.

To dawało nikłe szanse odtworzenia tabeli kanałów.

Ponadto nasłuch korespondenta był jeszcze trudniejszy z tego powodu, że nawet ja – mieszkający w miarę blisko – odbierałem go w szumach. Zrozumiałe ale słabo.

Wróg nie odbierałby go wcale, nawet gdyby podjechał pod mój dom.

Nie miał przecież na samochodzie masztu o wysokości czterech pięter.

Tak więc gadaliśmy i to bez niczych zakłóceń. Jak się później okazało, system był w miarę skuteczny i udawał dopiero co wprowadzonego w Policji EDACSA.

Mnie słyszeli, ale nagle po jakimś dziwnym hasle im znikalem. Czasem znikalem bez hasła, bo podawał je Jasio a oni go nie słyszeli. Nasłuchiwali wciąż starego kanału a ja miałem się na nim pojawić przykładowo za pół godziny. Nasłuch był więc utrudniony. Skanowali pasmo i zapisywali sobie to co uważali za oznaczenie kanału (na przykład „osiem pe”). Ze zdziwieniem stwierdzali że gdy znów padało „osiem pe” to pojawiałem się zupełnie gdzie indziej. Drugiej strony nie słyszeli wcale, bo jej na tej częstotliwości nie było. Tam gdzie była, miała tak ograniczony zasięg, aby tylko stacja z anteną na dachu w bliskiej odległości mogła ją usłyszeć. Sytuacja była nad wyraz korzystna.

Z czasem dyscyplina rozluźniła się i kanały były zmieniane rzadziej.

Pewnego ciemnego listopadowego wtorku, około godziny dwudziestej wyszedłem z mieszkania mojej matki, znajdującego się na nowym osiedlu po drugiej stronie ulicy. Szedłem do siebie, by zdążyć na osławiony już komunikat i aby posłuchać piratów, w tym także Jasia i Marcina. Od kilku tygodni stanowili oni co prawda znikomy procent aktywności piratów, ale przede wszystkim odzywali się swoimi głosami. Ja także dołączałem do akcji, wynalazłszy niezłą metodę maskowania głosu - mówiłem szeptem. Szept brzmi podobnie bez względu na osobę, a można przekazywać w ten sposób zrozumiałe komunikaty i komentarze. Jak się później okazało zdradziło mnie... moje własne radio. Pech chciał, że to rzemieślniczej, polskiej produkcji urządzenie, miało opóźnioną synchronizację syntezy częstotliwości przy pracy duosimpleksowej. Objawiało się to cichym brzdęknięciem tuż po wciśnięciu nadawania. Ten brzęk mnie zdradził, bo z przemiennika korzystałem za dnia jako zwykły legalny użytkownik. Ktoś skojarzył ten odgłos.

Marcin okazywał małą aktywność, natomiast Jasio, jako że był zorientowany w realiach krótkofalarstwa, wytykał beczelnie mijanie się głoszonych ideałów z codzienną praktyką "elity".

Szedłem więc tak przez podwórka na skróty, chcąc zdążyć na dwudziestą pierwszą, gdy nagle zauważyłem na swoim podwórku policyjny radiowóz. Stał tuż pod moją klatką. Pomyślałem, że to znowu jakieś włamanie. Ostatnio naszą klatkę nękała seria włamań i w zasadzie tylko do mnie się do tej pory nie włamało. Może dlatego, że złodzieje dobrze

wiedzieli, że nie ma u mnie nic do ukradzenia. Mój majątek po wyprowadzce matki sprowadzał się do kilku mebli cepeliowskich, dwóch starych rozwalających się wersalek, kiwającego się stołu o czterech „pijanych” nogach i mało wartościowego dla nich sprzętu elektronicznego.

Ze sprzętów przede wszystkim brak było jakiegokolwiek sprzętu wizyjnego.

Nie miałem telewizora, ani żadnego innego urządzenia video.

Posiadałem małe radjko na baterie, aparat telefoniczny, starą lodówkę Polar, nadgryzioną już rdzą. Pranie nosiłem do matki bo zabrała ona naszą pralkę.

Był oczywiście sprzęt nadawczo-odbiorczy, ale wówczas sprowadzał się do radiostacji Digital 931, który kupiłem dla oszczędności... bez obudowy. Wsadziłem go zatem do sztywnego pudła tekturowego i tak używałem. Złodzieje nie mieli tu czego szukać. Za to w oknach były na stałe zamontowane kraty, a po matce i jej strachu przed złodziejami, odziedziczyłem antywłamaniowe drzwi.

Radiowóz zaniepokoił mnie o tyle, że przeprowadzone jednak włamanie, które sobie wyobraziłem, skutkowało by kłopotami z naprawą zamków i innymi kosztami.

Gdy zbliżyłem się do klatki na której paliło się światło, zauważyłem cztery osoby kręcące się pod moimi drzwiami. Moje drzwi bowiem, znajdowały się jako pierwsze z lewej, tuż przy wejściu na klatkę.

Pomyślałem – jakaś ekipa policyjna.

Wszedłem na klatkę i od razu zapytałem:

- Panowie do mnie ?
- A czy pan jest Michał Jonakowski?
- Tak to ja.
- To my do pana. Będzie pan łaskaw otworzyć drzwi.

Zauważyłem, że drzwi są zamknięte, ale ciekawość mnie pchała, więc je otworzyłem i całą czwórkę – dwóch mundurowych i dwu cywili wpuściłem do wąskiego przedpokoju.

- Słucham panów – zacząłem.
- Kontrola PAR powiedział jeden z cywili. Proszę okazać zezwolenie radiowe.
- No to proszę wyjść.
- Ale pan nas już wpuścił – odparł policjant
- Ale teraz zmieniłem zdanie.
- Kontrola meldunkowa – zaczął i z innej strony drugi policjant – proszę o dowód osobisty.

Podąłem mu dokument.

Od razu podał go dwóm cywilnym pracownikom PAR i ci zaczęli coś z niego spisywać.

- Proszę o zezwolenie.

- Chwileczkę – odrzekłem i poszedłem po papier do pokoju. Przyniosłem i podałem im. Piszą i piszą.
- Prosimy o pozwolenie z administracji na założenie anten na dachu.
- A świadectwo chrztu też chcecie? - spytałem ironicznie – Sprawa anten jest moją prywatną sprawą. To jest sprawa pomiędzy mną, a spółdzielnią i nic wam do tego.
- Taki pan cwany? - zostanie pan ukarany przez kolegium.
- A niby za co? - warknąłem postanawiając nie dawać tego papieru, mimo że zgodę na piśmie od administracji miałem. Tego dokumentu żądać im nie wolno. Mogę pokazać ale nie muszę.
- Pięknie, pięknie... - mruczał jeden z piszących.
- W takim razie proszę wydać radiostacje do badań.
- Odmawiam. Proszę sobie ją badać tutaj, na miejscu a nie gdzieś tam u was.
- Pięknie, pięknie...

Po pewnym czasie milczenia podsunęli mi „protokół kontroli”.

- Pan podpisze.
- Nie podpiszę.
- Musi pan.
- Nic nie muszę. Sama istota podpisu jest właśnie wyrazem woli, a ja takiej nie wyrażam. Podpis nawet za komuny w prawie nie był nigdzie obligatoryjnie wymagany i wymuszano go wyłamywaniem palców czy „jajami w szufladzie”. Ale zawsze traktowano go jako dowód dobrowolnej zgody. I dlatego nic nie podpiszę.
- Stanie za to pan przed kolegium.
- Czyżby ?
- No to do zobaczenia.
- Żegnam. - zatrzęsnałem drzwiami.

Pogalopowałem do pokoju i wyrząłem przez okno...

Radiowóz ani myślał odjeżdżać, a z kieszeni jednego z pracowników PAR wystawał radiotelefon amatorski.

Zbliżała się dwudziesta pierwsza.

Chcieli sprawdzić czy będzie „akcja” i czy to nie ja jestem bekaczem.

Bekacz nie zawiódł i zabekał podobno cały komunikat, czym dowiódł tym zakutym łbom, że to nie jestem ja. Nie mogłem bekać w czasie gdy byłem kontrolowany. Godzinę więc wybrali nieprzypadkowo. Dowód ten chyba jednak ich zmartwił. Bekacz był wciąż nieustalony, a oni pragnęli sukcesu jak kania dżdżu.

Gdy tak stali, gapiąc się na mnie przez okno, doskonale widocznego na tle nisko u mnie wiszącej lampy, zatelefonowałem do Jasia i ostrzegłem go. Opisałem sytuację i

zakazałem emisji. Umówiłem się na spotkanie za godzinę, w połowie drogi, pod śmietnikiem na przeciwko przychodni na Kochanowskiego.

Gdy się tam spotkaliśmy, nie miałem już złudzeń co do losów mojej licencji.

- Skończyła się pewna epoka - zacząłem melancholijnie.
- Pewnie tak. Zobaczymy co teraz zrobią.
- Ja wiem co ja zrobię. Nic mnie już nie krępuje. Zbuduję nadajnik UKF i zrobię pirackie radio.
- Apropos - powiedział Jasio. Muszę się odlać. Cewka rządzi...

Pewnego ranka wyszedłem z domu do sklepu spożywczego po pieczywo i co widzę po powrocie ?

Na drzwiach od strony korytarza wisi kartka przyklejona przylepcem o następującej treści: „Decyzja w pana sprawie znajduje się u gospodarza budynku”.

Kartka miała pieczętkę PAR-u czyli Państwowej Agencji Radiokomunikacyjnej.

Czułem że to koniec mojego krótkofalarstwa.

Od gospodarza odebrałem kopertę a w niej „decyzję” odbierającą mi „znak wywoławczy i częstotliwości przyznane w zezwoleniu...”.

Uzasadnienie było takie, że „w trakcie zdalnej kontroli stwierdzono iż stacja (i tu mój znak wywoławczy) pracowała poza przyznanym zakresem częstotliwości, a mianowicie na 147,040 MHz.

Hmm... podali tylko częstotliwość „uplink” do Jasia jednego z kanałów i to zresztą z niedokładną końcówką. Po kilku dniach to samo pismo przyszło już przepisowo pocztą, listem poleconym.

Wiatr gwizdał w szparach nieszczelnych okien na ostatniej kondygnacji budynku TPSA na Górczewskiej.

Ciemno zrobiło się wcześniej niż zwykle.

Nagle porywy wiatru napierały na stare, zdezelowane, drewniane ramy okienne, które groźnie trzeszczały.

Jakaś krupa śnieżna zaczęła bębnić po parapetach.

Siedziałem sam.

Darek poszedł gdzieś na przełączalnię. Światło było zgaszone.

Centrala stukotała złowrogo, a stukot ten zdawał się całego mnie otaczać, bo tak i w istocie było.

Siedziałem w alejce utrzymania i nikłe odbite od próbnika PDP światelko mrugających żaróweczek „telewizorka” oświetlało moją twarz.

Atmosfera była niczym z dreszczowca.

Wtem na centrali zaczęło się coś dziać.

Obsługa wyraźnie to z czasem wyczuwa.

Nagle całe zespoły z odległych od siebie alejek zaczęły równo i zgodnie walić setkami przekaźników. Taka rzecz nie wydarza się na centrali.

Nigdy niezależne od siebie zespoły nie stukają swymi przekaźnikami, tak zgodnie choć nieregularnie.

Odwróciłem się. „Telewizorek” pokazywał coś dziwnego. Różne cechowniki, RACe, dołączniki preselekcji razem nieregularnie zapalały się i znikały.

Coś niedobrego się dzieje.

Wiatr z każdą chwilą się wzmacniał.

Nagle czyjaś ręka chwyciła mnie za ramię.

Podskoczyłem ze strachu...

- A to ty - wykrztusiłem z siebie do Darka - posłuchaj co się dzieje.
- Jakoś dziwnie stuka. To nie jest „zdrowy” odgłos.
- Zobacz na „telewizorek”.
- Niesamowite. Przecież te zespoły...
- Nie są powiązane. Tylko dlaczego tak razem stukają ?
- Zgaś to. Chodźmy do kapciory. Zimno tu. I tak nie wiadomo co się dzieje.
- Może to jakiś kabel dostaje jakieś łupnięcia obcymi potencjałami, a że go w tę pluchę szlag trafił to nie dziwne.
- Może... I waliło by tak setkami abonentów? Nawet nie, bo nie tylko dołączniki preselekcji walą.
- Ty wiesz. Ja tak myślę, że ludzkość kiedyś straci władzę nad tymi maszynami. No nie nad tą. Ta nic nie może i jest zbyt prosta. Ale brzmi to tak, że nieswojo mi się tu samemu siedziało. Takie miałem wrażenie że wokół ta maszyna jest mi wroga. Choć przecież ją konserwuję i o nią dbam. Za dużo filmów...
- No ale wali ciągle. Jak by co, to żeby to się nie wyłożyło wszystko na naszej zmianie.
- To chodźmy na herbatę.

W tej chwili ktoś zapalił światło, czyli był przy drzwiach.

Zza alejki ukazała się młoda dziewczyna w dość wyzywającym makijażu.

- Poznajcie się - zaczął Darek - To jest Michał
- Cześć !
- A to jest Aśka. Pracuje na BN-ie na przełączalni.
- Hej.
- Myślałem, że o tej porze już na PG nie ma nikogo.

- A jak widzisz ja jestem. I to sama...

Podeszła do mnie i włożyła bezceremonialnie dłoń w me długie włosy.

- Ładne masz pióra. - powiedziała i wyszła tak szybko jak się pojawiła.

- Leci na ciebie - stwierdził Darek - na każdego faceta tu leci i chyba jej wpadłeś w oko. Założę się, że teraz czeka na dole aż zejdziesz, niby że kabel na Muranów II trzeba sprawdzić...

- I co? I ja mam ją bzyknąć bo mam „ładne pióra”, czy dlatego że kabel na Muranów...

- Rób jak chcesz. Ja bym na twoim miejscu...

Rozległ się dźwięk dzwonka i nad jedną z alejek zapaliło się czerwone światło.

Alarm pilny - bezpiecznik stojakowy.

- Dawaj drabinę.

- Ja tego nie włożę - zarzekł się Darek.

- Bo co? Że zwarcie może jest?

- No pewnie - jak cię w oczy walnie gorącym metalem to wzrok - papa.

- Eee... daj ten bezpiecznik i wyłącz ten dzwonek do cholery. Odwróć łeb i wsadzę. Wlażłem na drabinę, wyciągnąłem przepalony bezpiecznik.

Hmm 1000A ma siłownia więc jak walnie...

- No dobra wkładam.

Cisza. Nic nie strzeliło.

- Zgasło ?

- Zgasło.

- No to jakieś dziwadło to było. Takie 50A bez powodu się nie pali.

- No ale teraz i tak nic nie znajdziesz.

- Dobra, już złazę. Gdzie ta herbata?

Jasio stał nade mną, a ja kląłem na czym świat stoi.

- No i zobacz cholera, że nie mam co włożyć. Albo od razu mi w zęby strzela, albo mizernie coś moc wychodzi - biedziłem się nad nadajnikiem UKF

- A nie możesz skorzystać z jakiegoś gotowego schematu.

Popatrzyłem na Jasia takim wzrokiem, że odechciało mu się takich propozycji.

Wiedział, że uparłem się „od podstaw” i że nie ma zmiłuj.

- Wiesz co Jasiu? Mam tu jeszcze jeden taki impulsowy tranzystor BSX coś tam. No bo już nie mam co wkładać. Wlutuję tego i zobaczmy jaka będzie moc.

Pogmerałem w pudełku, znalazłem odpowiedni tranzystor, nałożyłem pasty silikonowej i

założyłem radiator.

Wlutowałem.

- Dawaj sondę. Teraz zobaczmy. Włączaj zasilacz.

Wskazówka stuknęła o kraniec skali.

- Przełącz zakres... Ty! Zobacz, nareszcie to cholerstwo działa!

- No, no a tranzystor niby wcale nie w.cz.

- Ale działa. Czekaj. Włączę kasetę, weźmiemy radio i pójdziemy zobaczyć gdzie to draństwo będzie słychać.

- Sądząc po napięciu na sztucznym obciążeniu, to szykuje się daleki spacer - rzekł Jasio.

- No pewnie że daleki, ale co tam. Przez przypadek znalazłem dobry tranzystor.

Czekaj, zobaczę tylko, no obsłucham czy nie ma wzbudu gdzieś.

Podłączyłem antenę i ponownie włączyłem zasilacz.

Pokręciłem odbiornikiem po całym zakresie od 65 do 108 MHz.

- Nie. Idzie piękna czysta nośna. Ale moc "słuszna" bo intermodulacje w radyjku się pojawiły.

- Jaka częstotliwość ?

- Na oko 70,3 MHz. Powinno być 70,31 zgodnie z rastrem...

- No ale nie mamy czym zmierzyć.

- No i dlatego kit mu w radiator.

- Dasz mi później Michał ten schemat co? Ja też zrobię. Może nawet będziemy gadać pomiędzy sobą na UKF.

- Włączam Dire Straits, bo to mam najlepiej nagrane. Zakładaj buty. Idziemy.

Dwu młodych chłopaków szło, z małym radiem turystycznym wzbudzając zaciekawienie nielicznych przechodniów tego wieczoru.

Na radiu osadzały się płatki śniegu.

- Ale pięknie słychać to "Brother in Arms"

- No nad ustawieniem modulacji razem z preemfazą to ja posiedziałem trochę. A z przyrządów, to ja do tego mam tylko dobre ucho.

Radyjko grało sobie wciąż czyściutko.

Wyszliśmy na północ z osiedla i poszliśmy „na skóśkę” w kierunku Przybyszewskiego. Tak gdzieś w rejonie ulicy Schroegera pojawiły się pierwsze zaniki, ale poza nimi sygnał wychodził na czysty.

Przecieliśmy Kasprowicza i poszliśmy przez Las Lindego. Tu już szumiało, ale czasem wyskakiwało na maksimum.

Doszliśmy do Marymonckiej. Na przystanku tramwajowym u wylotu ulicy Dewajtis grało bardzo mocno. Staliśmy czekając na majaczącą w oddali szóstkę, bo nie chciało nam się wracać piechotą.

Mieliśmy nadajnik UKF i całą dzielnicę w zasięgu.

- Panie Michale, musimy porozmawiać - zaczęła mnie nasza kierownik zmiany.
- Słucham pani Danusiu.
- A więc panie Michale, kończy się panu umowa o pracę na czas określony i chcemy przedłużyć ją z panem na czas nieokreślony. Ale tu rodzą się komplikacje.
- Jakie ?
- Otóż kierownictwo wymaga, aby osoby pracujące na czas określony, przeszły szkolenie z działania danej centrali.
- Ależ ja tutaj się najlepiej...
- Ja wiem, panie Michale i wiem, że pan całe serce w tą pracę wkłada. Tutaj u nas się najszybciej uczy, ale wiążą mnie regulaminy. Musimy zatem wysłać pana, o ile się pan zgodzi, na trzymiesięczne szkolenie...
- Ilu miesięczne ? - spytałem z niedowierzaniem
- No właśnie trzymiesięczne. Tu niedaleko, na Ciołka.

Nawet pasuje - pomyślałem - jakiś ciołek to wymyślił.

- No i pan po tym szkoleniu musi podpisać zobowiązanie, że nie zwolni się pan od nas przez okres pięciu lat. Przy złamaniu zobowiązania, pokryje pan całkowite koszty szkolenia.
- Czyli ile?
- Pięć tysięcy złotych.
- Ile?!
- No właśnie. Ja też uważam, że to gruba przesada. Przecież to prawie roczna pana pensja.
- Pani Danusiu, w takiej sytuacji ja nie mogę podpisać takiego zobowiązania.
- No to niestety będzie się pan musiał zwolnić, a szkoda bo pan nam tu dobrze się sprawdza.
- Pani Danusiu, no co ja pocznę? Ja nie wiem co będzie na przykład za cztery lata. Toż to będzie już następny wiek.
- No więc właśnie. Dlatego, jeśli pan nie przyjmuje tych warunków, to musi pan w kadrach napisać takie pismo i wówczas umowa po prostu wygaśnie, ale otrzyma pan nienaganne świadectwo pracy.
- Tak będę musiał zrobić.

I przyszedł taki dzień, że wyszedłem z budynku TPSA przy ulicy Mierosławskiego jako bezrobotny. Bezrobotny ale z bezcenną wiedzą. W zasadzie planowałem pracować nadal

w jakimś przedsiębiorstwie telekomunikacyjnym, ale nagle nastały takie czasy, że na jedno miejsce było stu chętnych...

- Nudzić się? Jasiu! Ja nie jestem człowiekiem, który się może nudzić. Ojciec mi przysyła trochę pieniędzy, na czynsz i skromne życie, czyli śniadania i kolacje starczy. Może nawet na benzynę czasem. Obiady jadam jak wiesz u matki.

- No ja wiem, że nie będziesz siedział na murku z piwem.

- Słuchaj, kupiłem starą używaną i zepsutą konsolę mikerską. Naprawiłem. Możemy zacząć coś nadawać. Tylko że widzisz. Ja kupiłem deck i amplituner Kasprzaka, ale ktoś musi pożyczyć mi odtwarzacz CD, jakiś mikrofon, płyty i inne potrzebne pierdoły.

- No dobra. Popytam. W zasadzie masz teraz czas. Ty, a widziałeś tę kometę? Pierwszy raz widziałem kometę...

Warszawa - Bielany, osiedle Piaski, 6-go marca 1997, godzina 20:35

Zadzwoił domofon.

- Słucham.

- Państwowa Agencja Radioko....

- Dobra, włącz Adam.

Do mieszkania wszedł wesoły chłopak z jeszcze dłuższymi od moich włosami.

- Chcesz herbaty? Na koszt Mazowieckiego...

- Wiem... Okręgowego Zakładu Gazownictwa. Za ich zdrowie mogę wypić. O... widzę sprzeczico się zorganizowało!

- Dobrze, że wpadłeś, bo akurat tak się składa, że dziś chcę nadać pierwszą audycję.

- A jak się radiostacja nazywa?

- Pirackie Radio Kaskada.

- Czemu Kaskada?

- A bo tak się nazywa park w innej części Żoliborza. Niech trochę myli co do lokalizacji.

- Hehe, a czy słowo "piracka" jest w nazwie?

- No pewnie! Nadajnik już zresztą włączony od półgodziny. VCO się wygrzewa, żeby stabilnie stało. Nośną nadaje.

- To może jakiś dżingielek ?

- Wymyśl coś, bo to ty będziesz ten program prowadził.

- Ja, hehe. Serio ?

- No a kto? Ja z tobą.

- O której start?

- Równy o 21-szej.
- Ta godzina w nawyk wchodzi. Za komuny we wtorki o 21-szej były konferencje prasowe rzecznika rządu Urbana, zakłócone przez radio Solidarność. Teraz we wtorki o 21-szej bekacz.
- No widzisz, a my o 21-szej będziemy nadawać radio.
- Myślisz, że jak szybko oni się zorientują, że to ty właśnie robisz to radio?
- Gówny mnie to obchodzi. „Ty wiesz co łoni mnie mogom zrobić”.
- ”Oni mogom pana majstra w dupe pocałować”.
- O właśnie. Wężykiem.
- No to za 15 minut...

Równy o 21-szej na 70,31 MHz w bielańskim eterze rozbrzmiały słowa.

”Tu Pirackie Radio Kaskada na 70,3 FM”.

Ruszyliśmy,

Adam bardzo się wczuł w rolę DJ-a.

Tak gdzieś po godzinie postanowiliśmy:

- Słuchaj. Tu masz do konsoli podłączony skaner. O ten hebel. Ja mam radio na 174 MHz. Tam będę nadawał "relacje z terenu", ale wpuszczaj mnie na antenę tylko gdy będzie potrzeba. Ja cię będę słuchał na tym radyjku kieszonkowym. Normalnie na 70,3 MHz. Idę do tej budki i jak ci powiem, to podasz jej numer. Zobaczymy czy ktoś zadzwoni.

- Dobra, to wszystko chyba wiem.

Ubrałem się ciepło ale i tak wiedziałem, że budka jest w takim przedsionku budynku spółdzielni mieszkaniowej i to nawet przy kaloryferze. Tego przedsionka nie zamykają. Poszedłem do budki, zdjąłem rękawice i melduję przez radio, że „JUŻ”.

„Słuchacie Pirackiego Radia Kaskada a przy mikrofonie DJ-Groszek. DJ-VARI jest przy telefonie i czeka na wasz odzew. Dzwoncie do nas pod numer 669-54-90. 669-54-90.”

Telefon zadzwonił natychmiast.

Podniosłem słuchawkę, ale ktoś zaraz się rozłączył.

Zameldowałem.

„Dzwoncie śmiało - 669-54-90”.

Dzwoni.

Podnoszę słuchawkę i przez „pik-pok” słyszę roześmiany głos.

- Cześć. Ja was słucham i jesteście wspaniali!
- A skąd do nas dzwonisz?
- Z Kochanowskiego.

- Jak masz na imię.
- Brygida.

Szybko melduję i nawet Adam wpuszcza mnie na antenę.

- Pozdrówcie mojego chłopaka - kończy Brygida

Adam pozdrawia. Chwilkę pogadałem i wracam rozemocjonowany.

Na razie jeden telefon, ale ręce mi się trzęsą. Adrenalina. Czyli jednak ludzie kręcą gałkami i na nas się zatrzymują. Nigdzie ulotek nie przyklejaliśmy.

Prowadzimy program do 23 i obiecujemy pojawić się jutro o 21.

Do wyposażenia radia doszło CB-radio podłączone pod konsolę.

Teraz będziemy nadawać także do środowiska CBistów i możemy wpuszczać ich na antenę.

Kolejny wieczór i znów nadajemy.

Tym razem jest oprócz Adama jest Jasio i Bartek.

Idę do telefonu,

I znów pierwszy telefon głuchy.

Potem różne telefony.

Dzwonią nawet ludzie z Jelonek.

Jeden telefon utkwiał mi w pamięci.

- Dzień dobry, czy ja się dodzwoniłam do radia ?
- Tak witamy serdecznie. Jak masz na imię?
- Alicja - zabrzmiało po chwili wahania. Głos brzmiał jak 40-50 letniej kobiety.
- A skąd do nas dzwonicz?
- Z Warszawy...

No i słuchawka mi opadła. Czy ludzie myślą, że stacja piracka, to jest ogólnopolska? Radio nabrało rozmachu i stało się dość popularne w okolicy. Powiadomieni młodzi CBiści brali udział w programie, przekazując sobie jeden drugiemu informację o pirackiej rozgłośni.

- Mam, mam ich... nieco powyżej 70 MHz - słyszę na kolejnych kanałach CB.
- Ja też ich mam, tylko u mnie skala trochę przesunięta.

Graliśmy szczerze mówiąc co popadło. Było techno z pirackich płyt tłoczonych nielegalnie w Bułgarii. Przywoził je stamtąd mój kolega - pół Polak a pół Bułgar.

Bywał Elvis Presley a nawet Czerwone Gitary.

Był Chris Rea i Marek Biliński.

W zasadzie szło wszystko, co nawet jeśli nienajnowsze, to wpadło kiedyś ludziom w

ucho i tym się różniliśmy od innych stacji, że były to „fajne kawałki”. Coś co dziś grają stacje mające w nazwie „Złote przeboje”. Wtedy tego nie było i takie Radio ZET na przykład, grało często jakieś lansujące się zespoły, zupełnie nie przypadające do gustu zwykłym ludziom.

Czasem nie biorąc udziału w rozmowie, słuchałem CB radia i miło było usłyszeć taką rozmowę młodych ludzi:

- Włącz sobie radio ZET, tam teraz leci ten zespół o którym ci mówiłem.
- Nie... ja teraz słucham Kaskady!

Jako, że CB radio było pożyczone i podłączone do anteny zupełnie nie na to pasmo, postanowiłem zakupić porządne radio CB i „wrócić do korzeni”.

Wybrałem się pewnego dnia na Pragę do „Grzybków” - znanego sklepu z takim sprzętem i zakupiłem Alana 87 oraz antenę stacjonarną półfalową.

Tak któregoś wieczoru sobie chodzę po kanałach aż nagle słyszę znajomy głos.

To Marcin Poliakow rozmawia z jakimś człowiekiem. Nie mam zupełnie pamięci do twarzy ale głosy zapamiętuję doskonale.

Kontakt z tym piratem urwał się dość dawno.

- Brek, brek - wszedłem między relację.
- Proszę brek - odpowiedział rozmówca Marcina.
- Cześć Marcin, ty piracie jeden. I co? Zamilkłeś i masz w nosie nasze instrukcje?
- Co... ale kto... Ty, Piotrek, kto to mówi?
- A to i jakiś Piotrek jest?
- No jestem. Piotrek Żoliborz.
- Ja tu właśnie Marcina do porządku przywołuję.
- Ale kto mówi? - dość zdenerwowanym głosem dopytywał się pirat
- No jak to kto. MY każdego znajdziemy.
- Aaa, to zaraz...
- Brek. Marcin o co chodzi, kto to jest i czego ty się tu pietrasz?
- Z tej strony Varicap Piaski. My się z Marcinem poznaliśmy w pewnych okolicznościach, a jeśli cię to ciekawi to może „na wizji” o tym razem pogadamy.
- No dobra. A jak cię wołać?
- Varicap Piaski - odpowiedziałem.
- Okey. Marcin?
- Jestem.
- No i co? Co to za tajemnice?
- Później Ci powiem.

- Brek.
- Dawaj.
- Ja mogę wieczorem podjechać tam gdzie wtedy, Marcin. Możesz przyjść z kolegą.

Wieczorem z Jasiem podjechaliśmy na stare miejsce pod Teatrem Komedia.

Z mroku wysunęły się dwie postacie. Nasz stary znajomy i jeszcze jeden gość.

Nowy znajomy – Piotrek Żoliborz – miał 16 lat i był zapalonym CBistą. Uwielbiał także motocykle.

Mieszkał sam z matką, która jednak dużo podróżowała i wiele dni pomieszkiwał sam.

Miał też telefon podłączony do nieodżałowanej pamięci Strowgera Żoliborz I, mieszczącego się przy ulicy Bieniewickiej. Numer zaczynał się na 33.

To była „straszna” centrala jak określali ją później phreakerzy w internetowych wykazach. Stary i zużyty Strowger powodował mnóstwo pomyłek, wpadanie na siebie kilku rozmówców z niemożnością rozłączenia się i zapewniał mnóstwo innych „atrakcji”. Właśnie ten Strowger wymieniony później na nową, cyfrową centralę zaważył na dalszych losach tej historii.

Wiosna wybuchła kwieciami, śpiewem ptaków, ciepłymi wieczorami, podczas których nie chciało się wracać do domu. Zapachem ziemi i specyficznym zapachem pączków wierzby, który tak jak brzmienie dwupłatowców An-2, lądujących letniskimi sennymi popołudniami na lotnisku Bemowo, stanowi o klimacie tej spokojnej dzielnicy.

Tego wieczora złożyłem wizytę u mojej babci w bardzo już podeszłym wieku.

Co jakiś czas rodzina naciskała na te odwiedziny, bo „wypada i babci będzie miło, a siedzi sama”.

Szedłem zatem piechotą w ten wiosenny ciepły wieczór, pachnący świeżo zakwitłymi drzewami. Gdzieś tam przebłykiwały jeszcze żółte forsycje.

Idąc tak od Kochanowskiego, przez podwórka do Broniewskiego, a potem dalej na stare Bielany zupełnie nie roniłem dialogów z idącego właśnie filmu „Detektyw Poirot”. Z każdego otwartego okna dobiegał dźwięk telewizora nastawionego na ten sam program. Film chyba się kończył, bo uszu moich doszła znajoma melodia towarzysząca napisom końcowym.

Latarnie pięknie podświetlały obsypane kwieciami drzewa, których nie brak na Bielanach, a na zachodzie gasła poświata mijającego dnia.

We mnie zaś rodziła się słodka potrzeba bliskości z osobą płci przeciwnej. Kochanej kobiety, która gdzieś tam chodzi po ziemi i gdzieś w przyszłości nasze losy splecione... Zaglądając mimo woli do ludzkich okien i patrząc na osoby krzątające się przy robieniu kolacji, poczułem się bardzo samotny. Wiosna jednak napępiała mnie energią i nadzieją. Ja NIE BĘDĘ sam. Spotkam KIEDYŚ Ją...

W moim mieszkaniu jak za dawnych lat, CB radio znów zajęło ważne miejsce. Pirackie Radio Kaskada ustaliło już audycje co drugi dzień i ze zdziwieniem i małym zmieszaniem przyjąłem kiedyś w małym pokoju, gdzie stał sprzęt, aż dziesięć osób.

Jeden drugiemu, brat cioteczny kumpla kolegi Jasia wraz ze swą dziewczyną czy też siostra kumpla brata Bartka... W każdym razie siedzieli także na podłodze.

Okazało się, że dwie z dziewczyn bardzo dobrze prowadzą program.

Ja byłem realizatorem przy konsolce, bo zdobyłem już wprawę, a one wspaniale improwizowały.

PAR jakby zapadł się pod ziemię. Zero interwencji.

Jednak zawsze o 20:30 tuż po włączeniu nadajnika dla rozgrzania VCO odzywał się głuchy telefon... Mój domowy telefon, którego numeru nigdy na antenie nie podałem.

Coś tu było niedobrze. Bardzo niedobrze.

Na CB poznałem wesołego człowieka z Pragi imieniem Łukasz.

Tak się składało, że miałem wolny, spory kawałek kabla antenowego RG-213, a on reflektował.

Jak by tu się spotkać ?

W końcu zgodziłem się pojechać do niego i od razu nieco się przestraszyłem.

Praga - Szmulki. Brzeska i te sprawy. „Kosa” w plecach w biały dzień.

- Jasiu - prosiłem przez telefon - pojedź ze mną bo samemu wiesz... po łbie można dostać i samochód stracić.

- Dobra, pojedź po mnie. Będę czekał przy śmietniku i pojedziemy.

- OK.

- Hmm... ulica Wiosenna. Gdzie to jest - zastanawiał się Jasio nad planem Warszawy.

- Tu gdzieś chyba się powinno skręcić - powiedziałem na Targowej.

- O! To w prawo!

- Kurwa - zakląłem skręcając ze środkowego pasa tuż przed zdumionym Polonezem prosto w...

- Jasiu! Co to za ulica.

- Czekaj, jedź prosto.

- Jadę cały czas prawie prosto.

Minęliśmy jakieś bocznice od dworca Wileńskiego, tyły fabryki wódek i po obu stronach pojawiły się nowsze budynki.

- Jest Wiosenna!

Skręciliśmy na spory parking.

Pod podanym nam numerem klatki stało kilku chłopaków.

- No to dobrze, że nas dwóch jest chociaż.

Wysiedliśmy.

- Ja jestem Varicap Piaski - powiedziałem do grupki - a kto z was to Łukasz Praga ?
- To ja - wysunął się uśmiechnięty wysoki chłopak w ciemnych okularach ze zmierzwioną czupryną.

- No to już. Mam w bagażniku.

Łukasz okazał się zupełnie spokojnym gościem, mimo że mieszkał w okolicy cieszącej się złą sławą.

Tak więc Łukasz dołączył do naszej grupy, czyli mnie, Jasia, Bartka, Piotrka i rzadziej się pojawiającego Marcina spod Teatru Komedia.

Był jeszcze jeden Marcin. Ten był moim starym przyjacielem jeszcze z czasów zawodówki. Z nim można było konie kraść (a z kim z nich nie było można...) tym bardziej że konie bardzo lubił.

Z łóżka z samego rana, gdzieś około godziny 11 wyciągnął mnie dzwonek domofonu.

Tak to jest z porankami, gdy się do nocy siedzi i gada o życiu z kumplami, już po zakończeniu emisji programu.

- Cześć Michał.
- A to ty Łukasz. Wejdz - powiedziałem ziewając i naciskając przycisk otwierający drzwi.
- A to jest Agnieszka.
- O kurde. No wchodźcie, Ty z kobietą a ja tu w slipkach. Wejdźcie do pokoju, a ja zaraz się ubiorę i co? Herbatki?
- A co jeszcze może być.
- Jeszcze może być woda przegotowana.
- No to chyba wolimy herbatę.
- Ja też wolę. Ale leje. Zmokliście chyba?
- Już trzeci dzień pada - powiedziała Agnieszka Nastawiłem czajnik.
- Ty, Michał, a może byś nam wynajął łazienkę na pół godziny.
- Ty świntuchu - kuksnęła go łokciem Agnieszka
- Łukasz, ja ci wynajmę czekaj... Gzić się zachciało w mojej łazience.
- Bo zimno! - ciągle śmiał się Łukasz
- To farelkę włączę. O właśnie. Dobry pomysł.

Włączyłem farelkę w przedpokoju, ale w gniazdo w łazience. Mikroskopijne mieszkanie. Zbawcze ciepło popłynęło w stronę małego pokoju gdzie siedzieliśmy.

Za oknami nieustająca ulewa.

Jeszcze wówczas nikt nie wiedział, że przerodzi się w powódź stulecia.

Rok 1997, to był rok, gdy internet jeśli już trafił pod strzechy, to jedynie wdzwaniany.

Wdzwanianie także było loterią. Czy uda się w pierwszej setce „retry dial” czy też nie. Sygnał zajętości po numerze dostępowym był codziennością.

Ja w tych czasach ani komputera, ani dostępu do internetu nie miałem.

Nie miałem też telewizora, choć nie z powodu ostentacyjnej wrogości wobec telewizji, czy swoistego snobizmu - ot nie miałem po prostu. Może jednak brak telewizji powoduje że człowiek więcej myśli. Samodzielnie

Jasio miał kolegę zwanego Jańciem. Jańcio mieszkał z matką, czasem wyjeżdżał do USA, do pracy w zakładach "Federal Signal" i jak cała nasza zgraja niezbyt lubił „czerwonych”. W zasadzie nikt z nas nie był zwolennikiem postkomunistów, a jedni czy drudzy w różnym stopniu odnosili się do nich wrogo.

W tymże czasie Jańcio wrócił z USA przywożąc zestaw syren i lamp stroboskopowych - niebieskich „kogutów” na magnesie. Przywiózł i od razu się oburzył kampanią plakatową wzywającą do głosowania na „Tak”, za nową konstytucją przepychaną przez Kwaśniewskiego.

Jako człowiek czynu, postanowił że nie pozostanie bierny.

Jańcia, Jasio przedstawił mi w ciemnym przejściu pomiędzy budynkami, gdzie nie działało oświetlenie. Atmosfera aż wibrowała konspiracją i to taką z lat 80-tych.

Jańcio był zapewniony o mojej postawie antykomunistycznej, ale nie omieszkiał osobiście mnie wysondować.

Próba chyba wypadła pozytywnie bo wyjawiał swe zamiary.

Akcję plakatową, będącą w zasadzie wielką akcją billboardową należało zakłócić.

Byłem ciekawy sposobu i moja ciekawość natychmiast została zaspokojona.

Jańcio wyciągnął pieczołowicie trzymaną torbę i pokazał zawartość.

Zawartością były żarówki, ale nie było im już pisane nigdy rozblysnąć.

Były to „otwierane” żarówki, napełnione czerwoną farbą olejną i jakimś Jańciowi tylko znanym sposobem znów zamknięte i do tego szczelnie.

Żarówki miały stanowić broń miotaną ręcznie przeciw wrogim plakatom.

Ja również byłem przeciwny inicjatywie Kwaśniewskiego, czując przez skórę, że jeśli komuchy coś pchają, to na pewno nie dla dobra kraju, ale planowana akcja nie wzbudziła mego entuzjazmu. Choćby także dlatego że można głupio wpaść.

- A co będzie jak ci się skończą zużyte żarówki? Przecież nowych chyba kupować nie będziesz. Za drogo by wyszło.

- Są jajka.

- O cholera...

Stanowczo odmówiłem podstawienia swojego samochodu dla celów akcji.

Okazało się, że Jańcio dysponował Fordem, jak również kompletem jakiś amerykańskich tablic rejestracyjnych.

- No to teraz „na pewno” nie będziemy się rzucać w oczy... - mruknąłem.
- Ale nikt nie dojdzie sprawców – odpowiedział rozsądnie Jańcio.

Pierwsza akcja miała odbyć się „w biegu” i to na nieszczęście dowiedziałem się o tym prowadząc swój samochód.

Miałem przejechać sobie spokojnie z Kasprowicza, przez „serek” i skręcić na południe koło budynku PKS Marymont, w ulicę Marymoncką w kierunku placu Wilsona.

Polecono mi jednakże w okolicy billboardu stojącego na terenie jakiegoś prywatnego komisju samochodowego, na tyłach dworca PKS, nieco zwolnić.

Tak też uczyniłem.

W międzyczasie dowiedziałem się, że „dziś idą jajka”.

W akcji uczestniczył także jeszcze jeden kolega Jasia i jako „paker” siłowniany miał się dobrze zamachnąć z tylnego siedzenia.

Zwolniłem na zakręcie jak mi kazano i z tylnego siedzenia coś przez okno poleciało z dość imponującą siłą.

- Kurwa.
- Ja pierdolę...
- Co jest - powiedziałem niepewnie, wyczuwając „awarię”.
- Nie trafił pajac.
- Bo się wiercisz cały czas.
- Ty, spierdalamy.

Machinalnie dodałem gaz do deski. Silnik zawył na wysokich obrotach i skoczyliśmy do przodu aż nas wcisnęło w fotele.

Odruchowo spojrzałem we wszelkie możliwe lusterka i w prawym bocznym zobaczyłem jakieś zamieszanie na terenie komisju samochodowego.

- Coś ty zrobił?!
- Ja pierdolę, w samochód trafił. Za nisko przeleciało.
- Co??!!
- W takiego zielonego Forda w komisie.
- To on już nie jest całkiem chyba zielony, bo z tego co pokazywałeś to Jańcio nalał czerwonej farby.
- No i cała maska i szyba są czerwone. Ciec wyleciał...

Noga sama dociskała pedał gazu i nie miałem nad nią panowania.

- Coś tam wrzeszczał.
- Nic nie zobaczył. Na pewno nie rejestrację.
- Toż dobrze, że się żarówka przepaliła jedna. WIJ tylko widać. Cyfr już nie. Ale

czarnych Peugeotów WIJ chyba dużo nie ma.

- Co ty. On nic stamtąd nie zobaczył. To w dole jest, a droga idzie nasypem.
- Ja już nie jeżdżę swoim wozem.
- Dobra , pojedziemy Jańcia.

Skręciłem we Włociańską i podskakując na kocich łbach, jakie wówczas stanowiły jej nawierzchnię, przedostałem się do Broniewskiego przy stacji energetycznej.

- Jadę na Chomiczówkę. Zamiana wozów albo koniec akacji.

Samochód Jańcia był wygodny.

Dużo większy niż mój i miło było zasiąść na tylnej kanapie wiedząc, że i tak będę tylko obserwatorem.

Jańcio już zarejestrował pojazd, ale miał w bagażniku tablice amerykańskie.

- Jedziemy na Bródno. Tam jest dużo billboardów i są nisko.

Gdzieś w krzakach na Bródnie Jańcio nerwowo zmieniał tablice. Coś za nerwowo.

- Spokojnie. Toż jak nie jedziesz to możesz mieć i argentyńskie. Najwyżej się powie, że to do zdjęcia albo że amatorski film kręcimy.
- A kamerę masz?
- No to że próbne role.
- I koniecznie z tablicami?
- No cholera, niby racja.

Trasą Toruńską obok przejechał radiowóz.

- Cholera. Nie podoba mi się to.
- Dobra, Zrobione. Jazda.
- Ale musisz wyjechać tu na osiedle, bo to z trasy trzeba rzucać, a tu nie cofniesz.
- Jedziemy.

Po kilku dniach Jasio przyniósł mi do domu egzemplarz Gazety Stołecznej – dodatku do Wyborczej.

Na pierwszej stronie zdjęcie plakatu z olbrzymią plamą i tekst o konstytucji oraz o „niszczeniu billboardów”.

- To nasza robota.
- A gdzie to?
- Na Schroegera... nie. W zasadzie na rogu Żeromskiego i Lisowskiej.
- No to ładnie...
- Teraz pewno będą wyżej wieszać. Ale i ten wysoko wisiał. Jakieś drugie piętro. Paweł dorzucił.

Deszcz znowu się rozpadał. Lato? Nie lato?

CB szumiało na biurku, a w przedpokoju szumiała farelka.

Wróciłem właśnie ze spółdzielni gdzie płaciłem czynsz i suszyłem przemoczone do suchej nitki ubranie.

Właśnie zawołałem jak zwykle Łukasza gdy na kanał coś wlało.

Rzęziło okropnie i miało strasznie silny sygnał.

Po chwili doszedłem że to rozmowa w LSB. Trochę mnie to zdziwiło bo CBiści "na bokach" używają raczej tylko USB.

Wstroilem się.

- Nie pogadają gagatki. To ten co mu licencje zabrali za bekanie...

Przełączyłem się na AM, ale o rozmowie z Łukaszem nie było mowy.

Zadzwoń do niego.

- Ty widzisz co się dzieje ? Choć na 25,650 MHz w FM.

- Idę.

Pogadaliśmy chwilę o czym znowu rżenie.

Przełączyłem się w LSB i mówię, że źle się bawią, a poza tym podobno krótkofalowiec nie łamie prawa, a tutaj to pasmo amatorskie na pewno nie jest.

Usłyszeli.

- I jeszcze będzie nas pouczał. Nie pogadasz. My mamy duże moce i zapomnij o gadce. Na żadnym paśmie nie pogadasz.

- Czyli łamiecie prawo. Bo i pasmo nie wasze i moce, jak często przyznajecie, wyższe niż najwyższe limity.

- My to my, a wy to wy. Nie pogadacie szmaciarze jedni, cymbaliści...

Wyłączyłem radio.

Zadzwoń do znów.

- Łukasz. Chyba czas na „Warszawską Jesień”

- Jestem za...

„Niebieski” był w naszym wieku. Był krótkofalowcem i mieszkał w okolicach

Mławy.

Siedział u Łukasza, gdy był przejazdem w Warszawie i tu się poznaliśmy.

- Miło mi poznać sławnego Michała – przywitał się.

- Dlaczego sławnego ?

- No przecież jak ci zabrali licencje, to głośno było w całym okręgu. Podobno zabrali cię

w kajdankach z domu.

- No tak. Plotki to oni umieją rozsiewać.

„Niebieski” obiecał, że w czasie akcji wspomógł nas nasłuchowo i telefonicznie będzie zdawał raporty o słyszalności oraz monitorował inne pasma pod kątem znalezienia częstotliwości, na której „oni” mieliby się koordynować.

- Muszę wam powiedzieć, że sprawa może się źle skończyć. Oni mają kolegów w PAR. Niejeden sam tam pracuje. Mogą mieć służbowy sprzęt i użyć go – ostrzegłem towarzyszy broni.

- Wiem – odparł Niebieski – oni ciebie podejrzewają o wszystko, nawet o to czego nie robisz.

- A wiesz, że zastanawia mnie czemu nic nie robią z tym, że ja nadaję na paśmie radiofonicznym?

- Może przez to, że się przejechali.

- Jak to?

- Oni chcieli nie tylko zabrać ci licencję, ale po tym piraceniu na 147 MHz, chcieli spowodować sprawę karną. Akurat zmieniło się prawo i z wykroczenia znów ten czyn jak za komuny, czyli piractwo radiowe, stał się przestępstwem. Chcieli zrobić z tobą pokazowy i odstrasżający proces. Odstrasżający innych.

- No więc czemu nic się nie dzieje?

- Z tego co słyszałem, to oni złożyli zawiadomienie do prokuratury o popełnionym przestępstwie, po tym jak zabrali ci licencję. I tu ich prokurator usadził.

- Czemu?

- Bo odpowiedzialność karna jest za nadawanie bez zezwolenia. Za złamanie warunków zezwolenia jest odpowiedzialność administracyjna, na przykład właśnie zabranie licencji. Więc albo albo.

Zabrali ci licencję i napisali że to za przekroczenie jej zapisów. Chodzi o pasmo.

Tym samym przyznali, że nie nadawałeś bez zezwolenia tylko wbrew zapisom tego zezwolenia. A więc sami przyznali że je miałeś gdy piraciłeś. Sami wybrali drogę.

Mogli ci nie zabierać zezwolenia i uznać, że praca poza pasmem amatorskim jest pracą bez zezwolenia. Mogli to zrobić tym bardziej, że chyba tam znaków nie wymieniałeś.

- Nie wymieniałem.

- No widzisz. Więc mogli tak zrobić. Ale byli tacy rozemocjonowani, że koniecznie chcieli ci tę licencję zabrać. I zabierając ją, przyznali że za złamanie jej zapisów. Zatem nie ma mowy o nadawaniu bez zezwolenia, co jest ścigane karnie, a jest mowa o nadawaniu wbrew zapisom zezwolenia, za co jest tylko odpowiedzialność administracyjna, właśnie na przykład w postaci zabrania zezwolenia. Zabierając zezwolenie, z tego co słyszałem, zamknęli sobie drogę do zemsty w postaci wpędzenia cię w postępowanie karne. Potem nadawałeś audycje radiowe, ale oni się już sparzyli a im ktoś powiedział, że to będzie znikoma szkodliwość i co najwyżej zabiorą ci nadajnik.

A ty zaraz zbudujesz drugi.

- Bo by tak było.

- No więc nic nie robią. Oni tam zbyt rozgarnięci nie są, choć mogli by cię łatwo przyskrzynić.

- Co ma być to będzie...

Zemsty nadszedł czas.

Naszą bronią był głównie Jasio z powodu nieznanego szerzej na pasmach głosu. Na CB od pewnego czasu się nie odzywał z powodu kłopotów antenowych z administracją osiedla.

Plan był prosty i skuteczny.

Jasio odzywał się swoim głosem i wytykał wszystkie dwulicowe zachowania „starszyny”. Nikt go nie znał a on... znał wszystkich.

Niepojętym dla nich sposobem rozpoznawał docinających mu krótkofalowców po głosie, znał ich adresy i wiele szczegółów z życia prywatnego.

Kluczem do wiedzy ogólnej i rozpoznawania głosów byłem ja, stojący obok Jasia i poza okresem nadawania, tłumaczącym kto mu docina, gdzie mieszka i jaki ma znak. Docinki krótkofalowcy prowadzili jak im się wydawało anonimowo.

Reszta informacji to czasem tylko plotki, ale cennym źródłem informacji był jeden z kolegów moich kolegów, ulokowany niczym dobry wywiadowca, jako społeczny pracownik w Zarządzie Warszawskiego Oddziału Terenowego Polskiego Związku Krótkofalowców. Jasio – miłośnik wywiadów i ich poczynąń, sprawdzał niejako wiarygodność informacji.

Ktoś mógłby w końcu puścić przeciek kontrolowany.

Gdy jeszcze miałem licencję, założyłem się z dawnym moim kumplem z zawodówki – Marcinem, że pójdę jeszcze raz na egzamin. Jeśli o określonym dniu przed egzaminem się stawię, to i on do niego drugi raz przystąpi.

Egzamin... zdaliśmy.

Ciekawiła mnie tylko sytuacja z jednym pytaniem, które trafiło mi się identyczne jak na pierwszym egzaminie kilka lat wcześniej.

Odpowiedziałem identycznie i wtedy uznano mi odpowiedź, a teraz zaliczono jeden błąd. Przepisy się akurat w tej sprawie nie zmieniły, a egzaminator był ten sam.

Nawiasem mówiąc egzaminuje do dziś.

Nie rozumiem zatem, jak można tę samą odpowiedź potraktować raz za poprawną, a raz za niepoprawną. Sprawdziłem w domu. Odpowiedziałem oba razy prawidłowo i egzaminator kilka lat wcześniej ocenił odpowiedź prawidłowo. No cóż. Wszyscy się starzejemy...

Po pewnym czasie wezwano nas obu do siedziby PAR celem „wy tłumaczenia przystąpienia do egzaminu po raz drugi”.

Marcin odmówił odpowiedzi i stwierdził że takie pytanie... wykracza poza zakres pytań egzaminacyjnych.

Ja odpowiedziałem (chyba proroczo), że chcę mieć drugi znak wywoławczy - w zapasie. Pani urzędniczka burknęła coś o robieniu sobie żartów z państwowej instytucji, ale my za egzamin zapłaciliśmy. Zatem jak bogaty Niemiec z „Ziemi Obiecanej” Wajdy, który zbyt głośno śmiał się w teatrze i na uciszania żony odpowiedział „zapłaciłem to się bawię” - postanowiliśmy za własne pieniądze urządzić sobie ten mały żarcik.

To co zapamiętałem z owego spotkania, to gruba teczka skoroszytowa z moim znakiem wywoławczym na okładce.

Różniła się od innych właśnie tą objętością. Czyżby zawierała donosy, o których sami mówili krótkofalowcy, odgrazający mi się na pasmie za „zachowanie niegodne krótkofalowca” ?

Na czymże ono polegało? Na swobodnych rozmowach. Nie było to dobrze widziane w „służbie amatorskiej” początku lat 90. Dziś jest czymś normalnym.

Owa teczka zaprzętała wyobraźnię naszej grupy.

Jakby się dobrać do jej zawartości ?

Padały różne propozycje, od korupcji po uwiedzenie leciwej już urzędniczki, do zadania którego zaofiarował się Bartek, mający już w życiorysie kontakty erotyczne ze starszymi kobietami.

Po kilku akcjach „komunikatowych”, w których Jasio przybrał nowy pseudonim „Herbert Beret”, zaczęło się robić groźnie.

Pewnego dnia zadzwonił mój telefon zarejestrowany jeszcze na dziadka.

Pewien pan spytał czy rozmawia ze mną, wymieniając moje imię i nazwisko.

Przytomnie odparłem że brata nie ma (którego zresztą nie posiadam) i czy aby mu co przekazać. Pan użył gróźb karalnych pozbawienia życia czy zniszczenia mienia, gdyby pan „właściwy” się „nie uspokoił”.

Od tego czasu przez pewien okres, moja linia była podłączona do gotowego na natychmiastowy zapis magnetofonu.

Skoro sprawa została już tak postawiona, to spodziewaliśmy się przynajmniej sporego mordobicia.

Nie zatrzymało nas to, a nasze akcje nabrały rozmachu.

Bekacz niczym gwiazda polarna na firmamencie tkwił nieruchomo i był jak się nam udało ustalić że źródła operacyjnego w Zarządzie - nie do namierzenia „mimo wielu prób”.

Próby też kończyły się kompromitacją, nie tylko samych krótkofalowców, obeznanych niby z radiotechniką, ale i instytucji PAR, który po drugim fiasku odmówił ze względu na koszty akcji pelengacyjnej.

Bekacz nie był głupi. Potrafił - jak się domyślaliśmy - ze współnikami, zrobić niezły kociołek, po czym w jednej sekundzie wszystkie z nim powiązane stacje milkły.

My, wzorem Poliakowa, chcieliśmy z nim złapać kontakt. Chyba nie był zainteresowany i nikomu nie ufał.

Kontaktu nie udało się nawiązać.

Mimo to, Herbert Beret dzielnie prowadził akcje uświadamiające.

Kto na lewo daje licencje I kategorii, kto używa zbyt dużej mocy.

Wszelkie próby wchodzenia z nim w polemikę, z czasem wywoływały strach tego czy innego krótkofalowca.

Wystarczyło jedno słowo by Herbert zwracał się do adwersarza jego znakiem i wymieniał litanie niezbyt nadających się na emisję w eter, danych osobowych śmiałka, co skutecznie zniechęcało.

Po krótkim okresie „chojrakowania” krótkofalowcy zaczęli się bać odzywać w czasie jego obecności na przemienniku.

Wkrótce okazało się, że stacja czytająca komunikat zaopatrzyła się w stosowne pozwolenie oraz sprzęt i będzie nadawać potężną mocą.

Bekacz mimo to przebijał się i tłumił legalną stację.

Padały stwierdzenia, nie pozbawione logiki, że bekacz „jeździ pod przemiennik” i z racji bliskiej odległości przykrywa wszystkich.

Doszły nas informację, że jeździ i bekacz i „silna grupa pod wezwaniem” mająca go znaleźć i sprawić łomot.

Nie bylibyśmy sobą gdybyśmy nie włączyli się do tej akcji po swojemu...

Rozpoznanie terenu przeprowadziłem w ciągu dnia.

Była późna jesień i szybko zapadał zmrok, co sumiennie odnotowałem na naszą korzyść. Przemiennik amatorski SR5W znajdował się na kominie Elektrociepłowni Kawęczyn na samych wschodnich krańcach Warszawy.

W zasadzie wszędzie dookoła pustkowia, nieużytki, tereny fabryczne i pofabryczne, a z tyłu las, za którym biegła szosa. Po drugiej stronie szosy znajdował się już Rembertów. Niby część miasta, ale tylko administracyjnie. Rembertów wyglądał na podwarszawską osobną miejscowość, nie różniącą się, od faktycznie podwarszawskich, takich jak Stara Miłosna czy Józefów.

Moją uwagę przykuł ów las.

Z przodu elektrociepłownia miała wielki parking. Wieczorami prawie pusty, bo istniał też drugi, wewnętrzny, za bramą, do którego nie mieliśmy dostępu, a na którym parkowali pracownicy.

Ten plac nie wydawał nam się dobrym miejscem. Byliśmy tu jak na patelni, oświetleni potężnymi latarniami.

Zatem las za elektrociepłownią.

Ale las to las. Drzewa i tyle. Szosa podwarszawska bez latarni. Sceneria jak z filmu kryminalnego i do sceny znalezienia zwłok zgwałconej prostytutki.

Ale las miał jedną drogę gruntową, zamkniętą drewnianym drągiem, przybitym do dwóch drewnianych słupków.

Blizsza znajomość z drągiem, pozwoliła stwierdzić iż udaje on tylko drąg wbity na stałe. Gwoździe z jednej strony ktoś dawno wyjął i drąg można było odchylić na tyle, by przejechał samochód osobowy, przy pomocy osoby trzymającej to drewno w górze.

Nas było kilku.

Poświęciliśmy jeden wieczór na eksplorację drogi.

Droga była przejezdna, mimo że ślady jazdy jakiś pojazdów były stare. Wiodła w zasadzie z jednym odgałęzieniem w prawo, cały czas na wprost, w coś w rodzaju bagienka z którego udało nam się w porę wycofać. Zawrócić nie było tu gdzie.

Cofnęliśmy do tego rozwidlenia i pojechaliśmy w prawą stronę.

Trafiony! Dojechaliśmy do niewielkiej polanki mającej kilkanaście metrów kwadratowych, pozwalającej jednak zawrócić samochodem. Znajdowaliśmy się pod samym murem Elektrociepłowni z jej tylnej strony, tuż pod kominem. Obok wznosiła się jakaś hałda ziemi jak gdyby przesypana koparką przez ten mur na stronę lasu.

Idealne miejsce. U stóp komina ale poza terenem elektrociepłowni.

Już bliżej a zarazem bardziej zamaskowani być nie mogliśmy.

Co prawda nadawanie spod samej podstawy komina nie jest bardzo skuteczne, zważywszy charakterystyki anten, ale lepszy rydz niż nic.

Tu będzie nasz plac bojowy.

- Ja się tylko boję Jasiu, co będzie jak oni tu będą chcieli przyjechać. Tu się nie ma jak minąć. Co ja bym wtedy zrobił. Miałbym ich spychać do tego bagna z boku ? Chyba bym tak nawet zrobił, więc niech lepiej tu nie węszą. Ja po dobroci z samochodu nie wysiądę po tych groźbach. Z zaskoczenia ich zepchnę umiejętnie.

- Nie zająrz tu. Ten drąg wygląda jak wbity na stałe. Poza tym jeśli już, to pojedą jak my

- prosto w to bagno i może nie będą mieli tyle refleksu i wyczucia co ty, że po wyglądzie gruntu nas w ostatniej chwili wycofałeś a i tak cię pchaliśmy. Oni by tam ugrzęźli na amen.

- Miejmy nadzieję. Jeśli będą jakieś pościgi, to z drugiej strony, a my tu jak mysz pod miotłą. Wiesz, ja się nie boję ich z pięściami. Ja się boję ich z bejzbolami czy innymi pałami. Oni są nieobliczalni, a pamiętaj że paru z nich to prawdziwi dawni współpracownicy SB.

- Tym bardziej ich czas powinien się skończyć.

- Jestem tego samego zdania i jeśli tu jestem to głównie dla idei. Pomyślałby kto że dla przygód. Przygoda przygodą, ale w łeb można dostać. Jednak ja uważam, że ich czas się powinien na radiu skończyć. Ja nie „otake polske” walczyłem jako gówniarz rozklejając ulotki.

- Tylko mi się nie rozklej.

- A bo mnie wkurza, że to ciągle jest. Niby osiem lat po komunie, a jakby nadal była.
- Bo jest.

- I całe dzieciństwo, kurwa, Tukana mieć nie mogłem, bo rodzinka pozwolenia nie dostała, a teraz skubańce siedzą z Kenwoodami za tysiące dolarów, a my tu mokniemy z ręczniakiem. Apropoz. Tak czy siak to dopałkę trzeba pożyczyć. Bez 50W to my tu z nimi nie wygramy. Pamiętasz co ten jeden gnojek z Targówka ma - ponad kilowat i cztery synfazowe Yagi na rotorze. Toż i tak nas przykryje.

- Przykryje albo i nie przykryje. Nie zawsze jest obecny. Zrobimy tyle co się da. Mnie też

wkurza to wielkopąństwo. Ja dlatego licencji w ogóle nie robiłem.

- A ja się łudziłem, że jak się paru młodych znajdzie i będzie nas coraz więcej...

- I widzisz. I było was kilku, a potem bali się z tobą gadać. Sami mówili ci, że mieli rozmowy uświadamiające. Niby miałeś jeszcze licencję, ale im paru radziło z tobą nie gadać, bo może kiedyś „jedynekę” by chcieli zrobić i mogą być trudności.

- Mafia kurwa mać.

- Dobra, wracamy. Po drodze do tego MacDonalda podjedziemy, to do Niebieskiego zadzwonimy...

Siąpił drobny deszczyk, ale byliśmy w komplecie w naszej kryjówce. Nad nami, światłami przeszkodowymi świecił ogromny komin. Ponury, groźny i cichy.

Samochód przezornie ustawiony przodem do powrotu.

- No i co, żaden o latarce nie pomyślał?

- Podłącz to do gniazda zapalniczki.

- Ja nie mam gniazda zapalniczki!

- To co to za samochód?

- Jak widzisz - takie małe gówno. A i tak jak myślisz, że by bezpiecznik akurat wytrzymał tę dopałkę? Do akumulatora trzeba. Bezpośrednio.

Podniosłem maskę.

- Poświeć tu. Komórką świeć mówię.

- To podłączyć, a my stawiamy ćwiartkę.

- Na głowę?

- Na głowę to w barze. Na dach ćwiartkę - no ćwierćfalówkę postaw. Jest na tylnej półce.

- No dobra. Powinno kontaktować. Dioda się świeci.

- Mamy dziesięć minut.

- Włączaj.

Radio pisnęło i dał się słyszeć znamienik przemiennika.

- Na razie spokój.
- Cisza przed burzą.

Równy o 21 rozpoczął się komunikat.

- To nadajemy !
- Nie. Bądźmy kulturalni. Poczekajmy do pytań i wtedy.
- Coś mi się zdaje Michał, że oni takiej kurtuazji nie będą wyprawiać.

Nie mylił się. Po komunikacie zaczął nadawać Herbert Beret czyli Jasio.

Początkowo przebiegał wszystkich ale przylazł ten kretyn z Targówka.

- No i widzisz. Mają w dupie twoją kurtuazję.
- Poczekaj, poczekaj. Przecież jest kolejka pytających. Będzie tę nośną musiał w końcu puścić.

Nagle pojawił się bekacz i... trudno w to uwierzyć – przykrył idiotę z Targówka.

- Szybko słuchaj na wejściu. On musi być gdzieś tu. Na 145,150 przełączaj !

Na wejściu bekacz owszem był, ale słabo.

- Co jest do cholery. Tego to i ja nie rozumiem. Przecież SR5W nie ma linku na 70cm, jak SR5A, a poza tym słyszymy go na tym wejściu tylko że słabo.
- Może on też ma kilowaty i kierunek.
- To by go dawno mieli, a my byśmy go dobrze słyszeli.

Jasio włączył się do gry.

- No i macie swego ulubieńca
- Ty, pirat, ty długo nie pożyjesz, jesteś już namierzony.
- Wrzuć inną płytę, bo to słyszę od miesięcy.
- Wiemy skąd nadajesz.
- No to powiedz mistrzu...
- Betonowe buciki i w Wiśle popływasz niedługo.

Ten głos znałem.

- Ty, Jasiu, czekaj. To jest – i tu podałem znak i miejscowość podwarszawską. - On ma na imię Piotrek i jest gruby.
- Ty – tu Jasio podał jego znak – a ty chcesz żebyśmy ciebie odwiedzili – i tu podał miejscowość.
- Nno... na piwo zapraszam – zupełnie innym tonem powiedział ten człowiek
- Tu SP5....., Piotrek ten pirat ciebie zna przecież. To i ty go znasz. Powiedz kto to jest.
- Ależ ja go nie znam w ogóle!

- Jak to nie znasz? A on o tobie wie wszystko. Ty go lepiej nie kryj.
- Ale Stefan, ja go naprawdę, no ja go pierwszy raz słyszę...
- Tu Herber Beret na warszawskim przemienniku.
- (wielkie beknięcie)
- Ludzie tu się bydło zrobiło. Ja wnioskuje (beknięcie)
- Tu Es Pe (beknięcie) powtórz bo ten bekacz cię (beknięcie)
- Tu Herbert Beret: ogłaszam krótkofalowców mniejszością etniczną na przemienniku.
- Ty nie bądź taki... (beknięcie) bo ci (beknięcie)
- Ja będę zgłaszał (beknięcie), aby na miesiąc wyłączyć przemiennik bo inaczej nie da się tego opanować.
- No i tym samym przyznajecie, że przegrywacie.
- (beknięcie) tym robił
- On jest gdzieś blisko pod przemiennikiem.

To nas zastanowiło.

- TY, oni tu są! Oni tu jeżdżą w kółko. Przełącz na wejście, szybko!
- ... bardzo silny sygnał, i my też to mamy
- Słuchajcie, zmywamy się. Oni tu jeżdżą i nie jednym samochodem.
- (beknięcie) tak widziałem go – czerwony Polonez.
- Co się tu dzieje? Oni chyba ganiają jednego z tych piratów i on tu jest blisko, a poza tym są co najmniej dwa ich wozy. Jazda. Chłopaki! Rozłączać wszystko i do wozu.
- Cholera niedobrze – wymamrotałem uruchamiając silnik. - Jeśli oni wjadą w tę drogę i będą przed rozwidleniem to będzie kłops.
- Oni się tam gdzieś z przodu kotłują. Gazu teraz.

Dopadliśmy drąga nie zważając na pojękiwanie zawieszenia na krzywej drodze.

Bartek podniósł szybko drąg, ja wyjechałem, on opuścił na swoje miejsce i wskoczył do samochodu,

- Teraz byle dalej stąd. Antenek żadnych nie ma na dachu, to wyglądamy jak zwykły samochód. Różne tu jeżdżą.
- Za Żołnierską trochę nerwy odpuściły.
- Oni nie wpadli, że pod ten komin można tym lasem podjechać.
- Całe nasze i ich szczęście.
- Gdzie jedziemy.
- Na Ostrobramską do MacDonalda, a ty Łukasz dzwoń do Niebieskiego.

Spokojnie przeżuając hamburgery i popijając colą, słuchaliśmy relacji Niebieskiego.

Był cały w skowronkach i ze słuchu sprawiał wrażenie kibica sportowego, tuż po radiowej relacji z wygranego przez ulubioną drużynę meczu.

- Ja już zjadłem a wy żujcie sobie dalej. Ja będę już jechał.

Tuż za Mac Donaldem zobaczyłem beżową Skodę Favorit. Początkowo nie zwróciłem na nią uwagi.

Na moście Łazienkowskim już powiedziałem do kumpli:

- Słuchajcie, jedzie za nami beżowa Skoda Favorit od Mac Donalda.

- To zobaczmy czy skręci za nami na Wisłostradę.

Skręciła.

- No i jedzie wolno jak my.

- Ale trzyma się na dystans.

- Nie oglądajcie się tak ostentacyjnie. Już ja ją widzę.

- To może stań.

- Nie ma gdzie.

- To przyspiesz.

- Nie, zwolnij,

- Uspokójcie się. Jeszcze mi brakuje ogona.

- Pewnie chce zobaczyć dokąd pojedziesz. Po numerze to już im nie powiedzą kto i skąd jak kiedyś. Będą chcieli zobaczyć kim jesteś i gdzie mieszkasz.

- I im wyjdzie że to jednak ja. A ja wiem, że ja to ja i nie chcę żeby oni to wiedzieli. Docisnąłem gaz.

- Też przyspiesza.

- Może dlatego, że tu szerzej od zamku.

- Już ja jej przyspieszę.

- Ty, nie pędź tak.

- Na razie 140. Więcej z wami ten grat nie pójdzie zbyt łatwo, ale oni zaczęli odstawać.

- Może też obciążeni. Może ich kilku.

- No to tym bardziej nie chcę żeby wiedzieli że ja to ja.

- I co skręcisz tu na Toruńską ?

- A gdzie tam. Zobaczą jeszcze. Musimy ich zgubić zupełnie. Do Młocin już ich odsadzę i tam Pstrowskiego wrócimy.

Tak też zrobiliśmy. Favoritka jakoś więcej niż 130 nie jechała i od zamku do Młocin

dawno znikła z tyłu.

Porozwoziłem chłopaków, ale cała sytuacja mnie zastanowiła.

Szliśmy z Marcinem jesienną ścieżką wśród pięknego kolorowego lasu, szeleszcząc liśćmi dla efektu.

- Patrz Marcin. Każdej jesieni tędy chodzimy i chyba taka nasza „świecka tradycja”.
- Jeszcze kawał drogi przed nami.
- Zero wiatru.
- Ale ciepło.
- Wracać będziemy jak zwykle po ciemku i będzie mgła.
- Będą warunki troposferyczne.
- To pogadasz sobie z Magdą.
- Mam taką nadzieję. Najlepiej żebyś wymyślił, jakbym mógł do niej za darmo dzwonić.
- Ty, idziemy i czujesz to? Przechodzimy nagle przez takie ciepłe i zimne jakby obszary.
- To powietrze stoi normalnie. Tu się nagrzewa gdzie słońce, a tam gdzie inna ziemia i cień to zimno.
- Wiatr tego nie miesza.

Puszcza Kampinoska płonęła czerwienią, lśniła złotem.

Wyjąłem radio.

- Zobaczą czy stąd wejdę na przemiennik.

Spróbowałem.

- Nie ma szans. Może gdzieś z górki?
- Tam chyba w Ławach jest taka skarpa. Normalnie piasek jak śnieg. Białutki i miękkie jak mąka.
- A wiesz że tą wieś likwidują? No – wysiedlają.
- No i co? Gdzie tych ludzi przenoszą? Dają im jakieś mieszkania czy forsy?
- Nie, nie tak. To znaczy dają jakieś tam terminy i jakieś odszkodowania. Wykupuje ich park.
- Dla mnie to idiotyzm. Człowiek od zawsze był w puszczy, a teraz jacyś posrani urzędnicy „wiedzą lepiej” jak ma ekosystem wyglądać. Zakaz rozbudowy – zgoda, ale przecież nikt nie chciał tam zamieszkać.
- Tu na mapie mam, że zaraz będzie... hmm... coś w rodzaju osady. Napisane jest "Trzy domy".

Zza zakrętu wyłoniły się jakieś budynki.

- Faktycznie trzy domy. Zobacz !

W niewielkich od siebie odstępach stały trzy opuszczone chatki.

- To chyba wysiedlone ?
- Jedna chyba używana. Zdaje się jako „letnia”. Jakieś motyki tam stoją i jakby ogródek jest.
- Całkiem niezłe poletko... do nadużyć. Niby park kogoś wywali, a potem jakaś szycha...
- Nawet pasuje: szycha z Lasów Państwowych.
- No, tutaj to raczej z Parku Narodowego.
- ... no i ta szycha sobie użytkuje, a na papierze jest, że nie wyburzają bo brak funduszy.

Droga była bardzo piaszczysta.

- Ja nie wiem czy my tu byśmy samochodem przejechali. Piasek taki, żebyśmy się zakopali.
- A po deszczu błoto i to samo – stoisz.
- Chyba tylko po silnych mrozach bez śniegu tędy bym pojechał.
- Hehe. Słuchaj. 1001 sposobów wykończenia listonosza.
- Wypraszam sobie - oburzył się Marcin, bo dorabiał sobie jako listonosz w śródmieściu.
- Ja bym normalnie wysyłał paczki. Tutaj pewno listonosz jeździ rowerem.
- Marki "Ukraina"...
- No i jakby podpadł komuś, to można do tych Ław wysyłać paczki... z cegłami.
- Ja piernicę.
- No a jakby się zapytali czemu codziennie paczka z cegłami, to by się powiedziało, że dom buduję, a tam samochód przez te piaski nie może dojechać...
- Hehehe. A w przyszłym tygodniu będą worki z cementem więc niech dobrze dętki napompuje...

Ukazały się pierwsze zabudowania.

Dawna wieś Ławy była rozrzucona i jakby wymarła.

- Marcin, zobacz. Ja taką tablicę widziałem u ojca w atlasie samochodowym. Żółta i czarne litery.
- „ŁAWY” przeczytał Marcin.
- Bo w latach sześćdziesiątych takie były. Już w siedemdziesiątych były zielone a teraz są białe.
- No to, to chyba faktycznie tu stoi ze czterdzieści lat. Ledwo da się odczytać. Rdza

taka że cud, że te żółte jeszcze widać. O ! A z drugiej strony strzałka na wprost i „Wyględy Górne”. To chyba ta wieś gdzie wysiedliśmy.

Obeszliśmy cichą, wymarłą wieś. Tylko z jednego komina wydobywał się dym a większość gospodarstw była zrujnowana. Czasem zostały tylko fundamenty, ale były i na wpół rozwalone domy.

Przy jedynym zamieszkałym domu wodę ze studni na kołowrotku z łańcuchem ciągnęła stara babina z chustką na głowie.

- Dzień dobry pani !
- A dzień dobry, dzień dobry.
- Czy mogła by pani nam dać napić się wody ?
- A co mam nie dać. Tu nawet kubeczek mam – podała nam nieco potłuczony stary emaliowany kubek.

Zaczerpnąłem zimnej i krystalicznie czystej wody.

- Masz, teraz ty.

Marcin też długo wlewał w siebie zimny źródł.

- Wspaniała. Dziękujemy pani. A pani tu już sama została w tej wsi?
- Ja już sama. Dzieci w mieście, wnuki w mieście, a ja tu urodzona i tu umrę.
- To już nikt tu nie mieszka?
- Już ja tylko.
- Dziękujemy za wodę. Do widzenia.
- A do widzenia chłopcy - pożegnała nas i poczłapała do krzywego drewnianego domku.

Szliśmy według wskazań mapy i przeciąwszy młodnik, który już wlaził na piaszczystą pustą połąć, stanęliśmy u wrót stromej wydmy.

- Ławska Góra...
- Przepiękna.
- Wejdźmy na nią i tam sobie zrobimy przerwę.

Usiedliśmy na zwałonym pniu w dość suchym lesie. Lekki ciepły wiaterek szumiał w koronach sosen. Tu i ówdzie z ziemi wyrastały dorodne jałowce.

- Ale tu cisza...
- Do cywilizacji to faktycznie kawałek, ale zobacz: 30 kilometrów stąd jest wielkie miasto. A my siedzimy jakbyśmy byli tysiące kilometrów od tego hałasu i spalin.
- Jak ja bym chciał zamieszkać gdzieś w takiej chatce z jakąś fajną dziewczyną...
- Baa...
- I bym konstruował. Anten nikt by mi nie zabraniał wieszać.

- No chyba że ta cud dziewczyna...
- Jak ona byłaby cud, to by i anteny przeżyła.

Wyciągnęliśmy kanapki a ja wyjąłem termos z herbatą.

- Niby zwykła bułka z masłem i z szynką, ale kurcze, jak ona smakuje w takim plenerze.
- Świeże powietrze. No i trochę kilometrów w nogach już mamy.
- Jeszcze sporo przed nami.
- Jak mojej matce ukradli samochód, to też wszędzie łąziłem piechotą. Też nie dojeżdżałem tu nigdzie na skraj puszczy i tylko 708 do Truskawia albo 726 do Sierakowa a dalej z buta.
- To ta Łada Samara?
- To było kilka lat temu. Matka jedyne co zrobiła to tylko kluczyki zabrała, ale nawet jej nie zamknęła. A ja tam miałem radio. Śnieżkę...

- Co?
- No takie radio domowe. Śnieżka R206 Unitra-Diora. Ono miało na płytce zasilacz, akurat 12V. No to odłączyłem to, a podłączyłem do akumulatora. Radio było w bagażniku i podłączone do głośnika tam, gdzie głośniki być powinny. W tych wnękach. Za antenę robił cienki drucik, prawie niewidoczny, bo wystawał tuż przy tylnej szybie wzdłuż wspornika dachu.
- A jak zmieniałeś stacje, włączałeś czy głośność ustawiałeś?
- Radio na stałe ustawiłem na Radio Zet na 67 MHz, a głośność tak optymalnie. Kabel zasilający szedł tuż obok fotela kierowcy ale zamaskowany, Tylko taki przycisk wystawał czerwony. Jak od lampki nocnej. Przecież jak ten złodziej znajdzie ten przycisk i z ciekawości naciśnie, to mu w ucho wrzaśnie "Raaadio Zeeet!". Chyba na zawał pierdyknie...

Marcin akurat przeżuwał giętką bułę i parsknął tak jakoś dziwnie, zagulgotał i zczzerwieniał, ale ze śmiejącymi się oczyma.

- Ja pierdole... - wykrztusił plując i śmiejąc się z zaskoczonego złodzieja.
- Ty. Może cię huknąć w plecy ?
- Sam się huknij. Ty uprzedzaj, że będziesz o jakichś swoich pomysłach opowiadał...
- To nie żadne pomysły, bo mi to radio naprawdę cholera ukradli razem z tą matką Ładą. Ja uważam, że złodziej mógłby z ciekawości...

Tym razem Marcin parsknął herbatą, która miała nieco popchnąć zakłócone przed chwilą połykanie.

- Nie nooo...
- I "raaadio zeeet" - kontynuowałem złośliwie
- "Ładio zeth...." - pluł Marcin

- Napij się lepiej.
- Próbowałem ale ty robisz dywersję.
- To teraz będę cicho... Hehe.
- No nie...
- Paluszkciem pokiwaam...
- Błeh... przestań !
- Hehe... No dobra...
- Nieee...
- Pij mówię...hehe...
- ssss...
- Sykomora. hihi
- spierdalaj... hłe hłe...
- Pij nie gadaj.
- Nie dasz...
- No już dobra... hehe
- Nie no, ja nie mogę z tobą...
- No to wstawaj. Mrówy jakieś tu łożą.

Wstaliśmy ciągle weseli. Ruszyliśmy w drogę.

- A jakbyś Michał zrobił tak, żebym ja do Magdalenki mógł zadzwonić za darmo.
- Do Jaruzelskiego ? On tam willę ma.
- Do Magdy !
- Wiem, wiem...
- Do Magdalenki...
- Do Lesznnowoli...
- Jak cie zaraz palnę...
- No to może jej telegram wyślij.
- No co ty ?
- No dobrze mówię. Ozdobny. Możesz jeszcze wierszem.
- A jak ?
- Z automatu.
- Ale nie da się wybrać numeru...
- Ale ode mnie się da. Weźmiemy bezprzewodowca, zamówisz z mojego numeru, a

podasz automatowy. Baba oddzwoni, a ty na koszt automatu nadasz telegram.

- To i międzymiastowe tak można.
- O widzisz...
- Bo jak pracowałeś na tej centrali to mnie chociaż łączyłeś.
- No była tam taka mała łącznica i można było dwie linie połączyć.
- No i do Bukaresztu dzwoniłem.
- Tam w ogóle były przewały. Wszyscy mieli wszystko głęboko... Ty wiesz, że tam był taki Grzegorz i mu się próby na odzewnik na Stare Miasto nie zgadzały. To mi kazał wykołkować cały kierunek. No wiesz - zamknąć. Że nikt od nas z 37 na 635 nie mógł się dodzwonić i miałem zostawić jedną translację. Miałem patrzeć na przekaźnik Tg.

No i tak zrobiłem. To mi co chwila włąził jakiś abonent i musiałem zrzucać póki się sam nie wbiłem.

- I co ?
- No i gówno, bo odzewnik na Pentaconcie raz się dołącza a raz odłącza, a to bezpośredni kierunek był, więc w translacji raz się odłączał a raz załączał przekaźnik od taryfikacji i co któryś impuls gubiło. Jak by dzwonił na normalnego abonenta to było dobrze.
- A dużo było takich niby awarii.
- Czasem były takie że, nie u nas przyczyna ale u nas skutek. Raz uruchomili gdzieś jakąś nową centralę zakładową. Oni jak coś się pojawia nowego, to przysyłają taki okólnik, że mamy kierunek otworzyć, żeby nasi abonenci nie mieli "nie ma takiego numeru". No i kierunek otworzyliśmy z kodem kierunku na CET oczywiście.
- No i ?
- No i po paru dniach pisemko, że od nas się nie można na tamtą centralę dodzwonić i ciągle jest zajęte, a z innych central można. Sprawdzamy, ale kierunek otwarty prawidłowo. Kazali mi przyciągnąć taki rejestrator kodu MFC.
- A co to jest?
- Kod MFC to jest niby to samo co DTMF. To co masz w radiu i w telefonie. Wybieranie tonowe. Ale w ruchu międzycentralowym to MFC jest innego typu. U nas jest tak zwana sygnalizacja R2. Są to też dwa na raz tony, ale wyobraź sobie że jest 15 „cyfr” a nie 12...
- Jak to. Przecież w telefonie jest dziesięć: od 1 do 9 i zero.
- A krzyżyk czyli hasz i gwiazdka? E? To razem 12.
- No tak.
- A w R2 jest piętnaście i to osobne tony „w przód” i osobne „w tył”.
- Jak to?
- Bo to jest sygnalizacja w obie strony i może się odbywać praktycznie jednocześnie.

- W DTMF też chyba jest 15 cyfr. Widziałem taki tone dialer co miał cyfry od 1 do 9 oraz zero, oczywiście * i # ale miał też cztery litery od A do D.

- Bo norma DTMF tak przewiduje, ale w telefonach stosuje się uproszczony 12 znakowy DTMF. A w R2 masz po 15 w każdą stronę.

- I do czego to służy?

- To jest sygnalizacja na liniach międzycentralowych. Ta nowsza bo mamy też dekadową czyli impulsową. Tak jakbyś tarczą kręcił. No więc jest tak: Linie połączeń wychodzących są inne od tych przychodzących. Są kierunki na centrale sąsiednie, na przykład blisko położone i są to te właśnie bezpośrednie relacje. Ale najwięcej ruchu idzie na najbliższy CET, czyli centralę tranzytową. Ona już jest cyfrowa i dalej już te połączenia rozdziela. My mamy osobno linie do ACMM. Idą tam te wszystkie połączenia, które mają numery zaczynające się od zero. A no i na ACMM ale wydzieloną wiązką idą połączenia zaczynające się od 9.

Ale weźmy te centrale sąsiednie i te bezpośrednie relacje. Nasza centrala jest z tych rejestrowych. Podnosisz słuchawkę i tonowo czy pulsowo nadajesz numer. Do „magazynu” - takiej pamięci w rejestrze.

Nadajesz pierwsze cyfry a już przelicznik - taki „mózg” centrali, sprawdza czy jesteś uprawniony, gdzie ma być skierowane połączenie, np na ACMM czy na CET czy na jakiś kierunek bezpośredni i jaka tam będzie sygnalizacja.

Jeśli kierunek jest bezpośredni to może być sygnalizacja dekadowa czyli pulsowa albo R2. Zależy od typu centrali. Dekadowa jest na Strowgery i na K-66, a R2 na inne Pentaconty. Jak dzwonisz na kierunek dekadowy to nasza centrala impulsowo wyśle tylko cztery ostatnie cyfry numeru, bo dwie pierwsze to są już domyślne.

Na przykład jak ja z pracy dzwonię do babci na centralę Bielany I i numer zaczyna się od 34. To rejestr zajmie translację na centralę 34 i sam nada tylko cztery ostatnie cyfry. Niejako powtórzy je z pamięci po mnie jeśli wybierałem też pulsowo a jeśli tonowo to sam nada pulsowo bo Strowger tylko pulsowo rozumie. Nawet na łączach międzycentralowych.

- Rozumiem.

- No i ja nawet taką próbę zrobiłem. Włączyłem się tą słuchawką monerską w translację. Ta słuchawka ma tarczę i wykręciłem tylko cztery ostatnie cyfry numeru babci i się połączyłem. I wiesz co? Tego połączenia nie ma na billingu, bo system bilingowy czyta numer wybierany z rejestru i kto ten rejestr wziął do pracy. A ja się włączyłem jakby w połowie drogi. Połączenie przyszło ale znikąd nie wyszło. Kapujesz? „Samolot odleciał trzy dni temu, nawet jeszcze nie wrócił”. Jak w Misiu.

- No chyba rozumiem. A ten Strowger nie rejestruje?

- Nie. Po pierwsze dlatego, że na ruchu międzycentralowym nie ma rejestrów tylko od razu zajmuje wybierak. Są Strowgery z rejestrami, ale są to rejestry abonenckie, tych podłączonych tam abonentów i one rejestrują to, co ich abonenci wybierają.

- A jakby miał i te... no.... międzycentralowe ?

- To by zarejestrował, że do babci zadzwonił ktoś z centrali na Kole z numerem

zaczynającym się na 37. Bo z tej wiązki przyszło połączenie. Ale kto to był to może zarejestrować tylko nasz rejestr, a on w ogóle nie był w użyciu.

- No to w zasadzie mogli by podejrzewać obsługę czyli i ciebie.
- Ale takie łącza międzycentralowe idą w studzienkach. Jakby tam się włączyć... Ale wiesz co ? Bo te łącza bezpośrednio z tą sygnalizacją dekadową są i tak zwane naturalne czyli jedna para drutów na jedną rozmowę i zwielokrotniane.
- To znaczy ?
- To znaczy, że jedną parą może iść kilka rozmów. To jest zwielokrotniane PCM. Cyfrowo, choć leci miedzianym kablem. Wtedy w takiej studzience ze zwykłym aparatem nic nie zrobisz. Ale na przykład z mojej centrali 633 na Piaskach, też Pentaconty, są kierunki bezpośrednio dekadowe na numery 33, 34, 35 i 39 a są i dekadowe, ale idące ze zwielokrotnianiem PCM na 31,32, 36 i 38. O mojej 37 nie wspomnę bo dodatkowo R2.
- No właśnie, a jakby było takie łącze naturalne z R2...
- Zapomnij, Są łącza bezpośrednio z R2 ale zawsze zwielokrotniane. Przynajmniej ja tu w Warszawie innych nie wysłuchałem.
- Ty masz dobry słuch. Naprawdę po sygnale określasz typ centrali ?
- Tak. A co do R2, to tylko centrala z centralą mogą się porozumiewać bo tam jest kilka warstw.
- Co to znaczy ?
- No, że najpierw centrala zajmuje taką translację i nadaje pierwszą cyfrę numeru w tym R2. Nadaje i trzyma, tak jakbyś ty trzymał klawisz w telefonie z wybieraniem tonowym. Po to właśnie są inne tony „w tył”. Centrala nadaje, trzyma i czeka aż w tył pójdzie cyfra na przykład 1 co oznacza się w kodzie A1 czyli „podaj następną cyfrę numeru”. Dopiero jak strona nadawcza to usłyszy, to podaje następną i też trzyma aż usłyszy A1 i tak dalej.
- A jak nie usłyszy tego A1 ?
- No to zależy. Jeśli nic nie usłyszy to trzyma tą pierwszą cyfrę dość długo, po czym zależy jak jest ustawiony czas temporyzacji czyli kontroli czasowej. Wiesz, żeby za długo nie zajmować zasobów bezproduktywnie. To nawet jak podniesiesz słuchawkę i masz sygnał a nic nie wybierasz, to po iluś sekundach wywala cię na „zajęte” - to też temporyzacja, byś nie zajmował bez potrzeby rejestrów. Ich jest dużo mniej niż abonentów i temporyzacji na centrali w różnych miejscach jest sporo.
- Czyli jak nie dostanie tej A1 czyli nic to co?
- To abonent ma bardzo długą marszrutę, aż centrala zrezygnuje i zwolni translację a abonentowi wystawi zajętość. Przynajmniej Pentaconta bo te nowsze mają różne komunikaty ponagrywane.
- A jak nie dostanie A1 tylko co innego?
- No właśnie. Może zamiast „podaj następną cyfrę” dostać „powtórz cyfrę” albo coś innego. To jest stara, ale dość zaawansowana sygnalizacja. Tu centrale naprawdę ze

sobą gadają. No i jak była ta awaria że od nas nikt się nie mógł dodzwonić pod numer tej nowo uruchomionej centrali, a z innych central mogli, to mi kazali przywieźć z kąta taki rejestrator MFC. To wygląda trochę jak taki monitor czynności życiowych, EKG i te sprawy. Jest na kółeczkach i ma kineskop z zielonym luminoforem. Wiesz jak te stare monitory komputerowe. Nawet Polacy robili takie monitory Neptun do domowych komputerów. Podłączyliśmy to do translacji i ją wyłączyliśmy czasowo z ruchu. Ustawiliśmy na tym rejestratorze, na klawiaturze numer docelowy i wciskamy „start”. Z głośniczka było słychać to R2 w przód i w tył. Bardzo melodyjne. Takie „plum plum plum plum”. Bardziej melodyjne niż wybieranie tonowe w telefonie, bo w obie strony i na dodatek częstotliwości fajnie brzmiące.

- No i co wam wyszło?

- Wyszło że po czwartej cyfrze CET zwraca nam zamiast A1 to A4. Patrzymy w rozpiskę, a A4 to znaczy „przerwij nadawanie, natłok w sieci krajowej” i dupa. Coś źle mają ci na Cecie a nie my. No to notatkę do nich i po sprawie.

- Fajne to R2.

- A poza tym jest taka cyfra „w tył” co oznacza „przejdź na znaczenie B wymienianych cyfr”. Wtedy centrale informują się, jakie kategorie ma każda ze stron, na przykład czy nie uprzywilejowana i może wchodzić na zajętość, a czy wołany czasem nie będzie bezpłatny i tak dalej. W końcu jedna z cyfr oznacza „zestaw drogę rozmówną” i wtedy w słuchawce abonenta kończy się marszruta, czyli te króciutkie szybkie sygnały i droga audio staje otworem. Wtedy słychać sygnał wołania z tej odległej centrali. Bo jak by było zajęte, to idzie to też specjalną „cyfrą” i ty zajętość dostajesz lokalną, swoją, ze swojej centrali, a łącze międzycentralowe już się zwalnia dla użycia przez innych.

Tak rozmawiając doszliśmy do parkingu niedaleko wsi Roztoka przy drodze 579, przecinającej Puszczę w połowie z południa na północ.

To był nasz dzisiejszy cel.

Odkryłem w swoim amplitunerze Kasprzaka ciekawą rzecz. Otóż gdy włączyć zakres fal krótkich i wcisnąć na raz trzy isostaty dla zakresów 41, 31 i 13m, to na skalę wchodzi... prawie idealnie podstawowa czterdziestka radia CB. Chodzi o legalny zakres 40 kanałów, nazywany „podstawową czterdziestką” w odróżnieniu od tak zwanych „boków” w radiach CB z przełącznikiem czterdziestek i pozwalających na pracę w dużo szerszym niż legalnym zakresie.

Tak więc moje domowe radio stało się odbiornikiem CB i to dość dobrej klasy, co stwierdziłem podłączawszy je na zmianę z Alanem 87 do półfalowej anteny stacjonarnej na dachu. Czułość była identyczna, selektywność nawet podobna, ale odporność na modulacje skrośne i intermodulacje trochę gorsza niż Alana 87.

Postanowiłem więc... Alana sprzedać, a zrobić sobie sam nadajnik CB pracujący w AM na kilku posiadanych kwarcach.

Nadajniki i to budowane od podstaw, czyli także i projektowane przeze mnie, wychodziły mi nadzwyczaj dobrze. Do odbiorników nigdy nie miałem serca.

Sprzedałem więc Alana, zrobiłem nadajnik, a do amplitunera dorobiłem squelcha

wycinającego szumy podczas braku sygnału korespondenta.

Dysponowałem trzema rezonatorami kwarcowymi: dwoma na podstawową czterdziestkę, na kanały 26 i 28 oraz jeden na częstotliwość 26,675 MHz na czterdziestce zwanej przez CBistów „raz w lewo”. Ten ostatni kanał stał się kanałem naszej grupy buntowników i tam gadaliśmy.

Łukasz dał mi dodatkowo ręczne radio CB Alan 38 z zupełnie rozbebeszonym nadajnikiem, ale ze sprawnym odbiornikiem, co mnie bardzo ucieszyło, bo mogłem mój nadajnik wozić w samochodzie i pracować razem z odbiornikiem ręczniaka na kanale 26 czy 28.

Z prostego faktu, że kanał 28 był kanałem wywoławczym, zawsze z korespondentem przechodziłem na kanał 26.

Jasio też uruchomił swój kiedyś niedokończony nadajnik oraz działający odbiornik i mieliśmy teraz łączność na CB.

Do nas dwóch, dołączył aktywnie Łukasz z Pragi i Piotrek ze starego Żoliborza.

Któregoś razu postanowiłem wybrać się „w teren”.

Chciałem objechać całą Puszcę Kampinoską i poznać także jej okolicę.

Zabrałem więc swój zestaw CB i ruszyłem drogą 580, zaczynając od Starych Babic i kierując się w kierunku Leszna.

Co jakiś czas wołałem na kanale 28 i w ten sposób nawiązałem tuż przed Żelazową Wolą łączność z gościem o ksywie „Karamba Mokas”. Mokas niewątpliwie był miejscowością bo widziałem ją na mapie, kilka kilometrów w bok od szosy.

W samej Żelazowej Woli na poboczu machały na z rzadka przejeżdżające samochody, dwie młode dziewczyny.

Zatrzymałem się.

- Cześć! Podrzuć nas na stację?
- Kolejową?
- No!
- Nie wiem gdzie to jest. Chodzi wam o Sochaczew?
- Tak. Pokażemy ci. Ja jestem Ula a to jest Asia.
- A ja Michał.

Dziewczyny z powodu kłębowa sprzętu na podłodze pod siedzeniem pasażera, usiadły z tyłu. Jedna z nich nawet bardzo mi się spodobała. Asia.

- A co ty masz tutaj na podłodze?
- A to taki sprzęt nadawczy. Takie jakby własnej roboty CB radio.
- To ty jesteś elektronikiem?
- Z zamiłowania i z zawodu.

- A gdzie mieszkasz?

- Na Bielanach.

- O! A my też w Warszawie. Obie na Bemowie.

Spojrzałem w lusterko. Kurczę... ładna ta Asia. Może by tak...

- Tu skręć w prawo. O tu. A tam zaraz jest stacja.

Byliśmy w Sochaczewie.

Pomogłem im wysiąść i wyniosłem plecaki.

Wsiadłem.

Asia podeszła do otwartego okna od strony pasażera i nachyliła się.

Patrzyła na mnie.

Czułem, że chciała by adres... może telefon...

Włączony wcześniej lewy migacz nerwowo wystukiwał rytm, a silnik spokojnie pracował na luzie.

To jak tam Michał – powiedziała – Może jeszcze się tu gdzieś spotkamy?

Migacz tykał wręcz ostentacyjnie, jakby chciał mnie szybko stąd zabrać.

Ręka spoczywała na drążku zmiany biegów.

I tylko tyk, tyk, tyk, tyk...

- No to do widzenia dziewczyny.

- Dzięki za podwiezienie. A gdzie ty jedziesz?

- Szukać szczęścia.

- To powodzenia!

Puściłem sprzęgło i samochód powoli odjechał.

Odjechał ku przeznaczeniu i mimo, że nie raz w chwilach samotności plułem sobie w brodę, że nie podjąłem inicjatywy, to znacznie już później błogosławiłem tę chwilę nieśmiałości, bowiem dla kogo innego miałem być szczęściem i kto inny dla mnie nim został.

Przeciąłem Bzurę i w Młodzieszynie wjechałem na drogę krajową numer 50 kierując się na północ w kierunku miejscowości Kamion.

Mijałem sosnowe zagajniki i piękne urwiska lśniące białego piasku.

Z radia turystycznego, które brałem na takie wyjazdy, które doskonale mieściło się między szybą a deską ze wskaźnikami i świetnie odbierało bez zakłóceń fale długie, popłynęły prorocze słowa Beaty Kozidrak:

„Dla twych rąk,

dla twych ust,

byłam pierwsza...o tak,

dla twych warg, oczu twych,

najpiękniejsza...

Zataczałeś krąg, gdzieś daleko stąd, między szklanki brzegiem a dnem,

Nie obiecuj że, nie powtórzy się, powiedz tylko że mnie kochasz..."

Na zachodzie niebo poczęło ciemnieć.

Tak samo chmurne były wtedy moje myśli.

Tam gdzieś czekał deszcz a i mnie w oku coś zakręciło...

Wisła.

Stary drewniany most do Wyszogrodu.

Pełno znaków ostrzegawczych i zamknięte fragmenty. Jazda slalomem, a deski groźnie ruszają się pod kołami.

Nic dziwnego. Ten most jako tymczasowy zbudowali Niemcy i to w czasie pierwszej wojny światowej.

Na wszelki wypadek otworzyłem okna. Jakby trzeba było wypłynąć, bo podobno pod wodą nie da się ani wybić szyby ani nic otworzyć...

Przejechałem.

Tuż za mostem malowniczym krętym wąwozem wjechałem na stary rynek Wyszogrodu.

Tu się zatrzymałem.

Widok przepiękny. Skarpa wspaniała, a miasteczko senne i ciche z zabudową pamiętającą rosyjski zabór, który zresztą gdzieś tu niedaleko przechodził w pruski. Jednak styl domów przemawiał za rosyjskimi wpływami.

Kanapka, herbata i w drogę.

A co...

Wcale nie powrotną. Taką okazję zmarnować. Dwie ładne dziewczyny. Powiem Łukaszowi żeby mnie za to w dupę kopnął, jak zrobię coś takiego drugi raz. Jak go znam, to powie że mam to załatwione.

To gdzie jechać ?

Na Modlin wracać czy... a niech tam. Ja do cholery nie mam dokąd wracać.

Ściślej to nie mam do kogo.

I dla kogo.

No to w drogę.

Gdzieś mnie na północ ciągnie. Przeczucie?

Gdzie jesteś moje przyszłe Kochanie?

Z zachodu zbliżała się jesienna burza.

Pierwsze krople deszczu zabębniły o szybę gdy wyjeżdżałem ulicą Rębowską z Wyszogrodu w kierunku Płońska.

Błysnęło.

Wycieraczki rozmazywały czerwone światła pozycyjne malucha przede mną.

Błyski trzeszczały na długich i na CB.

Włączyłem szybszy bieg wycieraczek.

„Radio Kierowców, Zofia Chomicz. Silne burze napotkają kierowcy jadący drogą krajową numer siedem i na zachód od tej trasy. Utrudnienia czekają kierowców podróżujących drogą numer 62. W miejscowości Goławin przewrócony TIR zatarasował drogę w obydwu kierunkach. Kilka tysięcy litrów piwa wylało się do rowu. Zalecamy objazdy.”

Lewy migacz znów niespokojnie wystukiwał rytm.

Tuż obok gdzieś uderzył piorun.

Jeszcze tylko ten Żuk z jednym światłem minie z przeciwka i wyprzedzam.

Redukcja na trójkę i w głębokim kiwnięciu wyskoczyłem z kolein.

Raz lewe, raz prawe koło wpadało w koleinę wypełnioną wodą, powodując niebezpieczny aqua-planning i hamując nierównomiernie. Mocno trzymałem kierownicę.

Gaz. Silnik ryczał przez szum ulewy. Wycieraczki jak szalone zmiatały mi z szyby zamazujące wszystko strugi deszczu.

Maluch został w tyle. Prawy migacz.

Zakiwało ostro. Teraz za mną smuga wody.

Drugi błysk i zaraz huk. Pioruny wała ostro. Błyskawice raz po raz przecinały płaczące niebo nad tymi co w dole mknęli przez wilgotny mrok.

Mignął drogowskaz na Bulkowo.

Gnam dalej na północ.

I tak mi myśli same szły..

Ja ciebie szukam nocami i dniami, numery dróg krajowych zmieniając bez końca gdy burza moje radio znaczy trzaskami a na koniec na dłoni igra promyk słońca,

Moja ojczyzna Bielany się zowie,

Twoja w lasach północy w głębi jest ukryta

Dokąd iść mam - szum zboża mi powie,

gdy objęciem Twych ramion - domem mnie przywitasz...

Nagle w Nacpolsku szybka decyzja.

„Srebrna 5” - drogowskaz.

Tu skręcam.

Jacyś ludzie pod sklepem. Schronili się od deszczu.

Wkrótce skończył się asfalt a z nim i deszcz.

Zacząłem turlać się po kocich łbach.

Srebrna - ładna nazwa. Chcę tę wieś zobaczyć.

Jestem na miejscu.

Pole aż pod las.

Cisza. Aż w uszach dzwoni. Tu już zupełnie nie czuć ani śladu cywilizacji.

Gdzieś daleko kogut pieje.

Siedzę w otwartym oknie. Tak jeździć mogę, czy siedzieć a ciągle sam.

Jadę dalej. Przez mokry las dojechałem do drogi.

Wracać? Dokąd?

No to w lewo.

Za lasem zza góry ukazało się Naruszewo z widoczną dzwonnica kościoła.

Mokra droga.

We Wróblewie połączyłem się z drogą, którą bym nadjechał gdyby nie skręcać na Srebrną.

No to już brnę do Płońska.

Na kanale 28 leci wesołe disco-polo.

„Straciłaś cnotę bo co?

Bo sama tego chciałaś,

Straciłaś cnotę i co?

I już nie będziesz miała...”

- Brek, brek - wbiłem się gdy ktoś puścił przycisk nadawania.
- Dajcie mi spokój, wyłączam radio - odrzekła urażona nieznana dziewczyna.
- Daj ten brek.
- Witam. Z tej strony Varicap mobil.
- Witamy w Płońsku. Tu Ścigany Płońsk.
- I Konop Płońsk.
- Słuchajcie, gdzie tu można coś zjeść, zatrzymać się na chwilę?
- A do centrum chcesz wjechać?

- No chyba tak.
- A od której strony wjeżdżasz?
- Od Wyszogrodu.
- To na światłach w lewo i zaraz jest rynek. Tam są kawiarenki.
- Dzięki Ścigany!

Siedzę w kawiarni „Kaprys” i wcinam pączki z nadzieniem z róży. Pyszne.

Kurczę. Siedzą sobie tu ludzie i żyją jakoś spokojniej. No ale ciemno się robi.

Pora wracać do domu. Pustego domu... Przede mną 70 kilometrów ale choć dwupasmowej drogi.

Od lutownicy oderwał mnie dźwięk domofonu.

- Cześć Michał. Tak wpadłem – powiedział Jasio, on to bowiem przyszedł.
 - No to siadaj. Ja mam dziś coś ciekawego – podałem mu mały przedmiot z wystającymi krótkimi odcinkami przewodów.
 - Co to jest.
 - A! Widzisz. To jest kamera. W zasadzie bebechy kamery przemysłowej. Kolorowej!
- Ma tu... O tu, taki mały obiektyw, a tu trzy kable: masa, zasilanie i wyjście wizji.
- Skąd to masz?
 - Piotrek mi dał. Mu niepotrzebne. Nie wiem, ktoś mu to w zastaw dał i nie oddał pieniędzy czy coś. A teraz ja mam zamiar się tym pobawić.
 - Telewizora nie masz.
 - Ale przyniosłem od matki ten mały stary. Stoi tam pod stołem.

Jasio zajrzał pod kawałek płótna.

- No faktycznie. I jak to zamierzasz podłączyć? Co chcesz robić?
- Normalnie się nie da. Ten telewizor stary i ma tylko wejście antenowe i wiesz co mnie napadło? Zrobię nadajnik!
- Telewizyjny?
- No pewnie.
- A pamiętasz jak te dziady z pasma 2m mówiły, że to niemożliwe w domu?
- Pierdoły... normalny nadajnik AM wizji. Będzie miał co prawda dwie wstęgi, ale co mnie to... Musi być modulator jako low-level. Mam taki sprawdzony układ, który wymyśliłem jak miałem 15 lat. Bardzo liniowo chodzi.
- Na jakiej częstotliwości będzie ten nadajnik?
- Popatrz – podałem Jasiowi rezonator kwarcowy – Zdobyłem. Pasuje jak ulał dla Warszawy.

- 59,250 - przeczytał Jasiu - no i co z tego?
- Ha! To jest nośna wizji dawnego kanału 2-go! Tu gdzie do 1995 roku była TVP1. Ludzie mają jeszcze mnóstwo anten na to pasmo, a i anteny zbiorcze mają działające wkładki. Trzeba nadawać właśnie tu!
- Kurczę, teraz piracką telewizję zrobisz... w końcu cię wsadzą - zaśmiał się Jasio.
- Ja już mam ten nadajnik zrobiony.
- Coo?
- No to wyciągamy to pudło.

Wyciągnęliśmy stary TV Sony z 1974 roku. Pierwszy dostępny w Polsce telewizor kolorowy, nie będący wyrobem radzieckim. Miał ogromne pokrętko kanałów od 1 do 12 na VHF i osobno pokrętko płynnego strojenia na UHF.

- Podłącz to Jasiu.
- A coś do gniazdka antenowego włożyć?
- Nie trzeba. I tak silny sygnał jest, że będzie ok.

Włączyłem zasilacz na biurku i kamerkę skierowałem na Jasia.

Jasio włączył telewizor i czekał na rozgrzanie się kineskopu.

- Ale nic nie ma. Szum.
- Przekręć na kanał 2.

Stuk, stuk, stuk i nagle Jasio zobaczył sam siebie oraz telewizor w telewizorze.

- Ty, to działa!
- Działa... Wcale łatwe to nie było. Bo wiesz... 5 MHz pasma wizji na 60 MHz fali nośnej to cholernie szerokie pasmo. Zniekształcenia pasmowe. Kapujesz? No ale przebrnąłem przez to i nawet tą krzywą Nyquista dobrałem. Zobacz. Ładne kolory.
- A jak to daleko będzie szło?
- Hmm... abo ja wiem? Używam tego dipola co od radia pirackiego. To trochę nie to pasmo.
- Michał! Ja mam telewizorek na baterie. Mój ojciec, znaczy ma. Pożyczy ci.

Wieczorem odwiedziłem więc Jasia.

Mieszkał na samym początku ulicy Kochanowskiego. Ja mieszkałem prawie przy Reymonta.

Zadzwońłem dzwonkiem.

Odpowiedziało mi szczekanie psa.

- Cicho Banan, swój przyszedł - uciszał psa Jasio.

Kudłaty, długi i niski piesek przywitał mnie radośnie. Gdy tylko usiadłem wskoczył mi na kolana.

- Banan, spierdalaj. On wskakuje na kolana, a mu nie wolno. Złaź, mówię.

Jasio mieszkał w dwupokojowym mieszkaniu razem z ojcem i z siostrą.

Mieszkanie było mniejsze niż moje, ale zazdrościłem Jasiowi, że od urodzenia mieszka w tym samym miejscu. Ja zmieniałem miejsce mieszkania kilkanaście razy. A on tu znał wszystkich od przedszkola.

Siostry Jasia akurat nie było.

- Sorry za bałagan, ale wiesz jakie są baby. Przebiera się, pindrzy do lustra, nic jej nie pasuje, a potem rzuci i wychodzi. A jak ruszysz to jest awantura, że coś jej zgubiłeś. Jasio miał biurko zawalone swoją elektroniką, a półki ugiwały się od książek, które były drugą pasją Jasia. Mieszkanie pękało w szwach.

- Dzień dobry panu - przywitałem ojca Jasia.

- Cześć Michał.

- Chciałem się pana zapytać, czy pożyczył by mi pan ten mały telewizorek na baterie.

- Nie ma sprawy. Ja go tu rzadko w kuchni używam. Zasilacz też chcesz?

- Nie, nie. Tylko telewizorek. Muszę próby zrobić swoich sprzętów i za kilka dni przyniosę z powrotem.

- Nie musisz się spieszyć.

- Jak chcesz, to ja znam taką ładną dziewczynę na spikerkę - oznajmił Jasio.

- Jaasiu... przecież telewizja to nie radio. Wiesz jaki trzeba mieć sprzęt? Nadajnik to nie wszystko. A gdzie kamera na statywie, gdzie ze dwa magnetowidy i jakaś konsola z pełną synchronizacją źródeł. Przecież nie będę isostatem przełączał źródła z zerwaniem synchronizacji. Nie róbmy badziewia jak TVP z Emitelom na prowincjonalnych RTONach. Tam jak wchodzi program lokalny na dwójkę, to właśnie z takim zerwaniem. Ja nie będę nawet próbował robić telewizji. A przecież samych kaset z wypożyczalni puszczać nie będę. Zaraz bym miał na głowę tych od kaset i różne te od praw autorskich.

- Ale coś możesz poprobować.

- Na razie to zobaczę gdzie to widać.

Wieczorem zaczął padać śnieg.

Podjechałem samochodem pod klatkę, co nie było mile widziane, bo trzeba było jechać po chodniku.

Nadajnik włączyłem, a kamerkę ustawiłem na dorodną paprotkę, którą efektywnie oświetliłem.

Zabrałem telewizorek do samochodu i akurat dobrze się wpasował na półkę przed miejscem pasażera.

Włączyłem.

Ukazała się TVP1. Zmieniłem zakres na VHF-I i pokręciłem pokrętką. Jest!

Na ekranie ukazała się moja paprotka.

No to jadę.

Antenę teleskopową wysunąłem ukośnie przez uchylone okno od strony pasażera. Ruszyłem.

Zerkałem to na drogę to w ekran.

Pojechałem do Galla Anonima, potem w kierunku Broniewskiego.

Sygnał zaczął falować. Szu, szu, szu... efekt mobilowy z powodu odbić fali od budynków. W końcu sygnał zanikł.

Za Broniewskiego, skręciłem w Daniłowskiego przy niebieskim pawilonie handlowym. Sygnału nie było. Chyba wiem gdzie będzie.

Podjechałem na Starej Baśni, gdzie łączy się z Przybyszewskiego.

Paprotka pojawiła się na ekranie z silnym sygnałem.

- Tu cię mam. Kierunkowo idziesz przez te wieżowce obok.

Wyszedłem z samochodu.

Sygnał idealny, mimo że drogę w kierunku nadajnika zasłaniał długi czteropiętrowy budynek.

Na ekran zaczęły spadać płatki śniegu.

Cholera. To nie mój sprzęt. Wracam z tym do wozu.

Podjechałem pół kilometra dalej do Shroegera.

Wysiadłem i pomachałem antenką.

Sygnał był, ale już słaby. Telewizorek nie mógł złapać synchronizacji.

No ale cóż. Toż to ma 100 mikrowoltów czułości. Co ja mówię. Tyle to ma zwykły telewizor, a te robią byle jak. Ale tu ludzie dookoła w starych kamienicach mają indywidualne anteny. Te drapaki na kanał drugi ciągle wiszą i niejedni na tym odbiera TV, marudząc że śnieży. Akurat mój sygnał powinni tu mieć dobry.

Ale właśnie. Pojadę tam gdzie go nie ma i wjadę windą gdzieś wyżej. Podejdę do okna na klatce.

Wybrałem jeden z budynków bez domofonu.

Na które by tu piętro... No niech będzie piąte. Taka przeciętna wysokość indywidualnych anten.

Włączyłem TV na klatce na piątym piętrze. Nic.

Podszedłem do okna i nagle na ekran wyskoczyła paprotka.

Ha! To nawet na pokojowej antenie tu by szło!

No nic. Przyda się może ten sprzęt do czegoś.

Domofon zastał mnie przy śniadaniu. Bułka z serkiem. Cholera. Jak emeryt.

- To ja.
- Co za ja.
- IRCHA.
- Inspekcja Robotniczo Chłopska?
- No właśnie. Pan tu panie Jonakowski jakieś emisje skutecznie, nadaje obraz nagich paprotek, powodując zgorszenie abonentów RTV.
- Ale na którym „kanale”? Niech se jedenasty włączą!
- No dobra wpuść.

Brzęczyk elektromagnesu.

- Cześć. Wpadłem.
- Kim jest młoda mama?
- No, aż tak to nie wpadłem. Wpadłem z wizytą.
- Służbowo? Hehe.
- Nie mam listów. To nie mój rejon – odparł Marcin.
- Ale klucz masz !
- Ty! Faktycznie. Może pasuje.

Wyszliśmy przed moje drzwi. Skrzynka wisiała tuż przy nich.

Marcin włożył jeden z kluczy podobnych do takich, od zwykłych domowych zamków. Skrzynka otworzyła się bez trudu.

- Ha! Wiesz co? Przyda się.
- Ale jak zjesz to idziemy?
- Gdzie?
- No do tego automatu. Ja chcę podzwonić.
- No to tylko łyknę herbaty...

Ubraliśmy się ciepło, bo zima trzymała lekkim mrozem.

Zabrałem swój telefon bezprzewodowy.

- Cholera... Ja nie wiem czy dociągnie do automatu. Tu już szumi.

Okazało się że mój telefon zasięg kończy dokładnie na samym środku ulicy Kochanowskiego.

Nie było szans by stać przy aparacie w tym przedsionku spółdzielni i stamtąd z mojego bezprzewodowca, dzwonić do Centrali Międzymiastowej. Podawać numer automatu i gdy ta oddzwoni, z tego automatu „na jego koszt” odbyć rozmowę.

- No to dzwoń tu i gnaj.
- Dobra. Wybieraj.

Wybrałem 900.

Podąłem słuchawkę Marcinowi.

- Dzień dobry, chciałem zamówić Kielce. Mój numer? 669-54-90. Tak czekam.
- Teraz gazu. Leć bo oni od razu oddzwaniają.

Czekałem na rezultat.

Samochody jeździły, a ja marzę ze słuchawką bezprzewodową jak głupi.

Co jakiś czas wybierałem numer automatu. Zajęte, więc chyba gada i udało się.

Za 15 minut zza rogu wyszedł uśmiechnięty Marcin.

- Ech... ledwo zdążyłem. Wpadłem tam jak bomba i automat już dzwonił. Jakiś facet wychodził z tej spółdzielni i chciał odebrać, ale go ubiegłem. Połączyli! Gadałem z Magdalenką!
- Z Kielcami.
- Ech... z Magdą!
- Wiem przecież...
- Czekaj. Oni chyba mają w dupie różne głosy. Ty siedz w domu i zamawiaj mi te rozmowy, a ja będę przy automacie.
- No i na chuj, że tak powiem ich zabezpieczenie. Że się nie da wybrać z klawiatury automatu 900. Dobra. Puszczaj mi krótkiego, a ja będę wiedział że mam zamówić.
- Kurcze. Mogliby u nas zrobić tak jak w Ameryce, że się numery wyświetlają.
- A po co. Puścisz jeden dzwonek, to znaczy że mam zamówić 900, a jak puścisz dwa dzwonki, to mam zamawiać nadawanie telegramów przez telefon.
- O właśnie. Ja teraz nadam sobie parę telegramów! Hehe. Nawet wiersz mam do nadania.
- No to idę...

Faktycznie.

Biuro Telegramów i Centrala Międzymiastowa zupełnie olewała uszami swych pracowników fakt, iż jeden głos zamawia rozmowę, a drugi podnosi słuchawkę pod podanym jako „swój” numerem telefonu. Na dodatek automat w czasie rozmowy przychodzącej nadawał przez pewien czas podwójny sygnał na rozmowie.

To również nie wzbudziło zainteresowania telefonistek poza jednym przypadkiem, gdy spytała ona co to tak pika.

Marcin odpowiadał, że to telefon bezprzewodowy ma słabą baterię, więc niech ona lepiej szybciej łączy tę rozmowę. Raz odpowiedział, że „przecież to coś u pani pika” co zupełnie zbiło ją z tropu.

- Marcin. Postaraj się jak najwięcej teraz podzwonić, bo jak oni się zorientują, to po miesiącu będą chcieli dopisać do rachunku tego automatu te rozmowy, a automat się od płacenia chyba uchyli i go odetną za niepłacenie. Hihi.

W związku z tym odwiedziny Marcina stały się codzienne bo właśnie jego dziewczyna mieszkała w Kielcach...

- Ty wiesz, że ja wysłałem telegram na kilka stron maszynopisu i mi telefonistka powiedziała, że to już mnie będzie kosztowało 150 złotych?

- No i co ty na to?

- Powiedziałem jej że niech dopisuje. Raz się żyje i raz się kocha...

- Hehe. A wiesz co, ja chyba mam jeszcze jeden sposób na takie rozmowy i będziesz mógł je zestawiać sobie sam.

- Jak?

- Słuchaj. Kiedyś gdy urodziła się mi siostra... To było na wielkanoc w 1993 roku. Wyjechaliśmy na te kilka wolnych dni do Otwocka. Tam wisiał w takim starym domu wczasowym, no w takiej przedwojennej willi przy ulicy Syrokomli automat na żetony. Ten duży, z którego można dzwonić wszędzie. Taki co przyjmuje żetony A i C.

- No i?

- No i wiesz, bawiłem się radiem dwójkowym obok tego automatu i z ciekawości jak on zaczął się pluć o żeton, to wcisnąłem przy nim przycisk nadawania. Z półtora wata mocy. I wiesz co? Zaskrzeczał i potraktował to jak wrzucenie monety. Tam chyba jakaś zbyt czuła na pole w.cz. elektronika siedzi.

- No to muszę to sprawdzić. Ja mam ręczniaka na 2m ciągle. I nawet 5 Wat z battery pack'a mam. Na dworcu centralnym jest pełno tych na żetony.

- No to jedziemy. Nie, nie... wracaj, Samochodem!

Pojechaliśmy na Dworzec Centralny. Wybraliśmy oddalony sektor jakiegoś mało uczęszczanego peronu i nawet udało się znaleźć czynny i nie zdewastowany aparat na żetony.

- Czekaj. Daj mi radio. Najpierw ja to zrobię a potem ci pokażę. Jak zaczniesz gadać „proszę wrzucić monetę” to zbliżasz antenę jak najbliższej tarczy. Możesz ją dotknąć nawet. Antena i tak w termokurczu. I wtedy naciskasz nadawanie na chwilę. Naciskasz i wtedy piszczy w słuchawce, ale nie zawsze zaskakuje. Musisz znaleźć dobre miejsce przytknięcia anteny.

- Dam ci numer do Magdalenki.

Wybrałem numer i gdy ktoś z tamtej strony się odezwał, to dostałem od razu komunikat o monecie. Wcisnąłem przycisk nadawania i poszło jak w masło.

- Słucham?

- Dzień dobry. Czy mogę prosić Magdę?

- Chwileczkę.

- Masz słuchawkę. Trzymaj radio. Nie tutaj. Tutaj. Jak będzie żeby wrzucić, to na chwilę wciśnij nadawanie. Jak dalej będzie gadać, to wciśnij na dłużej, możesz popstrykać lekko zmieniając miejsce anteny...

- Magdalenk ? Cześć, to ja – ucieszył się Marcin.

Rozmawiał chwilę przejęty, po czym widocznie automat zażądał następnej „monety”, bo zaczął pstrykać. Chyba zadziało bo kontynuował rozmowę. Odszedłem, żeby nie przeszkadzać.

Za kilka minut przygalopował Marcin.

- Michał, słuchaj. Dziękuję ci za tę metodę.

- To ja ci jeszcze powiem, że żeby tak często nie pstrykać, to na początku możesz zasymulować nawrzucanie wielu żetonów. On ma chyba pamięć wrzuconych dwudziestu sztuk. Popstrykaj jeszcze na sygnale wołania a potem gadaj.

Będziesz mógł gadać dłużej i rzadziej używać radia. Najlepiej znajdź sobie jakiś ustronny automat bo tu gliny łożą.

- No i szły akurat. Gapiły się i poszły dalej.

- Nie demolowałeś aparatu to nic ci nie zrobili. Oni nie wiedzą, że tym machaniem antenką dokonujesz oszustwa... To się im jeszcze nie mieści w głowie i dlatego jak nie uciekasz to cię nie gonią. Taka socjotechnika. Stoisz pewnie i możesz nawet do nich się uśmiechnąć. Jak się ktoś na nich gapi i uśmiecha, to nie może być przestępcą...

974. Obracałem w palcach kartkę z tymi trzema cyframi.

Kolega, dość daleki znajomy, uczący się w technikum łączności, podał mi ten numer.

Był to numer testowy, działający tylko na centralach typu Alcatel S-12.

Po wybraniu tego numeru i odłożeniu słuchawki, centrala wykonywała szereg testów linii i oddzwaniała. Gdy po oddzwonieniu był ciągły sygnał, to linia miała parametry w normie. Gdy było zajęte, to któryś był nie tak.

Taki niby szybki test dla montera.

Numer nie był znany abonentom, ale i tajemnicy z tego nie było, bo centrala tylko oddzwaniała. Gówniarze chodzili po automatach bez podanych numerów i dzwonili pod ten numer, odchodzili i patrzyli jak ludzie reagują na dzwoniący automat.

Gdy centrala oddzwaniała z ciągłym sygnałem, nie reagowała na wybieranie numeru... Czyżby?

Jakaś wrodzona tendencja do badania różnych spraw i wrodzona cierpliwość kazała mi się temu numerowi przyjrzeć.

W domu miałem linię z Pentaconty, więc poszedłem do eksploatowanego już przez Marcina automatu w ciepłym przedsionku i tam wieczorem zacząłem zgłębiać zachowanie centrali.

Wybrałem 974 i odłożyłem słuchawkę.

Aparat oddzwonił i z ciągłym sygnałem. Ha. Gdyby teraz ten sygnał przyjmował cyfry... Nie przyjmował.

W ogóle niebieskie automaty firmy Urmet, miały zabezpieczenia przed dzwonieniem za darmo.

Przede wszystkim wyłączony mikrofon.

Gdy gdzieś dzwoniłeś, to aż do chwili nadejścia pierwszego impulsu do skasowania jednostki z karty, mikrofon był wyłączony. Działo się tak po to, aby ktoś na przykład zewnętrznym tone-dialerem nie wybrał innego numeru niż ten z klawiatury.

A klawiatura miała „czarną listę”, na której widniały numery zabronione. Na przykład właśnie 900 do Centrali Międzymiastowej czy 901 do Międzynarodowej.

Tylko wybranie numeru z listy zaprogramowanych numerów darmowych, uruchamiało mikrofon od razu.

Przy połączeniu przychodzącym mikrofon włączał się natychmiast ale klawiatura nie była aktywna.

Gdy dwie budki stały obok siebie, to ktoś odkrył, że można z jednego automatu zadzwonić na drugi i szybko się rozłączyć.

Na tym drugim należało szybko podnieść słuchawkę i aparat myślał że jest to połączenie przychodzące.

Włączał mikrofon. Trzeba było przyłożyć tone dialer i pomiędzy sygnałem „pik-pok” wstukać żądany numer.

Centrala łączyła, a automat „myślał”, że ma do czynienia z połączeniem przychodzącym i ignorował nadchodzące z centrali impulsy teletaksy do kasowania jednostek z karty. Karty, której zresztą nie było w czytniku.

Impulsy teletaksy to niesłyszalne lub słabo słyszalne impulsy sygnału 16 kHz. Ta częstotliwość leży na progu ludzkiej słyszalności, więc nie każdy ją usłyszy, a z reguły układy automatu nie przepuszczały tak wysokiej częstotliwości do słuchawki.

Impulsy teletaksy nie przeszkadzały w rozmowie, a informowały automat o impulsach taryfikacyjnych.

Często aktywację teletaksy na linii zamawiały firmy mające swoje małe centralki. Wtedy ta centralka rejestrowała kto i ile z wewnętrznych abonentów „wygadał na miasto”.

974... Hmm. Pierwsze przykazanie phreakera: nigdy nie odkładaj słuchawki za wcześnie. To abonenci odkładają ją zawsze za wcześnie.

Wybrałem 974. Oddzwoniło z ciągłym sygnałem. Ja jestem cierpliwy. Ciągły sygnał nigdy nie jest ciągły na zawsze. Nawet na Strowgerze w końcu obsługa wypnie takiego cierpliwego za zajmowanie wybieraka grupowego.

Wtem sygnał ciągły przeszedł w zajętość.

Zajętość na centrali cyfrowej oraz na K-66 kończy się „zaparkowaniem linii” czyli ciszą. Dzwoniący dostają albo komunikat o uszkodzeniu linii, albo jak na K-66 „koguta” czyli trójtonowy sygnał nieosiągalności, ale bez nagranych komunikatu o przyczynie.

Czekam więc i czekam i... uszom nie wierzę. Po zajętości znów ciągły sygnał.

Przykładam tone-dialera do mikrofonu i centrala reaguje na tony!

Bingo! Dzwonię do Łukasza.

- Łukasz! Mam!
- Co masz? Że bzika, to ja wiem ale poza tym?
- Mam metodę.
- Jak działa (załapał bez słowa o co chodzi)?
- Na automacie podpiętym pod „es dwunastkę” i numer 974...
- Ten numer przecież tylko oddzwania.
- Nie tylko. Centrala ma „buga” w oprogramowaniu. Takiego babola, że głowa mała. Takie coś nie ma prawa się zdarzyć. Słuchaj. Dzwonisz 974, centrala oddzwania i co masz?
- Ciągły sygnał i nie reaguje na nic.
- A czekałeś co będzie dalej?
- Nooo... nie. Ale dalej powinna być zajętość.
- I jest.
- A dalej zaparkowanie linii.
- A Chała Ludziom Dobrej Roboty! Właśnie po tej zajętości jest drugi ciągły sygnał i reaguje na DTMF!
- O ja pierdołę. To rządźmy przecież!
- Na to wygląda. A myślisz że jak ja teraz dzwonię?
- Hehe. Masz bipera?

Biper to inna nazwa tone-dialera. Małego urządzonego mającego z jednej strony pełną klawiaturę cyfrową jak w telefonie, a z drugiej strony głośniczek.

Sprzedawane to było czasem razem z automatycznymi sekretarkami, mającymi funkcję zdalnego odsłuchania wiadomości.

Można było zadzwonić do siebie nawet z aparatu bez wybierania tonowego i przykładając to do mikrofonu, wybrać swój kod i odsłuchać nagrane wiadomości.

Urządzenie jak najbardziej legalne w sprzedaży, posiadaniu i używaniu.

- Bipera pożyczyłem od Piotrka z Chomiczówki. Ale chyba będę musiał zakupić.
- Ja mam komórkę i ona przyłożona do mikrofonu też może robić za biper.
- Jak nawet peceta nie mam, to nie wymagaj ode mnie komórki.
- No to ja jadę o ciebie.
- Wpadaj...

Kilkadziesiąt metrów ode mnie mieszkał Paweł. Paweł był z mieszanego małżeństwa. Ojciec Polak a matka Bułgarka. Miał mnóstwo kolegów w Bułgarii.

Tak się złożyło, że właśnie wchodził zadzwonić do tego przedsionka gdzie stałem.

- Cześć Paweł! Mam dla ciebie prezent.
- Jaki ?
- A chcesz za darmo z tego automatu dzwonić?
- No mowa...
- No to słuchaj...

Automat zaczął aktywną działalność.

Ruch z niego generowany stał się ogromny, bo był w przedsionku i to nad kaloryferem. Przesionek był otwarty cały czas, a na noc zamykano tylko drugie drzwi do Spółdzielni. Było tu przyjemnie ciepło.

Po miesiącu automat... zniknął.

TPSA zaczęła się zastanawiać.

Na rogu ulicy Wolumen i Arkuszowej, TPSA wybudowała nową centralę z Promocyjnym Centrum Telekomunikacji na dole.

Abonenci Strowgera Bielany I i II czyli abonenci, których numery rozpoczynały się od 34 i 35 zostali przełączeni do tej centrali. Numery zyskały ósemkę z przodu, a centrala była dla mnie nowością. 5ESS produkcji Lucent Technologies.

Co zwróciło moją uwagę, to ulotki o usługach dodatkowych, wyłożone na ladzie w PCT. Informowały one na przykład, o usłudze przekierowania połączeń. Dla central S-12 Alcatela i EWSD Siemens informowały, że usługę trzeba najpierw zamówić.

Tego zdania brakowało przy ulotkach przeznaczonych dla abonentów centrali 834 i 835. Wkrótce także abonentów Żoliborz I, czyli tych z numerami 33 przełączyli na 5ESS, też dodając do numeru ósemkę.

Popędziłem do Piotrka Żoliborz

- Ty, daj mi szybko telefon.
- Co się stało.
- Muszę coś sprawdzić.

W rękę trzymałem ulotkę z kodami usług.

Chwyciłem słuchawkę i wybieram *21*633... swój numer i zakańczam #.

„Usługa została przyjęta” poinformowała mnie centrala, co spowodowało że podskoczyłem z radości.

- Co się...
- Czekaj...

Teraz dzwonię z aparatu Piotrka na jego własny numer. Jeśli wszystko jest dobrze, to zamiast zajętości... tak! Jest marszruta i mój domowy sygnał z Pentaconty.

No to teraz posprzątać po sobie: #21#

„Usługa wyłączona”.

- Piotrek. Ty wiesz co?
- Nie wiem.
- To jedź ze mną. Robimy zebranie.

Mając już w samochodzie Jasia, Piotrka i Bartka jechaliśmy do Łukasza.

Skręcając z Alei Solidarności w Targową powiedziałem.

Słuchajcie: to co odkryłem, a o czym już wiecie, można różne zastosować.

Ja zrobię alias mojego domowego telefonu! Przekieruję budkę do domu! Będę podawał numer budki w czasie naszych audycji Radia Kaskada, a ludzie będą się wreszcie do nas dodzwaniać! Będziemy ich wpuszczać na antenę!

- A jak ktoś będzie dzwonił z tej budki?
- Nie ma znaczenia. Może dzwonić równolegle i niezależnie. Numer nie będzie zajęty. Rozmowy pod numer budki trafią do mnie. A poza tym...

Przepuściłem tramwaj na zawrotce.

- Poza tym przekierujemy budki na jakieś drogie numery. Na komórki Bartka i Łukasza, za granicę do USA do Jańcia. Będziemy dzwonić do budek i płacić jak za rozmowy lokalne, a za dalszą część zapłaci kto?

- TPSA.
- Brawo Jasiu. Wężykiem...

Ciemną nocą znalazłszy się przy uprzednio wybranym automacie, skorzystałem z tego, że wcześniej byli tu jacyś pajęczarze. Wpiąłem się swoim domowym aparatem i przekierowałem budkę do siebie.

„Usługa została przyjęta”...

Prowadząc audycję podawałem numer budki. W tamtych czasach budki TP miały podobne numery do zwykłych abonentów i nie zaczynały się od cyfr 80 jak obecnie.

Zatem nasze pirackie radio zyskało łatwy do zapamiętania numer: 864-00-60.

Numeracja 864 była nowością na Bielanach. Otrzymały ją początkowo automaty i nowo podłączani abonenci, dla których już dawno nie było wolnych numerów na 34 i 35 a obecnie 834 i 835.

Co najbardziej mnie cieszyło to fakt, że Biuro Numerów zapytane o numer 864-00-60 twierdziło uparcie, że jest to „wolny, nikomu nie przydzielony numer”. A na pewno nie jest to numer zastrzeżony, bo taka informacja by się pojawiła w komputerze konsultantki i ona by o tym poinformowała.

- No to sitwa krótkofalarska będzie teraz miała zagwozdkę: skąd naprawdę nadajesz, bo 864 się z żadną dzielnicą nie kojarzy, a numer jest niby wolny.
- I bardzo dobrze. Tylko że od czasu gdy podajemy ten numer mam też sporo głuchych telefonów. Oni chyba ciągle sprawdzają czy to ja odbiorę.
- A wiesz, że podobno są taśmy z twoich audycji? Przekazują je sobie i się złoścą,

że PAR nic nie robi.

W czasie, gdy Piotrek wypowiadał te słowa, siedział u mnie w domu na kanapie razem z Marcinem – jego kumplem, a ja z braku miejsca, stałem zwrócony do nich przodem.

Stałem także przodem do okna.

W rękę trzymałem szklankę z herbatą i tak sobie rozmawialiśmy.

Nie zwróciłem wcześniej uwagi, że na podwórku, na wprost okna, od dłuższego czasu stoi jakiś typ.

Dopiero błysk fleszu fotograficznego zwrócił moją uwagę.

- Ej, wy. Jakiś facet zdjęcia robi!

Facet zrobił zdjęcie mojemu oknu, ale przez firanki raczej mnie na nim nie będzie widać. Później skierował aparat ku górze i znów pstrykał.

- On chyba robi zdjęcia antenom!

- Trzymajcie mnie kurwa mać, bo mu coś zrobię – odwróciłem się chlustając herbatą po szafie i tapecie. Ja tu nóż mam. Rzeźnicki. Postraszę go!

- Ej, panie... - zaczęli stukać w okno Piotrek z Marcinem

- Czego stukacie barany! - wykrzychałem wybiegając z nożem w kapciach na klatkę

- On ucieka.

- I słusznie robi – wyszczałem.

- Ty kurwa w obiektyw szarpany! - wrzeszczałem za rogiem, na uciekającego w kierunku pętli 19-ki faceta.

Dopiero teraz zwróciłem uwagę, że wypoczywający na ławeczkach przed domem sąsiedzi, dziwnie się na mnie patrzą.

- Ci natrętni dziennikarze – rzuciłem w przestrzeń i szybko schowałem się do domu.

- Uciekł.

- No pewnie że uciekł. Sam bym uciekł, ale on za wcześnie uciekł. Powinien zobaczyć nóż, żeby się bał tu pętać. Po co w to okno waliliście?

- Ciekawe kto to był.

- Kto by nie był. Niech się boi.

- A jak to glina.

- Gdzie tam. Glina by chyba nie spierdalał.

- No jak ja bym cię z tym nożem zobaczył, to nawet jakbym był w patrolu zmotoryzowanym to bym spierdalał.

- Tak źle wyglądało?

- Popatrz na tych staruszków na ławkach. Ciągłe w twoje okno pokazują.

- No trochę głupio to wyszło. Ale może i lepiej mieć opinię raptusa. To się rozniesie.

Przynajmniej nikt wycieraczki nie ukradnie.

- Tylko ciekawe jaką historię do tego dorobią.
- No cóż. Plotka zawsze wróci, to się dowiem.

- A więc słuchajcie – zwróciłem się do naszej grupy stojąc niczym gangsterzy zaparkowani w ciemnej uliczce – ta centrala 5ESS jest od producenta dostarczana z domyślnie aktywnymi usługami przekierowania. To znaczy, że na każdej linii, także tej dla automatu jest możliwość aktywacji przekierowania kodem. TPSA chyba o tym zapomniała, bo do tej pory dostawała centrale z nieaktywnymi usługami i dopiero na poszczególnych liniach mogła je aktywować. Ta centrala to jest chyba druga 5ESS w Warszawie. Dla nich i dla nas to jest nowość. Już jeden automat na rogu Marymonckiej i Alei Zjednoczenia na Straży Pożarnej jest przekierowany. Do mnie, do domu, na cele Radia Kaskada. Wiecie ten vis a vis AWFu. Teraz wy możecie sobie poprzekierowywać inne gdzie chcecie. Myślę, że nie musimy się wpinać w przewody. Wystarczy entry-call. Zadzwoń się na budkę. Jej numer najpierw się sprawdzi dzwoniąc normalnie z karty, na komórkę Bartka. Połączenia nie odbierzemy tylko zapiszemy numer. Potem zadzwoni się, jak mówiłem na budkę. Jednym „dzwonkiem” i się rozłączamy. Szybko podnosimy słuchawkę w budce i mamy włączony mikrofon, ciągły sygnał i pik-pok. Wtedy biperem ustawiamy przekierowanie nadając cyfry pomiędzy pik-pokami. Wszyscy zrozumieli ?

- Chyba tak.
- No to tutaj jest pierwszy wolny automat. Róg Podczaszyńskiego i Marymonckiej.

Numer już sprawdziłem: 864-00-59

- Biorę – odrzekł Bartek – biorę jako alias mojej komórki. Przynajmniej do mnie ludzie w cenie rozmowy lokalnej będą się dodzwaniać.

- No to jazda.

Wysiedliśmy z samochodu.

- Bartek. Dzwon.

Automat zadzwonił.

- Rozłączyłeś?
- Tak.

Szybko podniosłem słuchawkę i do mikrofonu przystawiłem biper.

Z pamięci powoli, między pik-pokami, ustawiłem przekierowanie na komórkę Bartka.

- Teraz sprawdź. Możesz z tej budki, z kartą zadzwonić na jej własny numer. Dodzwonisz się na swoją komórkę.

Bartek spróbował.

- Działa!

To teraz jedziemy do następnego automatu.

- A gdzie on?

- Róg Marymonckiej i Przy Agorze.

- To na Wrzecionie.

Wsiadliśmy do samochodu i po dwóch minutach staliśmy pod kolejnym automatem.

Gdy podchodziliśmy do telefonu, nagle aparat zadzwonił.

Podniosłem słuchawkę.

- Czy to sekstelefon? - zaśmiał się jakiś gówniarz.

Odłożyłem słuchawkę.

- Ktoś chyba filuje z okna na ten automat i sobie jaja robi. Jakiś kretyń pyta czy to sekstelefon.

- To i my mu zrobimy niespodziankę. Ja tu mam gdzieś gazetkę... - Bartek pogrzebał w torbie. O! Sexparty. O-700...

- Przekierowujemy! Jaki on ma numer ? 864-00-49. Dobra, dzwoń.

W tamtych czasach centrale przekierowywały jeszcze połączenia na dowolny numer.

Ustawiliśmy przekierowanie, sprawdziliśmy czy działa i chwilę ostentacyjnie postaliśmy przy automacie.

- Chcieli sekstelefon to mają.

- Myślę że i moi kumple chętnie skorzystają z taniego...

- No jeśli żyć bez tego nie mogą to niech dzwonią.

W krótkim czasie zagospodarowaliśmy większość automatów podłączonych do bielańskiej

5ESS. Zdarzało się, że dzwonili przypadkowi ludzie, na przykład na komórkę Bartka czy Łukasza ale ważniejsze były korzyści.

Bartek na przykład, miał tylko komórkę i nagle zyskał numer stacjonarny, przez co kontakt z nim był dość tani.

Szybko odkryliśmy, że żetonowce mają cały czas włączony mikrofon i mogą służyć za doraźny przekaźnik. Podchodziło się do żetonowca z biperem, przekierowywało go na przykład do pracy Jańcia w USA, a potem z tego żetonowca, wrzucając mały żeton A dzwoniło się na jego własny numer i rozmawiało ze Stanami. Po rozmowie zdejmowało się przekierowanie kodem #21# i zostawiało automat w spokoju, lub przekierowywało się dla nowego połączenia.

O procederze dowiedział się Niebieski z Mławy.

- Błagam, załatwcie mi „warszawski” numer na komórkę...

- Prosisz i masz.

Dostał.

W końcu zabrakło nam automatów.

Ale w Promocyjnym Centrum Telekomunikacji stała na wystawie centralka biurowa.

Nasza bezczelność sięgnęła zenitu. Zapanowaliśmy akcją „doniczka”...

Do PCT przy ulicy Arkuszowej wszedł jeden młody facet w garniturze.

Pragnął nabyć do biura centralkę i był bardzo niezdecydowany co do modelu i funkcji. Zaabsorbował więc swoją osobą całą obsługę. Jak łatwo się domyśleć, „biznesmenem” był Bartek.

Pozostawał nachmurzony ochroniarz siedzący w kącie. Jak nic były ORMOWiec.

Do zaprzątnięcia jego uwagi zabrał się Jasio, który wszedł minutę później.

Jasio „tak nieszczęśliwie” się zatoczył, że przewrócił doniczkę z ziemią.

Ochroniarz sapnął, wstał i podszedł sprawdzić co się tam dzieje.

Nie zauważony przez nikogo, wszedłem do sali PCT i poszedłem pewnym krokiem do aparatu demonstracyjnego, podłączonego do centralki.

- Oby mieli jedną linię do tych demonstracji – pomyślałem.

Podniosłem słuchawkę i wybrałem dziewięć, przez co „wyszedłem” na miasto. Teraz prosto na komórkę Bartka jednym sygnałem. Musieliśmy znać numer linii.

Za chwilę rozłączyłem się i dokonałem przekierowania, pod podany mi wcześniej numer rodziny Bartka we Francji.

Moje wyjście z PCT spowodowało, że „biznesmen” otrzymał nagle ważny telefon i musiał wyjść, a Jasio przeprosił za bałagan i też szybko się oddalił.

Spotkaliśmy się w samochodzie.

- No to dzwoń Bartek na ten nieodebrany numer.

Chwila ciszy...

- Halo? Ciocia? Dzień dobry ciociu. Tu Bartek, Tak, z Polski!

Akcja zakończona pełnym sukcesem.

Automat w przedsionku spółdzielni vis a vis mojego domu znów się pojawił. Czyżby poczuli się pewniej?

Chwila testu i sprawa była jasna. Zmienili oprogramowanie aparatu.

Gdy połączenie było przychodzące, ale impulsy z centrali jednak się pojawiały, to przy pierwszym impulsie automat się rozłączał.

Faktycznie poczuli się pewnie.

Ale zobaczymy kto kogo... Postąłem chwilę przy automacie wykonując różne próby. Zauważyłem, że przy wybraniu numeru darmowego wywoływanego z funkcji REDIAL, mikrofon włączał się od razu, a dopiero ułamek sekundy później szedł pierwszy ton.

Z ciężkim westchnieniem dmuchnąłem w mikrofon w trakcie wybierania numeru bezpłatnego z REDIALa.

Coś dziwnego. Połączenia nie dostałem. Po chwili ciszy temporyzacja zrzuciła na zajętość?

O? Tędy może coś uzyskam.

Po paru minutach już wiedziałem.

Centrala Alcatel S-12 ma kiepsko rozwiązane dekodowanie DTMFu.

Byłe szum czy szmer, obecny nawet jedynie pomiędzy nadawanymi cyframi, powoduje że nie są one odbierane. Niebieski Urmet wyłączał mikrofon w chwili nadawania DTMF, ale włączał go na ułamki sekund pomiędzy cyframi. Szum z głośnego dmuchania w mikrofon nawet gdy był obecny tylko podczas przerw, na tego typu centrali powodował nie zdekodowanie pozostałych cyfr. Wchodziła tylko pierwsza.

Spróbowałem tak 999 i od razu wcisnąłem widelki by nie absorbować pogotowia.

Teraz potężny haust powietrza, wydmuch i REDIAL.

Zadzwieczało 999 ale w słuchawce nadal cisza. Wyjąłem więc biper i wiedziony instynktem wybrałem 13.

"Biuro Numerów, proszę czekać" usłyszałem w słuchawce.

Yes !

Czyli mogę spowodować, że wejdzie tylko pierwsza cyfra. Na przykład 9.

Potem biperem mogę zadzwonić pod dowolny numer zaczynający się na 9.

Ale zaraz zaraz. A 0-800 ?

Potężny haust powietrza, dmuch i REDIAL.

W słuchawce nadal brzęczał drugi sygnał zgłoszenia.

A mikrofon włączony.

No to jedziemy te sześć cyfr klawiaturą, a dalej biperem.

- Łukasz ? Zdaje się że mam coś nowego.
- Wiem, Nie działa metoda na 974.
- To już wiem, zmienili oprogramowanie, ale...

Aparat się rozłączył.

O co chodzi?

Po paru próbach już wiedziałem.

Entry-call, czyli udawane połączenie przychodzące udało im się wyeliminować. Ale jeśli dzwoniliśmy wychodząco na udawany numer darmowy, to pierwszy impuls automat ignorował. Przy drugim rozłączał.

Hmm... a dostęp tylko do numerów na 9 i na 0. Te na zero to szybko się będą rozłączać. Drugi impuls zwłaszcza przy połączeniach na komórki szybko przychodzi.

Zaraz zaraz. Mogę na 9? No to 974...

Ale nie! Teraz to ja słuchawki nie odłożę... Ja sobie poczekam. Albo nie. Odłożę i podniosę...

Ha... Cisza! Co? No to wybiorę powiedzmy 999... dalej cisza... Ale po 999 włączył się mikrofon.

Po chwili wszedł ciągły sygnał. Przeczekałem, bo nie reagował na DTMF.

Potem zajęte... Nie ze mną te numery, że to już koniec.

O! Jest znów ciągły sygnał i reaguje na DTMF.

A na wyświetlaczu 999 - darmowy numer.

Ha! Jeden impuls mam gratis, czyli trzy minuty rozmowy lokalnej lub sześć po dwudziestej drugiej...

- Łukasz? - tym razem dzwoniłem na stacjonarny.
- No?
- Mam nową metodę.

Pokrótkę streściłem na czym polega.

- A może by zamiast 999 na ciszy wybrać 0800? - poradził przytomnie Łukasz - wtedy na sześciocyfrowe lokalne dzwoniłbyś bez bipera, a na siedmiocyfrowe ostatnią cyfrę dodawałbyś biperem?
- Ty ! Ty masz rację. Tak trzeba zrobić.
- A widzisz.
- No i jak chcesz dzwonić na sześciocyfrowy to możesz gołymi rękami. Bez bipera i bez karty.
- No tak. Dawniej potrzebny był choć jeden impuls na karcie by wybrać 974. Był w zasadzie wieczny, ale kartę trzeba było nosić.
- Teraz to musisz mieć zdrowe płuca. Więc radzę ci rzucić palenie.
- A te trzy minuty mogą i na wybrane komórki być, bo mamy tę armię przekierowanych automatów.
- No właśnie.

Pewnego popołudnia, z nudów, próbowałem sklecić coś na kształt odzewnika czy też sztucznego abonenta. Coś co jak automatyczna sekretarka, odbierało by połączenia i na przykład dawało dźwięk z włączonego i podłączonego radia.

Jako że nie miałem komórki, próby musiałem robić z automatu na przeciwko.

Zlutowałem coś, co na przekaźniku powinno te rozmowy odbierać.

Poszedłem do automatu i dzwonię do siebie.

Cisza.

Co jest? Jeszcze raz.

To samo. Ale impulsów nie zjada.

Co ja zrobiłem? Czyżby?!

Pogalopowałem do domu i drżącymi rękoma podałem audio na stałe w linię.

Wróciłem do automatu i dzwonię do siebie.

Marszruta i... gra moje radio. Ale za darmo! Nie zszedł żaden impuls. Zaraz. To coś powoduje że centrala odbiera rozmowy, a nie daje w tył sygnalizacji że ktoś odebrał. Pomocy! Komórki! Łukaaaaasz...

Popędziłem do domu.

- Łukasz, nie pytaj o nic tylko zadzwoń do mnie. Z komórki i patrz czy ci zjada impulsy.

- Co?

- Nico, mówię dzwoń. Będiesz słyszał radio. Ja muszę zobaczyć co ten przekaźnik robi. Czekam, czekam.

Telefon brzęknął, przekaźnik na chwilę przyciągnął i odpuścił.

To takie numery!

Zaraz. Próba fonii.

Szybko zmontowałem układ rozmówny. Aparat zasililem dwoma szeregowo podłączonymi bateriami 9V przez rezystor, a od linii odgrodziłem się dla składowej stałej, kondensatorem foliowym.

Isostat... cholera, gdzie jest jakiś istostat. Jest. Wlutować ! O tak.

Pstryk i sygnał, pstryk i ciche brzęczenie.

Dobra. Dzwonię do Łukasza.

- Coś ty tam narobił. Radio szło i to za darmo, a potem nikt nie odbierał.

- Nie pytaj. Zadzwoń do mnie TERAZ. Z komórki. Cześć.

Dzwoni ! Przełączam isostat i czekam.

Prztyk i...

- Halo?

- Jestem. Ty... nie zżera impulsów! Coś ty zrobił?!

- Haha! Nie wiem jak to dokładnie działa. Jak dzwoni telefon i się tylko na chwilę zamknie obwód, a potem gada tylko na składowej zmiennej – wiesz, coś jak aparaty MB, to nie zalicza. Tak jakbym twojej rozmowy nie odebrał.

- No ale to temporyzacja zrzuci.

- Pewnie zrzuci, ale od czego masz redial?

Pogadaliśmy chwilę i faktycznie zrzuciło. Po 4 minutach.

Okazało się, że mój przekaźnik ma wadę. Czasem nie odskakuje i wtedy rozmowę zalicza.

Przerobiłem to, co Łukasz nazwał „Darmofonem” i wstawiłem spolaryzowaną zaporowo

diode Schottky'ego. Pomyślałem, że ona robi to najlepiej.

Działo pięknie.

Przy 80V rms musiała się przełączyć na przewodzenie i potrzymać chwilę, ale na tyle małą by nie zaliczało.

Usprawniony darmofon działał stabilnie.

- Łukasz, ja myślę że to nie błąd Pentaconty. To jakaś mało udokumentowana funkcjonalność. Że można na przykład na jednym numerze założyć bezpłatny komunikat, o tym że abonent zmienił numer.

- A przywieź to do mnie. Zobaczymy jak działa na K-66.

Działo tak samo.

Na liniach z central cyfrowych nie działało.

Dopiero teraz zaczęły się długie pogawędki. W końcu każdy telefon do mnie był bezpłatny.

I to zarówno z telefonów stacjonarnych, z komórek i zza granicy. Tylko w automatach mikrofon się nie włączał bo... przecież nikt nie odbierał.

Najdłuższe sesje były, jak ktoś dzwonił z warszawskich S-12-tek. Aż sześć minut i parę sekund temporyzacji.

A redial trwał chwilę.

Nie musiałem nawet odkładać słuchawki.

Wystarczyło czekać z nią przy uchu, a rozmowa sama wskakiwała. Dzwoniący nie miał nawet sygnału wołania. Z komórek miał ciszę i od razu moje „halo?” a ze stacjonarnych marszrutę i także moje odezwanie się. Bo każde wskoczenie poprzedzone było krótkim stukiem załączającego się mostka w ramie wybieraka na sekcji końcowej.

Pewnego dnia zadzwonił do mnie Niebieski z reklamacją. Przekierowanie przestało działać.

To samo z numerem Bartka i innych.

Czyżby koniec?

Szybko, nawet bez zjedzenia śniadania, pojechałem na miasto niczym ekipa interwencyjna.

Czułem się... odpowiedzialny za te „usługi”.

Czyżby połapali się i koniec metody?

Uff... Nie. Nie wiem czemu, ale oni tylko zdeaktywowali te przekierowania.

Już przed południem wszystko doprowadziłem do „pierwotnego” stanu i wszyscy mieli działające aliasy.

Po miesiącu sytuacja się powtórzyła. Tym razem też tylko kilka godzin trwała „awaria”.

Czy oni są tacy głupi, czy coś tu zaczyna śmierdzieć?

Coś zaczynało się dziać.

TPSA już wiedziała że ma w Warszawie silną antygrupę techniczną. I to skuteczną.

Czy kojarzyli to ze mną? Wtedy jeszcze nie wiedziałem. Miałem się dowiedzieć. Wkrótce.

Na razie po kilku miesiącach zabawy w kotka i myszkę z przywracaniem przekierowań, wyłączyli na dobre. Linie automatów z 5ESS już nie przyjmowały przekierowań.

Ależ czy to ostatnią 5ESS montują w kraju? Po wsiach właśnie likwidowano stare centrale ręczne zastępując je czasem 5ESS.

Pewnego pięknego ciepłego majowego dnia ruszyłem znaną mi drogą.

Tym razem do samochodu wziąłem parę rzeczy.

Jako najbardziej dziwne wyposażenie umieściłem w nim... nadajnik radiowy mający całą drogę nadawać na 71,0 MHz taśmę z walkmana z funkcją REPEAT.

Nadające radio na kółkach, ruszyło przez Babcice znaną już trasą.

Na Wyszogród...

Wyjechałem za miasto.

W tył uciekały małe domki, drzewa.

„Prawie do nieba wzięłaś mnie,

A wtedy padał śnieg,

Prawie do nieba wzięłaś mnie,

W zimny ciemny dzień...”

I tak jechałem śpiewając razem z nadawaną na UKF kasetą.

Tym razem chciałem zmienić nieco trasę.

Za Lesznem dalej prosto, ale niezbyt daleko. Przed Żelazową Wolą w miejscowości Łazy skręciłem w prawo.

Pojadę przez Puszcę.

Moja mapa, pognieciona i poplamiona – weteranka wypraw pieszych, pokazywała że lasem idzie jakaś przejezdna chyba droga.

Dojechałem do miejsca, które – to wiedziałem z przewodników – było kiedyś wsią.

Grabnik czy jakoś podobnie, brzmiała kiedyś jej nazwa.

Cóż stało się z tymi ludźmi? Gdzie żyją ich potomkowie?

Jakaż historia kryje się za takimi wioskami, które przeminęły i została po nich tylko nazwa na starych mapach?

Skręciłem w leśną drogę wiodącą w lewo.

Według mapy powinienem dojechać do czegoś co nazywa się Góra Koło Teresy. Przypomniał mi się przewodnik. Tam jest podobno kapliczka Świętej Teresy i tam

gromadziła się ludność w czasach wojen czy zarazy.

Droga była z dołami wypełnionymi wodą.

Niektóre głębokie a inne błotniste. Były też takie, które posiadały obie te cechy.

Zawrócić? A gdzie tam. Mowy nie ma. Koleiny takie, że tylko do przodu... jak tramwaj.

Ale, ale! Coś mi ta woda się zaczyna wlewać przez kiepskie uszczelki.

Chyba jedyny ratunek przejechać takie bajora na dwójce, szybko i na wysokich obrotach gdyby silnikowi...

W złą godzinę, cholera!

Już jeden „gar” nie pali. Czuję to. Kurcze. żeby tu nie utknąć. Zero telefonu, kilkanaście kilometrów od najbliższych zabudowań.

Gaz!

Połamię resory a przejadę.

Nadajnik nadawał właśnie jakiś dance. „Welcome to tomorrow”. Heh. To z tych pirackich płyt z Bułgarii.

Szybki rytm dał mi kopa.

Rozchlustując prawie jeziora przelatywałem siłą rozpędu na drugi ich brzeg.

Drugi "gar" zdechł.

Święta Tereso...

Jeszcze trzy, dwa... już widzę górę i suchą drogę...

Jeszcze jedno...

Jestem... I wtedy trzeci gar zdechł. Silnik tylko dzięki kołu zamachowemu pyrkał na jednym cylindrze. Obciążyć jazdą już się go nie dało. Ale byłem za wodami.

Zatrzymałem się, ale obroty trzymałem wysokie na biegu jałowym. Jeśli to można nazwać wysokimi obrotami. A niech to. Jeszcze świece zaleję. Lepiej nie wciskać za dużo gazu. Niech ten silnik obeschnie.

Udało się ostatnim tchnieniem.

Popatrzyłem w bok. Na ogromnym prastarym dębie, wisiała mała podobizna Świętej Teresy. Taka kapliczka.

Poczułem coś w rodzaju wdzięczności.

Silnik pyrkał i pyrkał, aż w końcu załapał drugi cylinder.

Chyba zaryzykuję i go zgaszę. I tak wyschnie.

Poszedłem obejrzeć okolicę.

O kurza twarz...

Obok drogi i naprzeciw dębu, pięła się ostro pod górę piaszczysta ścieżka. Zacząłem nią iść, i po chwili nade mną ukazała się wielka wieża obserwacyjna, do wyglądania dymu

nad lasem.

Na szczycie była budka. Chyba pusta.

Zacząłem wchodzić po metalowej drabince.

Oj, widzę kłódkę. Ale nic. Niżej jest taka platforma, gdzie drabinka zmienia bieg i idzie obok. To na wypadek gdyby ktoś spadał. Przed upadkiem do tyłu z drabinki, chronił taki jakby tunel zrobiony ze stalowych elementów. Można było spadać tylko w dół.

Wszedłem na platformę nad lasem i... Ależ wrażenie!

Przepiękny widok lasu u stóp, we wszystkich kierunkach i aż po horyzont.

Piękny zielony dywan. Stałem tak zachwycony pięknym widokiem, gdy wtem, gdzieś z oddali nadpłynął cichy szum. Zbliżał się i potężniał z każdą chwilą, aż nagle las pode mną poruszył się i zachwiał. Podmuch wiatru zakołysał zielonym dywanem i ... - to nie przesada - ten las... tańczył!

Wiatr rozwał mi włosy ale był taki miły, ciepły i jakby przyjazny.

Malutki człowiek i potęga przyrody. Spektakl dla jednego widza. Dużo piękniejszy niż cała ta „kultura” w tym wielkim mieście, które zostawiłem 50 kilometrów za sobą.

Stałem zachwycony nie wiedzieć jak długo.

Toż Chopin musiał... MUISIAŁ stąd właśnie czerpać natchnienie!

On się tu urodził. Tu wracał. Tu. Gdzieś kilkanaście kilometrów stąd.

Może nawet ta wieża na zachodzie to kościół w Brochowie, gdzie był chrzczony? Zacząłem schodzić na dół.

Dla takich przeżyć warto przejechać szmat drogi.

Samochód o dziwo udało się uruchomić bez trudu.

Jeszcze jeden „gar” nie „palił” ale myślę, że mu w czasie jazdy przejdzie.

Ruszyłem w dalszą drogę.

Las się przerzedził i wjechałem piaszczystą drogą do wsi.

Ta wieś też podlegała bezsensownej polityce wysiedlenia. Według mapy nazywa się Bromierzyk.

Gdźieniedzie opuszczone domy ale spotkałem i kilka zamieszkałych.

Duże wrażenie zrobił na mnie żuraw studzienny.

Oni wciąż tutaj w ten sposób czerpią wodę!

Nawet bez kołowrotku.

Przecież to się powinno zachować! A oni to zburzą...

Uff... asfalt. Co tu jest? Famułki Brochowskie. Ale mijam je opłotkami. Skręciłem w prawo. Niesamowite.

Szeroka, pusta droga przez bezkresne podmokłe łąki. Asfalt równy i nowiutki ale bez

namalowanych pasów. Ruchu brak. Ani jednego domu, samochodu czy człowieka na horyzoncie.

Można by tu kręcić sceny jak z bezkresnych dróg USA – pomyślałem.

Rozpędziłem się i wiatr osuszył przewody wysokiego napięcia.

Samochód parę razy szarpnął i odzyskał pierwotną moc.

Gnałem środkiem drogi.

Nagle przeskoczyłem na jakimś garbie.

O! Mostek. To chyba kanał Łasica przecinający całą Puszczę.

Droga zrobiła się węższa i kręta. Znowy pojawiły się drzewa.

„Miszory” – przeczytałem na tablicy.

Miszory. Pamiętam to z przewodnika, Nazwa wzięła się od „mysich nor” będących w zasadzie lisimi norami w piaszczystych urwiskach nieskalanie czystego piachu.

Faktycznie. Są. Wydmy śródlądowe urwane w połowie. Dookoła niczym śródziemnomorskie cyprysy, rosną dorodne jałowce.

Mój dziadek robił z ich jagód nalewki.

Podobno jałowiec to miernik czystości środowiska. Rośnie tylko tam, gdzie gleba i powietrze są w ogóle nie zanieczyszczone.

Ach jak dobrze że 90 procent wiatrów tutaj wieje z zachodu. Dobre leśne powietrze idzie nad miasto, a nie spaliny znad Warszawy nad Puszczę.

Przejechałem obok małego parterowego budynku, niewiele większego niż wiejski sklep spożywczy. „Szkoła Podstawowa w Miszorach”. Uwagę moją zwróciła antena kierunkowa RSŁA na 300 MHz. To ile oni tu mają klas? W sensie – sal. Ze cztery?

Fajna roślinność. Zawsze chciałem mieszkać w takiej wsi, w jakimś drewnianym domku. Wszędzie piaski, urwiska i karłowate sosenki, dobre do wspinania. I te piękne jałowce... Drodze towarzyszy stara linia telefoniczna na drewnianych słupach. Tu jeszcze idą druty na izolatorach. Pachnie żywicą. Zawsze mnie zastanawiało, czemu zazwyczaj stosuje się białe, porcelanowe izolatory, a w takich piaszczystych leśnych terenach porośniętych sosnami – szklane. Koloru niebiesko-zielonego, butelkowego szkła.

To chyba przez to, że porcelana łapie jednak szybciej pyłki sosny. Taki izolator na tym pyłku łapie już brud i zaczyna przewodzić w mokre dni, do mokrego słupa. A ten jest z drewna i jak drewno mokre to i do ziemi linia ma przejście.

W Miszorach pięknie błyszczą szklane izolatorki. Widok prawie już niespotykany.

Minąłem Miszory i dojechałem do drogi. Według mapy powinienem skręcić w prawo.

Na mapie przy skrawku lasu – nazwa: „Uciekaj”.

To historyczna nazwa!

To tu zatrzymał się Jagiełło z wojskami w 1410 roku idąc na bój z Krzyżakami pod Grunwaldem.

Tu zatrzymali się przed przeprawą przez Wisłę i nazwali to miejsce „Uciekaj” bo „tak szybko im droga uciekła”.

To tu prawie 700 lat temu, pierwszy raz w historii świata, użyto mostu pontonowego. Na tratwach.

Dojechałem do drogi 575 w okolicach Śladowa, mając do dyspozycji skręt tylko w lewo lub prawo.

W lewo na Przęsławice i znany mi już Kamion, a w prawo na Modlin ale to kawał drogi. Skręciłem na Kamion i w Wyszogrodzie ostrożnie pokonałem po raz drugi, najdłuższy drewniany most Europy.

Tym razem zaparkowałem blisko skarpy.

Ciekawe jak daleko z anteny ćwierćfalowej, na podstawie magnesowej, mój nadajnik będzie słyszał na turystycznym radyku.

Wybrałem się więc na długi wielogodzinny i pouczający spacer.

Nadajnik „leciał” zadziwiająco daleko.

Mijani ludzie dość dziwnie patrzyli się na chłopaka idącego z włączonym radiem.

Ale spacer dostarczył ciekawych informacji.

Kamion należał do strefy numeracyjnej Skierniewic. Kierunkowy 0-46.

Podniosłem słuchawkę w napotkanym automacie. Od razu poznałem „miękkie” brzmienie sygnału centrali EWSD Siemens.

Po długim spacerze znów znalazłem się Wyszogrodzie.

Nagle... zaraz! Moja melodia z radia dobiega jeszcze skądś.

Wyłączyłem swoje radyjko i okazało się, że z otwartego okna małego parterowego domku dobiega... moja stacja z zaparkowanego na rynku samochodu!

Ja pierdzielę. Wystarczy nadawać coś wpadającego w ucho i ludzie kręcąc gałkami zatrzymują się zawsze na twoim sygnale.

O! Automat. Lśnił nowością.

Podniosłem słuchawkę...

Nie do wiary! 5ESS!

Karta, karta. Gdzie jest karta.

- Łukasz? Cześć... tak dzwonię z daleka. Widzisz numer? To dobrze. Słuchaj. Znalazłem nową centralę 5ESS. Puść mi JEDEN sygnał. Ja mam biper. Spróbuję przekierować...

Niecierpliwie czekałem na jeden dzwonek.

Zadzwonił.

Jeszcze sekunda dla pewności, że Łukasz się rozłączył.

Podnoszę.

Pik-pok ale sygnał w tle.

21 ... do kogo by tu... do Niebieskiego!

„Usługa została przyjęta”!

Bingo!

Nowe centrale montują, ale tylko w Warszawie „załatwiali dziurę”.

Jazda do samochodu szukać innych automatów!

Automatów znalazłem trzy sztuki.

Z pomocą Łukasza przekierowałem je do Bartka, do kumpla Bartka w Japonii i do Łukasza.

No cóż. Teraz trzeba będzie dzwonić zero dwadzieścia cztery. Połączenie międzymiastowe, ale i tak o niebo tańsze niż na komórki.

Niech TPSA płaci. Czyta się różne artykuły w gazetach jak oszukuje abonentów.

Niech i sama dostaje trochę w dupę.

Wracam z poczuciem dobrze wykonanej roboty.

Nasza „grupa” roztacza coraz większe wpływy i grasuje nawet w ościennych strefach numeracyjnych.

Łukasz założył stronę internetową o phreakingu. Nazwał ją 974 Group a ja występowałem tam jako VIP.

- Dlaczego VIP?
- Bo jesteś VIP.
- Ja jestem Varicap.
- Ale u mnie będziesz VIP.
- Słuchaj, podobno jest kanał IRC #phreak czy jakoś tak. Można by z kimś złapać kontakt.

Kontakt niedługo się pojawił i to w nieco dziwny sposób.

Niebieski postanowił przenieść się do Warszawy.

- Wiesz, tu są większe możliwości...

Pomagałem załatwić mu wynajem pokoju „przy rodzinie”.

I wtedy zobaczyłem jak ten „rynek” oszukuje ludzi.

Dostawaliśmy w biurach oferty z adresami, ale albo nieaktualne bo oszukiwał pośrednik, albo oszukiwał „wynajmujący”, biorąc zaliczkę i pokazując to samo mieszkanie setkom osób, a potem ukrywając się.

Koniec końców, pokój załatwiłem przez znajomego mojej matki i to... w budynku odległym kilkaset metrów ode mnie.

Niebieski lubił zarabiać w dość specyficzny sposób.

Lubił szybki i spory zysk, ale w niezbyt legalny sposób.

Gdzieś w Polsce powstała firma, mająca numery 0-700 gwarantująca założenie indywidualnego hasła i PIN oraz wypłacająca 2 złote za każdą minutę telefonu do nich. Oczywiście minuta połączenia kosztowała 9,98 złotego, więc wiadomo dla kogo ta „oferta”. Głównie dla pajęczarzy podłączających się na choma do cudzych linii w piwnicach i nazywająca siebie „phreakerami”.

Zero myślenia - forsa ważna, a ludzie zapłacą nieswoje rachunki.

Niebieski tak nie robił, ale już na koszt firm mających niezabezpieczone PBXy, czyli firmowe centralki dzwonił.

Taka centralka miała czasem dwie linie. Jedną się wchodziło i gdy nagrany tekst mówił aby wybrać tonowo numer wewnętrzny, wybierało się z reguły 9 i wychodziło na miasto drugą linią. Oczywiście trzeba było znać kod dostępu. Często właściciel nie zmieniał fabrycznego kodu na przykład 1234 bo nie doczytał o tej funkcjonalności centrali, więc takie oszustwa były łatwe.

No ale i tak trzeba było zapłacić za rozmowę lokalną.

Niebieski był cierpliwy. Zdobył skądś kartę serwisową do automatów i wyłączał w nich taryfikację, potrafił w budce spędzić... 12 godzin i „zarabiać”.

Sprzątał po sobie wprowadzając w automacie poprzednie wpisy.

Gdy zamieszkał niedaleko mnie i miał dostęp do telefonu właściciela mieszkania, dogadał się z nim. Ten pozwalał mu korzystać z telefonu i rozliczali się po bilingu.

Akurat w tym czasie odkryłem lukę pozwalającą dzwonić zupełnie za darmo z mojej linii na konkretne kilka central. A że Niebieski miał linię z tej samej centrali co moja to poinformowałem go o odkryciu.

Odkryłem przypadkiem, iż dzwoniąc na centrale, których kierunki z mojej centrali są bezpośrednio, z sygnalizacją dekadową oraz są łączone za pomocą krotnic PCM, można spowodować ciekawe zjawisko.

Otóż po wybraniu numeru i przeczekaniu lokalnej marszruty, dostawszy sygnał wołania z odległej centrali, można doszedłszy do wprawy, tak dobrać czas kłapnięcia widełkami, że cała droga połączeniowa na odległej centrali spadała. Na mojej zostawała.

Wciąż zajęta translacja, była „przeźroczysta” dla impulsowania moją tarczą w aparacie, i mogłem nadać cztery INNE cyfry do odległej centrali. I z tym właśnie numerem, a nie pierwotnie wybranym, uzyskiwałem połączenie.

Po chwili zastanowienia mechanizm już znałem.

Co mi to dawało?

Przede wszystkim oszukanie bilingu. Dzwoniłem pod inny numer niż system bilingowy pierwotnie odczytał płytką IR z rejestru. Bo właściwe cztery ostatnie cyfry nadawałem gdy rejestr abonencki już się odłączył.

Metoda działała na centrale: 31, 32, 36 i 38. Na centrale 33, 34, 35 i 39 nie działała, bo tu łącze było naturalne i z jakichś względów kłapanie nie zrzucało drogi połączeniowej na odległej centrali. Prawdopodobnie brak krotnicy i wspólna żyła C po potencjale, a

nie po sygnalizacji cyfrowej, nie pozwalała na takie zabawy.

Ha ! A jest sobie taka centrala Koło I, typu K-66 w której „piąty tysiąc”, czyli numeracja 36-5x-xx, był oddzielną centralą PKP. Obecnie zlikwidowaną.

Dzwoniąc dla przykładu na 36-50-00 uzyskiwałem „koguta” z tamtej K-66 na Kole i na bilingu dla abonenta nie było żadnego wpisu, bo nikt tej rozmowy nie odebrał. Bilingi dla abonentów ziewały tylko odebrane połączenia.

Mogłem za to zadzwonić na 36-50-00, skorzystać z mojej metody i zadzwonić na inny numer ka K-66. Ktoś odbierze, ja pogadam, a system bilingowy zarejestruje rozmowę z nieistniejącym numerem 36-50-00. Ja to zareklamuję i oddadzą pieniądze.

Szybko znalazłem PBXa w jakieś firmie, mającej numer z centrali 36.

Kod był jednak zmieniony... Kilka prób i... szczęście! Kod 0001. Nietypowy, ale głupio ustawiony.

Dzwoniłem pod 36-50-00, kłapnięcie, inne cztery cyfry dekadą i połączenie.

Potem dziewiątka na zapowiedzi, kod 0001 i już mam ciągły sygnał i świat otworem. Ale nie. Nie teraz.

Wykonałem kilka połączeń ale na odzewnik, na K-66, by nie narażać tamtej firmy na koszty. Potem bezczelnie zadzwoniłem na numer obsługi centrali Koło-I i poprosiłem o półgodzinne nieodkładanie słuchawki. Byli przyzwyczajeni do takich prób, bo odzewnik K-66 zgłaszał się tylko na chwilę. Przystali więc na „testy”.

A licznik cykał. W bilingu będzie numer 36-50-00 i sami będą szukać jak to możliwe.

Już ja im złożę reklamację... Grubą jak książka telefoniczna. Bo jeszcze kilka błędów odkryłem przypadkowo, nie dających tak wielkich możliwości jak opisana wyżej metoda, ale zdalnych do skutecznego reklamowania połączeń.

Zaraz... chwila... moment.

Można prościej!

W tym właśnie czasie TP likwidowała lokalne Biura Napraw i wprowadziła scentralizowane pod numerem 9696.

Lokalne Biura Napraw miały w Warszawie i okolicach numery XX-20-71 gdzie XX czy XXX to początkowe cyfry centrali. Były od tego wyjątki, ale rzadko.

W tym już czasie, co wiedziałem, TPSA zaprzestała fotografowania liczników na centralach i opierała rozliczenia o system bilingowy, który zapisywał dla każdego abonenta tylko wybrany numer i czas trwania połączenia.

Inny system - w postprocessingu - przeliczał to, analizując wybrany numer i czas trwania połączenia, na impulsy i opłatę.

Bo 10 minut numeru lokalnego i 10 minut do Japonii to wyjdzie zupełnie inna liczba jednostek taryfikacyjnych.

System postprocessingowy miał takie ustawienie, że jak ostatnie cyfry miejscowego połączenia są 20-71, to bez względu na długość trwania połączenia - ma być zero impulsów. Połączenie bezpłatne.

No to ja 36-20-71. Kłapnięcie. Inne cztery cyfry do PBXa. Dalej już kod i numer do Jasia.

- Jasiu Cześć! Mam kolejną metodę. Zupełna rewelacja, Za darmo i z domu...

W zasadzie odbyłem tylko jedną półgodzinną rozmowę lokalną z Jasiem na koszt tej firmy, a samemu nie płacąc nic.

Nie chciałem ich wpędzać w koszty. W końcu naciągnąłem tę firmę tylko na 3,50 złote. Jednak o metodzie opowiedziałem Niebieskiemu.

Od tego czasu jego numer był wiecznie zajęty.

„Zarabiał”.

Przyszedł rachunek.

Całe kolumny bezpłatnych połączeń z Biurem Napraw trwających po 12 godzin...

Wtedy jeszcze tego nie wiedzieliśmy, ale od tego czasu służby TP i nie tylko TP, zaczęły się nami interesować.

Bo ktoś, kto potrafi zostawiać fałszywe wpisy w systemie bilingowym, dla służb państwowych jest groźny. Nie wiadomo z kim tą wiedzą się podzieli i mniejsza o darmowe rozmowy. Kilku „gówniarzy” cofnęło operatora i służby państwowe do lat 80, kiedy to prawdziwy numer można było ustalić tylko w czasie trwania rozmowy. Takich ludzi trzeba pilnować...

W końcu, któregoś dnia przez radio, konspiracyjnym głosem woła mnie Niebieski.

- Musisz szybko do mnie przyjść.

- Co się stało?

- Coś dziwnego. Po każdej wybranej cyfrze, czy to w pulsie, czy w tonie mam podwójny trzask.

- Już idę.

Jeden rzut „ucha” i kilka wybranych losowo cyfr dekadowo oraz w DTMFie i sprawa była dla mnie jasna. Na linię Niebieskiego założono „obserwację techniczną”. Sprawa śmierdziała dochodzeniem na kilometr.

- Za dużo natłukłeś komuś forsy! Wisiałeś godzinami i wyszedł alarm na MNŁA.

MNŁA to Moduł Nadzoru Łaczy Abonenckich – na centralach elektromechanicznych po modernizacji, było takie urządzenie zapalające alarm, między innymi w sytuacji, gdy jakieś połączenie trwało „podejrzanie długo” - podejrzanie w kwestii możliwej awarii.

- No i co?

- No i zainteresowali się, gdzie tak dzwonisz po 12 godzin codziennie. Na rachunku jest, że do nieistniejącego od roku Biura Napraw na Kole. To że robisz w wała ich system bilingowy to wiedzą. Wiedzą też, że nie płacisz. Pewnie wysłuchali, że brzmi to na 0700 i po sznurówce doszli do firmy. Teraz firma złoży doniesienie i siedzisz.

- To po co ta obserwacja?

- Chcą wiedzieć jak to robisz, no i mieć dowody inne niż zeznania techników

widzących „sznurówkę” - to dla sądu może być niewiarygodne, że ktoś widział układ jakichś tam wybieraków. Zbierają dowody. To co stuka, rejestruje wszystko co nadajesz. Dekadą i DTMFem. I wiesz co? Żałuję, że ci o tej metodzie powiedziałem i dałem numer tego PBXa. Hasła nie dałem, ale przecież doszedłeś tak jak ja. Teraz jakaś firma pójdzie z torbami bo chciałem być taki dobry... Kurwa mać. Niebieski! Czy ty możesz kiedyś kogoś nie zrujnować? Największa moja pomyłka phreakerska - dać tobie ten numer. Co innego raz zadzwonić lokalnie jak ja, a co innego że ty „zarabiasz”, a oni pewnie zapłacą. Zapłacą, bo billingi nie pokazują KTO robi te szwindle. A oficjalnie sąd uznaje że billingi nie zawodzą...

Tego faktycznie do dziś żałuję. Moja próżność. Pochwalić się metodą przed nieodpowiednią osobą. A ktoś ma teraz kłopoty. Poważne kłopoty, na wiele dziesiątek tysięcy złotych.

Ze stanów znów wrócił Jańcio. Przywiózł to co produkowała fabryka, w której pracował.

Pięknego niebieskiego "koguta" na magnes i 110-cio decybelową syrenę, składającą się z generatora ze wzmacniaczem oraz małej niepozornej tuby.

Pewnego wieczoru postanowiliśmy zrobić próbę.

Jańcio ze sprzętem pojawił się u mnie w mieszkaniu pierwszy.

- Wiesz co ? Zaraz będzie szedł Jasio. Zrobimy z zaskoczenia. Otwórz okno, ale zgasimy światło. On wtedy będzie przechodził.

Żeby ja wiedział jakie to głośne...

Gdy Jasio wyłonił się zza rogu, wcisnęliśmy dźwięk „syreny” straży pożarnej z USA.

Takie „trąbienie” na inne samochody.

Gdy wcisnąłem przycisk to... ogłuchłem na moment.

Zobaczyłem tylko, że wszyscy na osiedlu wychodzą na balkony i wychylają się z okien. Podobno dźwięk odbijał się po całej dzielnicy i ostatnie echa były słyszalne dziesięć sekund po zakończeniu trąbienia.

Jasio wszedł z kamienną twarzą i jakoś tak nienaturalnie głośno powiedział:

- Jak to ryknęło, to powietrze zrobiło się jakby gęste. Dmuchnęło mi we włosy a przecież z 10 metrów jest chodnik od okna.

- Bierzemy to do samochodu - zawyrokowałem.

Godzinę później mój czarny Peugeot napchany do granic możliwości - bo każdy chciał w tym uczestniczyć - rozpoczął grasować jako pojazd nielegalnie uprzywilejowany po Bemowie.

Pierwszy raz włączyliśmy syrenę i koguta na Wrocławskiej, dojeżdżając do Radiowej. Samochody od razu zrobiły miejsce, a ja nie odmówiłem sobie przyjemności przejechania na czerwonym świetle.

System miał całą gamę zestawów dźwiękowych i policyjny brzmiał zupełnie jak nasz. Oczywiście zostało mi tyle rozumu, by przez skrzyżowanie przejechać tak, aby upewnić się, że mnie nic nie grzmotnie z boku. Widziałem jak ostrożnie mimo sygnałów

przejeżdżają karetki. Robiłem tak samo.

Postanowiliśmy pojechać po ostatniego uczestnika naszej wyprawy – po Łukasza na dzielnicę gdzie Policja ma co robić.

- No to chłopaki. Ryzyk fizyk, Robimy Łukaszowi reklamę.

W pewnej odległości załączyliśmy syrenę oraz koguta i tak z piskiem opon wjechaliśmy na parking pod jego domem.

Jak budynek wysoki i szeroki wszyscy byli w oknach.

Łukasz oczywiście też.

Wyszedłem z wozu z radiostacją przy pasku i powiedziałem donośnie wśród głuchej ciszy i błyskającego koguta:

- Pan Łukasz (i tu wymieniłem nazwisko) – proszę do nas do radiowozu.

Opowiadając o tym później, Łukasz poinformował mnie, że osiedle podzieliło się pomiędzy dwie wersje zdarzenia.

Pierwsza to taka, że Łukasz to glina po cywilnemu i przyjechali po niego na akcję.

Druga część osiedla twierdziła że wręcz przeciwnie – Łukasza zgarnęli z domu i wyprowadzili w kajdankach.

W każdym bądź razie, różne typy Łukaszowi zaczęły się kłaniać.

Staliśmy sobie w zjeździe na pole, gdzieś za Babicami a Jańcio manipulował przy kostce połączeniowej, bo mój samochód nie miał gniazda zapalniczki. Zrobił już kilka zwarć i po kolejnej wymianie bezpiecznika byłem wkurzony.

Chcieliśmy sobie wieczorem pojeździć na sygnale po wsiach, bo tam mniejsze ryzyko wypadki, a Jańcio się grzebał.

- Jańciu – jak tylko podłączysz, to ja wyjeżdżam na drogę i jazda do Leszna na sygnałach.

Droga była pusta.

Pech chciał, że Jańciowi udało się włączyć zasilanie całości akurat w chwili, gdy szosą mijał nas samotny Ford Fiesta.

Jak było umówione, gdy rozległ się sygnał, wyjechałem na drogę i ruszyłem w kierunku zachodnim.

Wszystko wyglądało tak jakbyśmy ruszyli w pogoń za Fiastą z bocznej drogi.

Fiesta zaczęła zwalniać i zatrzymała się na poboczu.

- Ty dawaj. Zatrzymujemy się. Dokumenty mu sprawdzimy!

- Na łeb upadłeś? Guza szukasz? I tak nas mogą przymknąć. Na razie tylko za bezprawne używanie sygnałów. Jak się podasz za policję, to będziesz miał zabawę.

Nie pozwoliłem na przeginanie pały, minęliśmy Forda i pognaliśmy w kierunku Leszna.

W zasadzie przejechaliśmy prawie 80 kilometrów na sygnałach.

W Lesznie przez Puszczę drogą 579 do Nowego Dworu, a sygnały wyłączyliśmy gdzieś w Łomiankach.

Głupi ma zawsze szczęście...

Innym razem postanowiliśmy nieco się powyglupiać na głębokich wioskach. Do „gadki” wybraliśmy Bartka, bo ten miał gadane i nie dawał się nigdy zbić z tropu. Tym razem zabawa odbywała się za dnia. Bartek podobno jakieś dobre szkolenie na akwizytora przechodził...

- O jedzie. Na rowerze.
- Podjedź cichutko i jak będziesz blisko to włączaj syrenę.
- Dobra. Ale wyłączcie ją jak się zatrzymamy i niech tylko kogut miga.

Rozpędziłem się i zgasilem silnik.

Podtoczyłem się na jakieś 20 metrów do rowerzysty jadącego środkiem pustej drogi.

Bartek siedzący obok mnie, opuścił już szybę, a ja musiałem jechać lewym pasem by rowerzystę mieć po prawej. Zdaje się, że wiejski cyklista leciutko był wypity.

Jakieś dziesięć metrów za rowerzystą dałem znak i Bartek wcisnął pojedynczy „wyjec” jak z amerykańskiego filmu gdy Policja kogoś zatrzymuje.

Rowerzystą rzuciło tak, że prawie spadł z roweru.

Wyhamowałem równo obok niego.

- Podejdźcie no tu - rozkazał poufale Bartek, tonem przedstawiciela władzy.

Rowerzystą wielkimi przestraszonymi oczyma spoglądał to na koguta, to na Bartka.

- Wy znacie tutaj, tego no... Walczaka?
- Nie znam - wymamrotał rowerzysta.
- Coś mi tu kręcicie! - Bartek zmienił ton na przesłuchującego - jak to nie znacie? Co to znaczy, że nie znacie? On był zamieszany w handel narkotykami i pędził też wódkę...
- Jak Boga kocham, że nie znam! - prawie rzucił się na kolana rowerzysty - ja panie władzo uczciwy...
- Znam uczciwszych.
- Panie władzo, ja naprawdę go nie znam. Może on w Mokasie mieszka a ja tutejszy.
- No dobra dobra, sprawdzimy... - powiedział gniewnie Bartek, a ja uruchomiłem silnik bo wiedziałem, że dłużej już śmiechu tu nie powstrzymam. W ostatniej chwili odjechałem...
- Ale się spietrał....
- Bo wypity był. Bał się, że do tego się przyczepimy.
- Widzisz jak władza smakuje... „panie władzo...”
- Żeby się do nas państwo władza nie przyczepiła, cholera.

- No ale mijaliśmy radiowóz.
- Mijaliśmy. Całe szczęście, że jechali w przeciwną stronę i że nasza rejestracja z tych rządowych. Mogli nas wziąć za swoich. No i sygnały były wyłączone.
- Ja bym jeszcze spróbował.
- A ja bym radził już dać spokój. Pamiętajcie że chciwość gubi frajerów.

W interesie „badaczy sieci telefonicznych” pojawiły się dwie nowe postacie. Jedną z nich był gość z Kątów Wrocławskich o ksywie „Gacek”.

Jeździł z nim niejaki Karol z Konina. Tak przynajmniej mówił.

To już byli w porównaniu z nami ludzie bezwzględni.

Oni do tego komercyjnie podchodzili, choć nie brakowało im także ambicji.

Dysponowali kilkoma możliwościami, jakimi my nie dysponowaliśmy.

Mieli różne karty serwisowe zwane „programming card” i klucze do otwierania automatów. Nie tych z żetonami. Tych na karty. Chodziło o dostęp do EPROMu - układu scalonego z pamięcią oprogramowania.

Gacek i Karol to byli „ludzie Niebieskiego”. On ich wystraszył.

Pierwsze spotkanie odbyło się na peronie Dworca Centralnego.

Okazało się, że Gacek także ma Darmofon, zbudowany zupełnie niezależnie i trochę inaczej, ale zadanie spełniał to samo. Tyle że był bardziej złożony i... czasem zaliczał tak jak mój pierwszy w wersji z przekaźnikiem. Nie ma to jak moja solidna prostota.

Karol miał jakieś dojścia do któregoś z operatorów komórkowych. Albo tam pracował albo miał tam kogoś.

Faktem jest, że z różnych numerów GSM, zapewne nielegalnie uruchomionych, zmontował coś w rodzaju prywatnej party-line i to bezpłatnej dla korzystających, bo to ona dzwoniła do nas. System był w ograniczonym zakresie sterowany głosowo i podejrzewam, że było to zrobione w oparciu o jeden z nowszych wtedy modeli aparatu, który rozpoznawał proste polecenia głosowe.

Nasza grupa nawiązała z nimi współpracę poprzez wymianę metod, a oni co wieczór organizowali nam coś w rodzaju czatu głosowego. System sam dzwonił do nas i rozmawialiśmy wszyscy razem.

Przez pewien czas nagrywałem nawet te rozmowy, mając niezłą zabawę z puszczeniem nagrań, na przykład sprzed piętnastu minut. Dość długo trwało zamieszanie, bo nie wszyscy rozpoznali swoje głosy, a wielu zwracało uwagę „rozmówcom”, że „już o tym mówili”. Taśmy te leżały sobie później w kącie i swego czasu spowodowały dodatkowe zamieszanie.

Otóż po owych zdarzeniach z nieznanym fotografującym moje anteny, okazało się że był to człowiek z PARu, a zdjęcia były potrzebne jako dokumentacja.

Skołowaciały PAR, będąc w dyspozycji nagrań z audycjami Radia Kaskada i wobec wcześniejszych porażek prawnych, zwrócił się bezmyślnie do administracji osiedla z zawiadomieniem, iż nie posiadam już pozwolenia radiowego i aby ta spowodowała

zdjęcie moich anten. Podejrzewam, że wystosowanie takiego pisma było... samowolne. W PAR pracowało kilku krótkofalowców na wysokich stanowiskach i podejrzewam, że takie amatorskie pisma na firmowym papierze i sygnowane oficjalnie, nie powinny wogóle zaistnieć. Administracja głupio wskazała w swym piśmie do mnie, kto naciska na zdjęcie anten.

Po zdjęciu anten, dysponowałem tylko możliwością nadawania z samochodu.

Do tego celu samochód musiał stać gdzieś wysoko.

Wpadła mi więc w oko górka z „rodzinnych stron”. Z miejsca gdzie się urodziłem i spędziłem dzieciństwo.

Przy ulicy Perzyńskiego stoją na przeciwko siebie dwa dziesięciopiętrowe wieżowce. Takie z jedną klatką.

Jeden ma numer 13 a drugi 14d.

W tym ostatnim właśnie się urodziłem i wychowałem.

Górka w parku za domem była idealna. Wtedy cały „park” nie był tak zagospodarowany jak obecnie. Górka miała poziom drugiego czy nawet trzeciego piętra.

Gdyby tak wjechać na nią samochodem...

Jeśli już, to chyba tylko w środku nocy, żeby nikt się nie przyczepił.

Postanowiłem dokonywać próby nocą, poczynawszy od godzin zbliżonych do 23.

Wziąłem leżące kasety i dopiero potem się okazało, że są to kasety z naszego czatu głosowego. Nie chcąc wracać po inne – włożyłem je do walkmana ustawionego z funkcją REPEAT. Wjechałem na górkę po jej łagodniejszej stronie i ze szczytu rozpocząłem nocną emisję.

Wziąłem radio do kieszeni i poszedłem piechotą w stronę Huty Warszawa.

W radiu, na 71 MHz trwała intensywna dyskusja z żartami ale i fachowymi rozmowami. Taka emisja nie pozostała niezauważona, tym bardziej, że jak się okazało, sygnał z samochodu na górze przy Perzyńskiego docierał aż do samej Huty Warszawa. A i to do radia marnej czułości, niesionego w dłoni z anteną teleskopową.

U ludzi mieszkających wyżej... Toż za czasów anteny na dachu, sygnał docierał i na Tarchomin, o czym początkowo nie mieliśmy pojęcia.

W każdym bądź razie, Jasio zaczął dostawać głuche telefony.

Jak wykazało śledztwo, na taśmach w pewnym momencie był podany numer Jasia z prośbą o dołączenie go do rozmowy.

Ludzie słuchali tej emisji, zaciekały ich dziwne rozmowy i dzwonili pod jedyny podawany tam czasem numer, który zresztą był numerem z okolicy.

Jasio nieźle mnie objechał za ten incydent.

Taśmy zostały zmienione i szła już tylko muzyka.

Jednak pewnego dnia zaryzykowałem emisję... w ciągu dnia.

Przygotowawszy odpowiednie kartki „dezinformujące” o treściach: „obiekt zdalnie monitorowany” oraz „Zakład Radiokomunikacji Państwowego Instytutu Telekomunikacji o. Warszawa” a także „Zezwolenie Urzędu Gminy Bielany nr T/2389/98” wywiesiłem je we wszelkich możliwych bocznych oknach. Jedna z nich czerwonym drukiem ostrzegała: „obiekt nadawczy, przebywanie ludzi w strefie A1 w promieniu 4 metrów od obiektu - wzbronione”.

Tak zaopatrzony i upozorowany na „legalny” eksperyment, wjechałem powolutku alejkami parku na górkę, wzbudzając lekkie zainteresowanie wypoczywających na ławkach staruszków i matek z dziećmi.

Uruchomiłem nadajnik i poszedłem w teren.

Spacer i korzystanie z komunikacji miejskiej zajęło mi ze dwie godziny.

Wracając ulicą Staffa od strony skrzyżowania Żeromskiego z Jarzębskiego, dostrzegłem grupkę nieco podchmielonej młodzieży.

Zobaczyli moje radio.

- Ej, a to twój samochód stoi tam na górze?
- Mój, a bo co?
- A bo chyba już z niej zjechał - zaśmieli się i odeszli.

O cholera. Coś niedobrze. Za dużo ludzi się tym interesuje.

Ale emisja idzie silnie, więc samochód musi być gdzie stał.

Z tego wszystkiego taki pożytek, że dowiem się wcześniej gdyby go ktoś próbował... ukraść.

Zawsze mi sygnał ucieknie lub nagle zamilknie.

A tu nadaje że hej, więc znaczy że jest tam gdzie był. Nie porusza się, bo to bym usłyszał po falującym sygnale i nikt nie ingerował choćby w antenę.

Przyspieszyłem kroku.

Uff... Z oddali widzę, że samochód stoi.

No to teraz jak najszybciej się stąd zmyć. Za duża sensacja.

Podchodzę bliżej i widzę że za szybą jest kartka.

Otwieram i czytam.

Komisariat Policji wzywa właściciela pojazdu o numerze rejestracyjnym...

Akurat. Już ja dobrze wiem, że tylko frajerzy się zgłaszają.

Jak się zgłoszę, to mandat wlepią, a tak nie mogli, bo odpowiada kierujący a nie właściciel. Właściciela po numerach ustalą, ale bez przesłuchania go nic nie zrobią. Czasem nie drążą tematu i nie zgłoszenie się wychodzi na dobre.

Kartkę mogły dzieciaki wyjąć, więc oficjalnie nic nie otrzymałem.

Zmiałem kartkę w rękę i wrzuciłem do samochodu.

Ledwo wsiadłem, gdy nagle widzę jak alejką nadjeżdża Polonez Straży Miejskiej.

Co za donosicielskie społeczeństwo... Samochód im na łysej górze bez żdźbła trawy, na godzinkę przeszkadza...

Zamknąłem szybko drzwi i uruchomiłem silnik.

Muszę szybko zjechać z tej góry.

O Kurwa...

Zobaczyli mnie!

Gaz!

Szybko zorientowałem się gdzie nie ma ludzi i nikomu krzywdy nie zrobię.

Polonez głupio włączył swe żółte koguty, a przecież to są sygnały ostrzegawcze - nie pojazdu uprzywilejowanego. Poza tym chyba myślał, że ma do czynienia z frajerem. Wtedy Straż Miejska nie miała prawa zatrzymywać pojazdów.

Ale co najważniejsze i co szybko rozważyłem - nie miała broni palnej.

Polonez przyspieszył i szedł kursem kolizyjnym.

Gaz!

Wyskoczyłem jednak na alejkę przed nim.

Aby wyminąć ludzi stojących w oddali skręciłem dużo wcześniej dla bezpieczeństwa na trawnik. Wolę ominąć ich z daleka.

Bujnęło mocno. Nadajnik, odbiornik i walkman latały po całej kabinie, nie przestając jednak nadawać. Szybkie techno z głośnika tylko dodało mi adrenaliny.

Wyobraziłem sobie jak na tych wybojach kiwa się moja długa ćwierćfalowa antena ze sztywnego pręta stalowego.

W podskokach wypadłem na pusty na szczęście chodnik i ukosem z hukiem spadłem z krawężnika na Perzyńskiego, by zaraz z piskiem opon skręcić w Staffa, jadąc w kierunku Jarzębskiego.

Wtedy ta uliczka była dwukierunkowa, ale miała już te cholerne spowalniacze.

Nic to. Albo oni albo ja.

Podskakiwałem nieźle na tych spowalniaczach, ale błyskające reflektory Poloneza pokazywały mi że i oni mają w silnym użyciu podwozie. Dwa kiwające się samochody musiały wyglądać niczym z amerykańskich filmów kryminalnych. Jak nic pościg ulicami Chicago. Tylko, że tam na tych filmach skakali mocniej i nigdy im nic nie odpadało. Polonez twardo trzymał się z tyłu, ale jednak w pewnym dystansie.

Skręciłem w lewo w Jarzębskiego. Kierowałem się w stronę Broniewskiego.

W tamtych czasach nie było tu wysepek i różnych uduchań. Na szczęście pieszych też nie było. Na odcinku od Staffa do Daniłowskiego pobiłem chyba swoje rekordy przyspieszeń.

Polonez gdzieś zniknął.

Szybki skręt w Daniłowskiego, a potem w Księgarzy i aż do Przybyszewskiego.

Tu nerwy trochę zelżały. Małe ciche uliczki.

Poloneza zgubiłem.

Zatrzymałem się na czerwonym świetle przy skrzyżowaniu Przybyszewskiego i Żeromskiego.

Nagle. Kurde. Jadą... Powoli jadą patrolowym tempem Żeromskiego.

Zobaczą mnie z boku czy nie ?

Nagle tuż obok mnie zatrzymał się jakiś samochód i zaczął trąbić zaciekle na idącą chodnikiem dziewczynkę. Też się mi „tatuś” spóźniony po dziecko ze szkoły napatoczył i tak „woła” córunię.

Na szczęście nie spojrzeli w tę stronę.

Przejechali mi przed nosem, a gdy zrobiło się zielone światło pojechałem prosto do Kasprowicza.

Mam nadzieję że już mi się tu plątać nie będą. Trzeba na godzinkę zmienić dzielnicę. Muszę znaleźć spokojny kąt.

Pojechałem na taki niby ślepy zjazd z Wisłostrady.

Tam gdzie łączy się ona z Marymoncką i gdzie szeroki zjazd kończy się nagle cichą gruntową uliczką Prozy.

Tu rozmontowałem sprzęt. I co teraz?

Ciocia!

Ciocia mieszkała w samym centrum śródmieścia.

Wpadłem do 80-cio letniej cioci jak bomba.

- Ciociu, MUSISZ mi pomóc. Oni mogą robić u mnie rewizję. Musisz przechować nadajnik. Najlepiej pod łóżkiem. Pościel zasłania.

Ciocia przywykła do okupacyjnej konspiracji i nie zadawała pytań.

„Rewizja” i „nadajnik” były to słowa mówiące wszystko.

- U mnie szukać nie będą - uśmiechnęła się wsuwając jakieś stare poduszki by lepiej zasłonić to co włożyłem pod łóżko.

Matka naciskała na mnie, żebym poszedł na studia. Cholera jasna. Tylko to mi potrzebne.

A ja to co niby robię? Obijam się? Wiedzę zdobywam!

Jednak w końcu wymusiła na mnie, abym zapisał się na świeżo otwarty kierunek „Telekomunikacja” na zasadach komercyjnych dla cywili. Na Wojskowej Akademii Technicznej.

Przyszedł październik, miesiąc Lenina i oszczędzania, więc udałem się na otwarcie roku akademickiego.

Już wkrótce przekonałem się, że to nie jest miejsce dla mnie.

Przed wszystkim przychodzę piętnaście minut przed rozpoczęciem zajęć, pod salę wskazaną w grafiku, a pod salą pusto.

Potem się okazuje że pięć minut wcześniej przyszedł sobie pan wykładowca i zabrał całą grupę pod inną salę, w innym budynku bo „tam jest rzutnik”.

Zero informacji i dwie godziny nie ma się kogo spytać. Bo o cywilnym kierunku nawet napotkani mundurowi nie zawsze słyszeli.

Gdy już udało mi się dostać na pierwszy wykład z matematyki, to zbaraniałem.

- No i tu silnia z pięciu do potęgi osiemnastej razy całka z... - no a to i tak wszystko mieliście w liceach, więc nie muszę chyba tego tłumaczyć. Jutro pierwsze kolokwium.

O czym od pierdoli za przeproszeniem? Ja NIC nie miałem w szkole średniej, z tego o czym mówi. Ani silni, ani całek czy też różniczek. CO JA MAM NA TYM KOLOKWIUM NAPISAĆ?

Wkurzony jak Szklarska Poręba, z wiszącą nad głową awanturą matki („tyle kosztuje chesne a ty...”) z furią wyszedłem z sali.

Padał rzęśisty deszcz.

- A ja właśnie TERAŻ będę studiował. Dziś mam zamiar zbadać centralę E10A na podatność odbioru DTMFu na zniekształcenia i właśnie że pojadę aż pod Górę Kalwarię, gdzie uchowała się jeszcze E-10A, mająca na sobie niebieskie Urmety. Pojadę 40 kilometrów w jedną stronę, aby podmuchać w mikrofon automatu. Będę wiedział i czegoś się nauczę chociaż. Te centrale likwidują i kto mi potem opowie?

I pojechałem. I mokłem i dmuchałem. I wiem do cholery, że nie jest taka wrażliwa jak S-12-ka.

I wracałem w korku i głodny byłem. I cały dzień poza domem. Ale SENS w tym widziałem! Postanowiłem zwolnić się ze studiów, a zatrudnić się w WAT.

Coś niecoś się na tym znam, a może wojskowe służby też potrzebują myślących...

Tu popełniłem coś jakby mieszanekę czynu Jasia Fasoli z życiową pomyłką.

Ja wielki antykomunista, nic nie wiedzący w tamtych czasach, bo nikt z nas nie wiedział, co za bagno tkwi w WSI, poszedłem jak baran do pułkownika i powiedziałem że mógłbym się przydać...

Baran jak stąd do Baraniej Góry!

Pułkownik uśmiechnął się dobrotliwie, podniósł słuchawkę wewnętrznego telefonu i wydał komuś krótki rozkaz.

- Jest tu u mnie młody człowiek, który twierdzi że sporo umie - zagospodarować!

Odłożył słuchawkę.

- Najpierw podpiszemy umowę na zlecenie. Mamy takie sale do wykładów o łączności i chcemy tam zrobić takie zestawy łącznic polowych, centralek i tym podobne, do szkolenia.

Pan się tym na razie zajmie.

Dwa i pół tysiąca panu odpowiada? - zapytał, a mnie zatkało. W TPSA z dodatkami miałem 500 złotych...

Nie wiem jak, ale chyba niczym Jaś Fasola, zrobiłem wokół siebie tym głupim wybrykiem, istną komedię pomyłek. Niewątpliwie znalazłem się pod obserwacją. Jawną - czy przydatny i czy umie, jak też niejawną - jak nastawiony do „minionego ustroju” czy uległy karierowicz i tak dalej.

Co najśmieszniejsze, chyba ta służba dołączyła do innych i to bez koordynacji.

Niczym Huragan Cyryl miałem zrobić niezły ERROR w tym Matriksie wokół siebie, wychodząc obronną ręką z tarapatów wręcz niesłychanych. Jednak wszelkie moje działania były bezwiedne i tak według nich chaotycznie, że ręka wymiaru sprawiedliwości za me czyny dosięgnąć mnie nie zdołała.

Nad idiotami jednak Opatrzność, czuwa a przebiegli bywają ukarani.

Praca w WAT polegała na montażu okablowania telefonicznego i podłączaniu dydaktycznych łącznic polowych, centralek biurowych i tego typu rzeczy.

Jednak jak to w wojsku bywa, podstawiono mi do dyspozycji salę wykładową w iście koszarowym stylu.

- O nie...

- Tak, tak. Najpierw musicie sobie przygotować miejsce pracy - mówił złośliwie grubawy porucznik.

- I tak pan sobie wyobraża „przygotowanie”? - zapytałem patrząc na piętrzącą się stertę biurek, szaf a nawet kas pancernych, zalegającą salę o wielkości przeciętnej klasy szkolnej. Otwarcie drzwi powodowało, że stawało się przed ścianą różnego rodzaju szpargałów i nie dało się wsunąć do sali nawet na milimetr. - I ja mam sam na przykład te kasy pancerne stąd wynosić?

- Dostaniecie pomocnika.

- Chyba pomocników?

- Proszę? W wojsku nie ma czegoś takiego jak „nie da się”. Macie to opróżnić i w pustej sali założyć okablowanie. Zrozumiano?

Poszedłem po klucze do sali, w której miałem to wszystko umieścić.

Przechodząc zobaczyłem jakiegoś generała. Nie znam się na stopniach, ale pułkownik z piętra, przeżył się przed nim na baczność.

- No i jak ocenia pan naszą pracę - łasił się pułkownik.

- Noo... no... ładnie. Te kafelki bardzo ładne... ale zaraz. A gdzie kable?

- Jakie kable? - jęknął pułkownik

- No jak to jakie? Telefoniczne! Tędy o... tam zaraz za ścianą chcieliśmy przenieść centralę telefoniczną.

- Paaanie... pppaaa...

- Ale żadne tam gge-gę! - Rozzłościł się generał. - Skuwać mi to wszystko. Ale już!
- Tak jest! Zasalutował pułkownik i pognął na górę.
- Banda darmozjadów... - pomruczał generał i wyszedł zostawiając otwarte drzwi.

A kaloryfery sobie grzały... w powietrze. Ku chwale ojczyzny. Za pieniądze na obronę „bo na tym oszczędzać nie można”. Za moje i Twoje. Na leki przeciw mukowiscydozie może nie być, ale na armię (leni i dekowników) znajdzie się zawsze.

Tak więc świeżo położone kafelki zaczęły być skuwane, a na zakup nowych już zapewne rozpoczęto procedurę.

Ile ja się marnotrawstwa w wojsku napatrzyłem, to długich zimowych wieczorów by nie starczyło na opisywanie.

Szybko także jako człowiek samodzielnie myślący, zyskałem sobie solidną antypatię w pokoju poruczników, w których całe dnie rżnęli w Tetrisa na służbowych komputerach, lub ściągali filmy i muzykę.

Przydzielony mi porucznik z miną cierpiénika, znosił moje prośby o „klucz do sali” i inne sprawy, z którymi według niego powinienem sobie poradzić sam, przenikając przez ściany. Przez te półtora miesiąca, moja awersja do wciąż chyba Ludowego Wojska Polskiego, wzrosła wielokrotnie.

Nie miałem wątpliwości że moja „postawa” przekreśli moją „karierę”, ale ja naprawdę nie znoszę złośliwych debili, a lubię telekomunikację.

Nasz budynek był rzekomo budynkiem Radiokomunikacji i Telekomunikacji.

W różnych pomieszczeniach byłem, ale nigdzie nie znalazłem czegoś innego niż radio Śnieżnik. Telefonnia owszem. Były tu i ówdzie małe PBXy i jeden spory PABX obsługujący jakąś część WATu. Na dachu była mała nadbudówka z anteną helikalną, posiadającą zwierciadło paraboliczne i patrząca w niebo, a zatem służącą do łączności satelitarnej.

Z tego co orientowałem się w kierunkach to patrzyła... na północ. A może to ktoś ją przestawił w czasie remontu.

Helikalna struktura anteny sugerowała polaryzację kołową, a wymiary wskazywały na pasmo UKF gdzieś pomiędzy 200 a 400 MHz. W końcu od 230 do 400 MHz mamy pasmo wojskowe. Pracują tam, także analogowo i bez kodowania, wojskowe satelity USA, przez które wojska tego kraju mogą utrzymywać łączność radiową z ojczyzną. Nawet zwykły samotny żołnierz z małą radiostacją. Może to nasłuch jednego z takich satelitów geostacjonarnych prowadzono tu przed laty?

Któregoś razu bardzo ucieszyłem się, bowiem jeden z pułkowników chciał wynieść sporą ilość książek i właśnie z pomieszczenia tej nadbudówki. Miałem mu pomóc i zostałem „zgarnięty” z korytarza. Byłem strasznie ciekaw co tam jest.

Okazało się, że... nic. Pourywane kable. Pomieszczenie pełniło rolę składziku.

Raz jeden jedyny w pewnym pokoju widziałem radiostację polową. Nic tajnego. Zakres znany powszechnie: 30-87,5 MHz. Kilkuwatowa radiostacja FM z opcją hoppingu i być może jakimś skramblerem. Nikt tam jej nie używał, bo nawet antenę miała zdjętą.

Ot ktoś zostawił i zapomniał...

Moje wizje pracy przy urządzeniach radiokomunikacyjnych czy centralach, okazały się mrzonkami.

Po jednej ze scysji z porucznikiem, udałem się na rozmowę z pułkownikiem.

Sali nie udało się opróżnić do zera i moja praca zapisana w umowie o dzieło stała pod znakiem zapytania. Ja jednak miałem już bóle kręgosłupa od samodzielnego noszenia biurek.

W końcu, jak to w wojsku – rozkazy przychodzą nowe i sprzeczne ze starymi.

Wskazano mi inną salę, która... od początku stała pusta i to ona okazała się salą docelową.

Dostałem wiertarkę ręczną. Na korbkę. Piłę i parę śrubokrętów.

Zacząłem pracę i po tygodniu sala była okablowana i wyposażona, a wszystko działało. "Uwaga! Nieprzyjaciół podśłuchuje!" rozśmieszyła mnie tabliczka na łącznicy polowej.

W powietrzu utrzymywała się dyskretna aura KBW, a duch towarzysza Dzierżyńskiego nie zniknął z tych pomieszczeń, nawet po wstawieniu do nich komputerów.

Zgłosiłem porucznikowi wykonanie prac.

Poprzychodziłem jeszcze kilka dni, ale nic się nie działo.

Poszedłem do pułkownika.

- Czy porucznik zgłosił zakończenie prac?

- Nie. W ogóle o tym nie mówił.

Pognałem na dół i zażądałem konfrontacji.

Wściekły porucznik, któremu nie udała się złośliwość, pałał purpurą.

- Zrobicie jeszcze dokumentację!

- Ale o tym nie było mowy w umowie.

- Nie było. Pracę zakończyliście, ale dokumentacji nie zrobiliście. A według mnie powinniście.

- A czy według pana porucznika powinienem nosić biurka? - rzuciłem i wyszedłem. Poszedłem prosto do biura uśmiechniętego pana, który półtora miesiąca temu kazał mnie „zagospodarować”.

- No cóż. Chyba się na tym rozstaniemy. Praca faktycznie wykonana i to fachowo, ale widzicie – nie mamy dla was więcej zajęć.

- Rozumiem.

- Kwotę zapłaty odbierzecie w budynku głównym.

Poszedłem na zapchany i pełny kałuż parking dla „maluczkich”.

Bezczelnie wyjechałem i zajechałem półkolistym „zajazdem” na piękny duży parking, z napisem „tylko dla generalicji”. Ten parking nie miał dziur ani kałuż i był cały pusty. Postawiłem samochód i ruszyłem do wejścia.

- Halo, ale ten samochód to ty stąd zabieraj. Ale już - zawołał strażnik Wkurzyło mnie to „ty”.

- Dobra, dobra - machnąłem ręką w stylu Pawlaka z Samych Swoich.

To go nieco zastopowało.

Kto to jest ten chłopak, podjeżdżający tu gdzie nie wolno i tak lekceważąco i BEZ ŻADNEGO STRACHU (tego oni nigdy nie rozumieją) macha ręką i wchodzi do budynku głównego.

- Ale tu nie wolno się zatrzymywać.

- Ja tylko na chwilę i zaraz odjeżdżam

- No ale to będzie zaraz.

- No i zaraz mnie tu nie będzie i nie będziesz pan miał „zagadnienia” - krzyknąłem dość głośno w pustym hallu i strażnik jakby nieco zmalął.

Poszedłem do kasy, odebrałem te dwa tysiące z kawałkiem i wyszedłem niezaczepiany przez nikogo.

Odjechałem i postanowiłem, że moja noga więcej tu nie postanie.

Na mieście pojawiły się nowe, srebrne automaty, mające obsługiwać karty magnetyczne, ale i nowe karty chipowe.

Z kolei TPSA wkurzona powszechnym stosowaniem metod opartych o 974, a wieści szybko się rozchodzą, przełączała automaty w wybieranie impulsowe.

W zasadzie niewiele osiągnęła.

Szybko się zorientowaliśmy, że centrale S-12, a takich było najwięcej, jeśli pierwszą cyfrę przyjmą tonowo to już „olewają” inne nadawane impulsowo. Te zresztą informacje były też podawane przez inne phreakerskie strony internetowe.

Zastosowaliśmy tę właściwość w niebieskich automatach z metodą na 999 i szybki redial. Automat po wciśnięciu redial-a włączał mikrofon, a tam już przyłożony biper pisał ciągle pierwszą cyfrą żadanego numeru.

Centrala zatem odbierała tonowo pierwszą naszą cyfrę a ignorowała nadawane przez automat dekadowo dziewiątki. Teraz wystarczyło „dobić” biperem brakujące cyfry i rozmowa za jeden impuls była darmowa. Metoda ta równolegle była odkryta przez inne grupy.

Tepsa więc szybko naprawiła swój błąd i przełączała także linie w taki sposób, aby akceptowały tylko wybieranie impulsowe.

Już po odkryciu tej zmiany uświadomiłem sobie, że przecież są jeszcze na mieście automaty podłączone pod centrale Pentaconta. Tam nie da się dla jednej linii wyłączyć jednego rodzaju wybierania. Jeśli centrala już obsługuje wybieranie tonowe, a warszawskie Pentaconty i K-66 już obsługiwały, to mogli przełączyć tylko automat. Poszukaliśmy zatem automatów z Pentaconty.

Szybko zorientowaliśmy się, że najbliższe są w poczekalni Dworca Gdańskiego PKP. Wisiały tu cztery nowe, srebrne Urmety.

Dwa z prawej były podłączone pod S-12, a dwa z lewej pod Pentacontę.

Wszystkie miały podane numery.

Nowe, srebrne Urmety, miały zabezpieczenie przed metodą „entry call”.

Gdy zadzwoniło się pod taki automat i rozłączyło się, celem przeprowadzenia darmowej rozmowy, to automat po podniesieniu słuchawki nie włączał od razu mikrofonu tylko wysyłał w linię tonowo jedną z liter (A, B, C lub D) które mieściły się normie DTMF, ale nie występowały na zwykłych klawiaturach. Centrala reagowała na taką literę odtworzeniem komunikatu „nie ma takiego numeru” i włączony dopiero po tej literze mikrofon był już bezużyteczny. Z reguły wysyłana była litera A. Co ciekawe, na niektórych S-12-kach litera D była „odbiciem” cyfry zero. Jak nic furtka dla PBXów z aparatami tylko do rozmów lokalnych. Osoba z biperem zawierającym pełną klawiaturę DTMF, mogła dzwonić także pod numery zaczynające się cyfrą zero, wysyłając zamiast niego jako pierwszy znak literę D do centrali miejskiej. Po którejś zmianie oprogramowania, ta „funkcjonalność” zniknęła. Zatem nowe automaty nadawały literę A i entry-call nie miał prawa działać.

Ale nie z nami te numery, kochana Tepsuniu.

Wiedziałem, że odbiorniki DTMF w rejestrach Pentaconty ignorują litery w DTMF. Wystarczyło znaleźć automat srebrny, podłączony pod Pentacontę z podanym numerem i to co TPSA zmianą oprogramowania zlikwidowała na automatach niebieskich - znów działało tyle że na srebrnych. Entry-call.

Na Pentaconcie po jednym dzwonku z komórki na automat, rozłączaliśmy się. Podnosiliśmy słuchawkę w automacie, na wyświetlaczu którego pojawiał się napis „rozmowa przychodząca”. Aparat próbował bronić się, wysyłając nieszczęsną literę, ale nasze Pentaconty ją ignorowały i dalej był ciągły sygnał. Mikrofon wreszcie się włączał i biperem wybierało się numer docelowy. Gadało się do woli, bo w odróżnieniu od automatów niebieskich z nowym softem, te srebrne nadal ignorowały przychodzące impulsy teletaksy i można było gadać godzinami nawet z Kanadą.

Szybko również przypomniałem sobie, co się dzieje na Pentaconcie gdy jest już zajęte. Jest to najniższy stopień „spadnięcia” na tym typie centrali – zajętość pojawia się po zadziałaniu temporyzacji i trwa na tej centrali aż do odłożenia słuchawki – ta centrala nie „parkuje” linii. Zajętość jest podawana bezpośrednio ze sprężyn jednego z dwóch indywidualnych przekazników wyposażenia abonenckiego.

Otóż gdy na Pentaconcie jest zajęte, to nadając dowolną cyfrę dekadowo, czyli impulsowo, powodujemy „przywołanie rejestru” i znów ciągły sygnał. Coś jakby odłożenie i podniesienie słuchawki.

Zatem cóż. Mamy automat z Pentaconty, ale na przykład bez podanego numeru. W tym czasie warszawskie Pentaconty nie wysyłały jeszcze swoich numerów. Tepsa wszystkie automaty przełączała w dekadę.

Wybieramy zatem 99, czyli niepełny numer darmowego numeru pogotowia.

Centrala nie doczekawszy się na cały numer, zrzuca nas na zajętość. Ale my właśnie na to czekamy.

Wybieramy ostatnią dziewiątkę, która powoduje „kłapanie” na centrali przekaznikiem

La i już po chwili mamy ciągle sygnał, a na wyświetlaczu „numer bezpłatny”.

Srebrne urmety miały też taki plus, że pozwalały po numerze bezpłatnym trzycyfrowym, nadawać w nieskończoność cyfry z klawiatury. To pozwalało zrezygnować z bipera.

Tu, tak jak nadal na automatach niebieskich, był tylko jeden impuls darmowy. Przy drugim rozłączało. Ale zawsze to „gołymi rękoma” z miasta można było gdzieś zadzwonić. Mając biper i sąsiedni automat lub komórkę, można było dzwonić bez ograniczeń.

W międzyczasie zlokalizowaliśmy na jednej ze stacji benzynowych wycofywane już „małe” strefowe automaty na żetony.

Tu inkasowanie żetonu było bardzo proste. Początek taryfikacji sygnalizowało odwrócenie się pętli prądowej linii. Mówiąc po ludzku: centrale w większości wypadków przy połączeniu wychodzącym, gdy ktoś z drugiej strony odbierze, zamieniają bieguny + z - na linii tego, który dzwoni do tego drugiego.

Prosta sprawa - prosta rada. Wlutować w linię takiego automatu mostek Graetza składający się z czterech diod włączonych tak, że czy na wejściu plus z minusem jest podany tak czy odwrotnie, to na wyjściu zawsze tak samo. Plus i minus niezmiennie w swoich miejscach.

Jedna mała kostka wlutowana i zawinięta izolacją, a już taki automat nie żądał monet. Zachowywał się jak zwykły domowy telefon. Podnosisz, dzwonisz i gadasz.

Większość z tych metod opracowywaliśmy sami. Co prawda o szybszym włączaniu mikrofonu na automatach niebieskich przy redialu wyczytaliśmy z internetu, do którego coraz częściej zaglądaliśmy, ale takie sprawy jak użycie phreakerskie numeru 974, darmofon, oszukiwanie billingu dla darmowych rozmów z pentaconty czy wreszcie „dekadowe przywołanie rejestru” to były nasze metody. Nie wykluczamy, że jak darmofon ktoś wynalazł je równolegle. Bo widywało się na mieście „zwykłych” użytkowników tych metod, zwykle ludzi młodych, korzystających z naszych metod. Aż nie do uwierzenia było, że nasze informacje się tak szybko rozchodzą. Albo były równoległe odkrycia, albo faktycznie Marcin na Politechnice działał jak rozsądnik metod. Studenci szybko się komunikują. A jednak działaliśmy jak fabryka „metod”. Produkcja szła szybko wydajnie i... seryjnie. Było to jednak „nasze, przez nas wykonane i nie było to nasze ostatnie słowo”! Wiele z tych metod powstało podczas upartych prób i wielu niepowodzeń, które jednak nie zniechęcały. Dzięki uporowi i cierpliwości, potrafiliśmy godzinami na chłodzie i w słońcu stać przy budce, wykonując różne próby, by potem przy ciepłej szklance herbaty w domu przemyśliwać wyniki i wyciągać wnioski.

Podczas jednego z takich pochmurnych i wietrznych dni, stałem w budce a wiatr łomotał niedomykającymi się drzwiczkami.

Zastanawiałem się nad „dekadowym przywołaniem rejestru” i czy aby na centrali cyfrowej nie uda się zrobić czegoś podobnego. Na E-10A się dało, a to już jest centrala elektroniczna z cyfrowym sterowaniem. Później okazało się, że także centrale typu DGT-3450 są podatne na tą metodę, nieco tylko zmodyfikowaną.

Budka standardowa - srebrny Urmet z linią z S-12-ki pracującą tylko w dekadzie.

Chyba 90% central TP w Warszawie to Alcatel S-12. Próbuję zatem zdekadować.

Na zajętości nie wychodzi. Może gdy zaparkuje?

Wtem... jest! Dostałem znów sygnał.

Próbuję powtórzyć? Nic.

Po następnej godzinie, gdy wiatr już niemal nicował budkę, wiedziałem jak.

Otóż na S-12 da się o dziwo przywołać rejestr, ale trzeba poczekać do zaparkowania linii, czyli przeczekać zajętość.

Nie było to proste. S-12-ka ograniczała prądowo pętlę po zaparkowaniu linii i po kilku sekundach automat sam się rozłączał.

Trzeba było w ciągu tych pierwszych kilku sekund zaparkowania, zdekadować.

Ale i tu z nieznanych przyczyn najlepiej działała cyfra 4 lub 5.

Zatem procedura wyglądała następująco.

Dzwoniło się pod 99 i czekało na wywalenie przez temporyzację na zajętość.

Czasem to automat sam się rozłączał, ale nie robił tego nigdy dwa razy pod rząd.

Zatem gdy tylko pojawiła się zajętość, dobijało się w próżnię trzecią 9 aby automat uspokoić i aby myślał że jest połączenie bezpłatne. Mikrofon już działał. Wiatr nieźle w nim tego dnia szumiał mimo układu antylokalnego. Ale centrala dążyła nieuchronnie do zaparkowania. Gdy tylko zniknęła zajętość, należało szybko wybrać cyfrę 4 lub 5. Potem doszliśmy do wniosku, że nie za szybko i jakieś pół sekundy zwłoki pomaga.

To powodowało albo sukces albo porażkę (w zależności od wprawy i miejsca).

Gdy następował sukces, wśród stukotów pojawiał się nagle ciągły sygnał zgłoszenia.

Cyfry dłuższe dekadowo niż 5 z reguły zaczynały wchodzić jako „resztówki” (na przykład dziewiątka jako czwórka).

Dlatego używaliśmy czwórek lub piątek.

Kolejny błąd niedopracowanej technicznie centrali Alcatel S-12 i znów choć w ograniczonym zakresie – nowa metoda do kolekcji.

Podobno Polska była jedynym krajem, który nieustannie zgłaszał producentom automatów permanentne i ciągłe obchodzenie coraz to nowych zabezpieczeń.

W końcu 123 lata zaborów, potem okupacja i komunizm nauczyły Polaków MYŚLEĆ. Przynajmniej niektórych.

Uwielbiam Stare Bielany i Stary Żoliborz. Niepowtarzalny klimat. To właśnie tu można jeszcze spotkać ciche i pełne zieleni małe uliczki, z wciąż będącymi w użyciu latarniami gazowymi. Sceneria niczym z opowiadań Andersena.

To wśród takich uliczek stoją stare i tajemnicze, przedwojenne, porośnięte dziką winoroślą wille. Na wielu widać wciąż ślady po kulach z czasów Powstania.

Spacerując w tych miejscach, możemy nagle natknąć się na kameralną kawiarenkę i zjeść pyszne pączki, eklerki czy ptysie.

Właśnie z zapachem cukierni, zapachem przedwiośnia, smakiem pączków, kojarzy mi się... sygnał centrali Żoliborz II. Charakterystyczny sygnał. Głośna ale dość krótka, wyraźna marszruta K-66.

Bo warszawskie K-66 mają duszę. Każda ma inną. Jedna spokojna, a inna nerwowa, z galopującą marszrutą. Jeszcze inna, niczym Sadyba I leniwa, albo biegnąca w pośpiechu Żąbkowska II.

Podśłuchując rozmowy abonentów komórkowych NMT, na słuch wiedziałem, do jakiej z central K-66 dzwonią.

Najbliższą memu sercu była właśnie centrala Żoliborz II.

To gdzieś w tych rejonach, placu Słonecznego czy ulicy Felińskiego i w wśród takich domów, stał dom mojej dalekiej cici. Jedna wizyta z lat dzieciństwa, a zapadła w pamięć na zawsze. To z tą okolicą kojarzyć się będzie smak faworków, baziarni w wazonie, tamtego wczesnowiosennego popołudnia. Te uliczki na myśl przywołać będą już zawsze Piątek z Pankracym, oglądany na starym, czarno białym, lampowym telewizorze. I przypominać będą właśnie dźwięk nieistniejącej już centrali K-66.

W takiej właśnie okolicy, w ukradzonej zapewne komuś przez Państwo dekretem Bieruta willi, mieściła się siedziba Zakładu Telekomunikacji Warszawa-Północ. Ot biura. Żadnej techniki. Centrala bowiem mieściła się na ulicy Mierosławskiego. Niedaleko.

Na Felińskiego jednak, mieli w tej willi coś, co mnie tego dnia przyciągnęło.

Swoisty zew phreakera, kierował mnie do małego automatu strefowego na żetony, podłączonego jeszcze do owej K-66. Inne automaty w tej okolicy, „wisiały” już na wyniesionym module RSU centrali S-12. Ja jednak zdążyłem niczym głodny łowca na polowanie. Zwierzyna przyczajona za filarkiem czekała swego losu.

Moje pojawianie się w tym miejscu, zazwyczaj powodowało ból głowy nieszczęsnego pracownika, na którego wypadła kolej „wolnego biurka”. To tu stały długie kolejki rozgoryczonych abonentów do pracowników przyjmujących reklamacje. Z reguły jeden abonent zajmował kilka minut czasu. Moje „nasiadówki” z pracownikiem trwały po kilkadziesiąt minut. Gdy pracownik myślał, że to już koniec, ja wyciągałem kolejne strony wydruków bilingowych, zapełnionych powodowanymi przez siebie „babolami”, do których musiała ustosunkować się TP, a na miejscu i od ręki próbował zbyć nieszczęsny pracownik TP.

Tego dnia jednak nie przyszedłem tu męczyć pracowników biurowych.

Dzisiaj chciałem wejść w dialog z przyjaźniejszym stworzeniem, a mianowicie centralą Żoliborz II.

Automat oczywiście miał na swej linii założoną kategorię ograniczeń, nie pozwalającą na wybranie numerów zaczynających się od zera. Przyjmował tylko żetony A i w zamysle operatora, służyć miał jedynie do rozmów strefowych. Jednak ja przyszedłem wy badać zachowanie się owej centrali z moim biperem.

Teoretycznie, rodzaj wybierania nie powinien mieć wpływu na zachowanie linii tej centrali. Centrali o konstrukcji podobnej do znanych mi Pentacont.

Teoria jednak wielokrotnie mija się w życiu z praktyką i gdyby człowiek nie był ciekawy

świata i zawsze „słuchał mądrzejszych”, to do dziś pokornie wierzyłby, że ziemia jest płaska. Ale to nie dla mnie. Ja muszę wszystko potwierdzać sam. Jestem badaczem. Można powiedzieć, że nawet... naukowcem? Na pewno odkrywcą. Trochę „dziur” w systemach ma się na koncie i kilka oryginalnych rozwiązań w elektronice.

W dawnym hallu tej starej i nieco już podniszczonej willi, z pięknymi rozetowymi oknami na klatkach schodowych, tak charakterystycznych dla starego budownictwa tej okolicy, stał sobie w kącie ochroniarz.

Cholera. A ja tu z biperem mam działać.

Ochroniarz jednak wykazywał wysoki poziom znudzenia, co chyba popychało go do pomagania zagubionym abonentom, mającym stanąć za chwilę przed wysokim i nachmurzonym obliczem wszechwładnego pracownika TP. Czasem wchodził na górę i wówczas automat był mój.

Szybko wdrożyłem „rutynową ścieżkę testów”, czyli kilka prób standardowych, jakie „zapuszczałem” na nieznannej linii.

Centrala jak kierownik przykazał, nie pozwalała wykonać żadnego połączenia zaczynającego się od cyfry zero. Jak to na K-66, ale i innych centralach rejestrowych opartych o wybieraki krzyżowe, „koguta” w takiej sytuacji dostawało się nie po wybraniu zera, ale jeszcze kilku kolejnych cyfr. Przelicznik analizował zawsze pewną minimalną ich ilość. Po zerze standardowo dostawałem drugi sygnał zgłoszenia. Tutaj, odmiennie niż na pentaconcie, był on burczący. Taki jak na centralach cyfrowych. Dwa tony razem: 350 i 425 Hz. Ale w tym wypadku, prawdopodobnie sygnał ten pochodził z lokalnego rejestru, tyle że SUS czyli Stojak Urządzeń Sygnałowych był zmodernizowany, a być może nawet był nowością po zlikwidowanej „maszynce sygnałowej”.

Te dawne „maszynki” to nic innego jak prądnice napędzane wspólnym wałem przez silnik prądu stałego. Jedna z nich generowała prąd dzwonienia o przebiegu 25 Hz i amplitudzie kilkudziesięciu woltów, a druga generowała sygnał akustyczny, którego częstotliwość w owych czasach traktowano dość swobodnie. Oryginalne „maszynki” miały jeszcze zestaw tarcz lub walców sygnałowych mających powodować dostępność wielu przerywanych sygnałów, takich jak sygnał zajętości, wołania czy marszruty.

Na pewnych centralach typu Strowgera, maszynki owe doczekały do końca życia swych central.

I tak, aż po grób techniczny, taka maszynka towarzyszyła Strowgerowi „Wawelska” obsługującemu abonentów południowo-zachodniego śródmieścia, których numery rozpoczynały się od 25. Maszynki będące w ciągłym ruchu lubiły się psuć. A to brud wlaził w tarcze i sygnały przybierały dalekie od zamierzonych „wzorcy”, a to prędkość wirowania wału była zmienna w czasie i taka centrala wyła rzewnie, zawodząc na przemian niższym to wyższym sygnałem. Na dodatek sygnał wołania czy zajętości, z powodu wytarcia styków tarcz, bywał bardzo oryginalny, przybierając na przykład formę jednego dłuższego i dwóch krótszych zawodzących dźwięków. Na Strowgerze obowiązkowo w tle słychać było „motorowanie” czyli nieodfiltrowane przebiegi ze szczotek silnika.

Każda z central elektromechanicznych miała jakieś „swoje” efekty dźwiękowe.

I tak Strowgery, nawet te z elektronicznymi SUSami, miały w tle sygnału wołania ciche buczenie o dość wysokim tonie. Charakterystyczny dźwięk wielu starych warszawskich central. Pentaconty miały obowiązkowo w tle sygnału wołania albo sygnał ciągły (jak na przykład Koło II), czy też zajętości (jak większość pozostałych). Centrala satelicka na ulicy Sołtana miała na jednym tysiącu w tle ciszę, a na drugim sygnał marszrutowania.

Gdy dzwoniło się w obrębie jednej centrali, to na Pentaconcie można było z reguły usłyszeć głosy innych abonentów tejże, czekającej na połączenie, jak my. Złe wyfiltrowanie na SUSie powodowało, że czasem dość wyraźnie na tle sygnału wołania, w ruchu wewnątrz centrali, dawało się słyszeć komentarze typu: „ścisż telewizor bo dzwonię” albo „znów ta menda nie odbiera”.

Tym razem dostałem drugi, „burczący” sygnał zgłoszenia. Zmodernizowane kategorie pozwalały z linii posiadającej restrykcję na zero, dzwonić pod bezpłatne numery 0-800.

Po kilku próbach wykonanych tarczą, przyszedł czas na test DTMF.

Centrala wyposażona już była w jego odbiorniki, wobec czego wybieranie tonowe przyjmowała. Tak jak było do przewidzenia, po zerze i kilku cyfrach wskazujących, że to nie będzie połączenie 0-800, dostawałem „koguta”.

Ale w pewnej chwili po próbie z dwoma zerami i wybraniu numeru kierunkowego Norwegii... miałem wciąż ciszę. Wybrałem zatem pełny numer i centrala zareagowała dość dziwnie. Z mocnym stuknięciem wkładki słuchawkowej, szarpnęła zasilaniem linii kilkukrotnie i... otrzymałem sygnał wołania w odległym kraju.

Szybko szperając po kieszeniach znalazłem jeden żeton A i wstawiłem go w otwór.

Ktoś odebrał. Komora otworzyła się i żeton wpadł a ja... kontynuowałem rozmowę!

Ach... gdyby ten automat wisiał na dworze!

Wpiąłbym mu w linię mostek Graetza, skutecznie zniechęcając automat do domagania się żetonów. Tu jednak musiałem użyć żetonu by... całe trzy minuty porozmawiać z Norwegią, w cenie rozmowy lokalnej.

Po rozłączeniu się, wykonałem szybko szereg testów. Wybieranie impulsowe nie pozwalało dostać się za granicę. Wybieranie tonowe pozwalało, ale nie zawsze.

Seria dziwnych stuków, oznaczających jakiś błąd konstrukcyjny centrali, czasem kończyła się rozłączeniem, a czasem otrzymaniem połączenia.

Jak wspominałem, gdyby ten automat wisiał gdzie indziej... Byłby pięknym aparatem do zupełnie darmowych rozmów międzynarodowych.

Ta historia pokazuje, że nie należy z góry wierzyć, że rzeczy są takie jakimi się nam wydają. Teoria lubi iskrzyć na styku z praktyką.

Ta moja przyjazna centrala...

Już jej nie ma.

Wiatr uniósł zapach faworków, a bazie przekwitły...

Jako starzy piraci radiowi nie mogliśmy nie połączyć dwóch naszych hobby: radia i telefonów.

W owym czasie istniało kilka systemów telefonii radiowej.

Przede wszystkim dopiero co wprowadzony GSM. Tego nawet nie próbowaliśmy ruszać. Była analogowa sieć NMT, ale na razie zostawiliśmy ją w spokoju, tym bardziej iż mieliśmy zawsze awersję do nabijania rachunków abonentom prywatnym, czy małym prywatnym firmom. Celem miała być TPSA, ewentualnie instytucje państwowe.

Pod koniec lat 90-tych, działał jeszcze tak zwany system RTP czyli „Radio-Telefon Przewoźny”.

Był to system uruchomiony jeszcze za komuny i wtedy dostępny tylko instytucjom państwowym czy dygnitarzom, a w późniejszych czasach dla każdego.

Było to coś w rodzaju substytutu telefonii komórkowej.

Terminale, ze względu na wielkość, nadawały się tylko do samochodów. Przenośnych nie było. W bagażniku instalowano duplekser i zespół nadawczo-odbiorczy, a w kabinie mały „manipulator” ze słuchawką. W późniejszym czasie także z klawiaturą.

Zasięg systemu był wyspowy i pokrywał miasta, a nawet mniejsze miasteczka. Nie był ciągły nawet przy głównych drogach kraju.

System działał w paśmie 162/167MHz, przy czym w paśmie 162 MHz nadawały samochody a stacje bazowe na 167 MHz.

Pierwotnie rozmowy w obie strony zamawiało się przez telefonistkę.

W sieci stacjonarnej pod numerem 975 zgłaszała się telefonistka. Prosiła o podanie swojego numeru w celu weryfikacji - komu dopisać do rachunku - i kazała się rozłączyć. Oddzwaniała po chwili i pytała z kim połączyć. Mówiło się sześciocyfrowy ogólnokrajowy numer „radio-telefonu” i telefonistka łączyła, o ile znalazła abonenta w zasięgu którejś ze stacji.

Gdy rozmowę zainicjować chciał abonent w samochodzie, najpierw musiał ręcznie znaleźć wolny kanał. Kręcił gałką aż znalazł. Kanał na którym nie paliła się lampka „kanał zajęty”. Wcisnął przycisk „wywołanie” i radio w samochodzie nadawało bodajże ton 2100 Hz.

To powodowało zgłoszenie się telefonistki.

Abonent mówił słowami swój numer, po czym na żądanie telefonistki, dla potwierdzenia, naciskał przycisk „Identyfikacja”. Wówczas w eter szły cyfry jego własnego numeru sygnalizacją tym razem jednotonową zgodną z systemem selektywnego wywołania według norm CCITT, w którejś tam wersji. Tępy szły bez przerw między nimi, czyli jeden ton odpowiadał jednej cyfrze. Z powodu braku przerw między tonami, gdy dwie sąsiadujące cyfry były identyczne, emitowany był osobny ton oznaczający „taka sama cyfra co poprzednia”. Jeśli numer podany słownie i identyfikacja pokrywały się, to telefonistka łączyła z żądanym numerem stacjonarnym lub innego „radio-telefonu”.

Po roku 1989 pojawiły się w sprzedaży radiostacje na ten popularny zakres. Niezbyt odległy od tego, znajdował się zakres amatorski. Wiele zachodnich firm produkowało radiostacje dla amatorów, ale o szerszym zakresie działania. Radiostacje te obejmowały także zakresy pogotowia, policji, straży pożarnej i właśnie zakres RTP. Szybko okazało

się, że piraci nagrywali rozmowy wraz z identyfikacją i sami później na wolnym kanale podawali się za legalnego użytkownika.

Odtwarzali z taśmy „melodyjkę” i dzwonili na koszt abonentów RTP. Pod koniec działania systemu i niedługo przed jego likwidacją, TPSA zmodernizowała niektóre strefy. Co ciekawe nigdy nie zrobiła tego w Warszawie. W zmodernizowanych strefach, abonent w samochodzie, mógł samodzielnie z klawiatury wybierać numer przy połączeniach wychodzących. Tylko połączenia z sieci stacjonarnej nadal były obsługiwane przez telefonistkę.

W eterze pojawiły się również doraźne „modemy” telefoniczne na przykład dla nowo powstałych służb, wobec mizerni w rozwoju telefonii komórkowej i ogromnych kosztów tejże.

Był jeden z kanałów Straży Miejskiej z Ursusa, z którego można było amatorskim radiem z klawiaturą DTMF, dzwonić dokąd się chciało.

Był też drugi „modem” - w centrum Warszawy, w Społecznym Centrum Ratownictwa PLCB Radio przy Urzędzie Wojewódzkim w Warszawie.

Pewien epizod „służby” w tym centrum miałem zarówno ja, jak i Marcin z Gocławia. Centrum zrzeszało zapaleńców CB radia, ale głównym zadaniem był ciągły, zmianowy nasłuch kanału 9 CB, czyli kanału ratunkowego. W owych czasach, a mowa tu o początku lat 90-tych, gdy telefon komórkowy kosztował tyle co „maluch”, a miejscowości podwarszawskie były prawie nie telefonizowane, nasza „służba” miała głęboki sens. Pewne miejscowości miały telefony włączone do lokalnych central ręcznych, z telefonistką pracującą od godziny 8 do 15. CB radio było prawie w co piątym domu. Nie raz dane nam było na dyżurze przekazać na przykład pogotowiu ratunkowemu wezwanie pomocy.

Nasz nasłuch, popularnego wtedy CB radia, nie tylko w samochodach jak to ma miejsce dziś, ale przede wszystkim w domach, był potrzebny jak dziś numer 112 w telefonii komórkowej. Skoro CB radio było wówczas substytutem telefonu, to my byliśmy substytutem numeru alarmowego.

Urząd wojewódzki dał nam pomieszczenia, trochę sprzętu, pieniądze i miejsce na masztach antenowych.

Urząd tak jak i dziś mieścił się przy Placu Bankowym.

Dostaliśmy jedno pomieszczenie, konsolę dyspozytorską z lat 70' jak z filmu „07 zgłoś się” i kilka linii telefonicznych.

Dwie z nich były bezpośrednimi liniami miejskimi włączonymi do centrali Mariańska I i ich numery zaczynały się cyframi 20. Trzecia była linią centrali Urzędu Wojewódzkiego z publicznym zakresem numeracji i numer jej zaczynał się od 695. Pod wszystkie trzy można się było bezpośrednio dodzwonić z miasta, ale wyjście na miasto miały tylko te dwie z numerami zaczynającymi się od 20. Do konsoli była włączona jeszcze jakaś tajemnicza linia telefoniczna zdradzająca swym zachowaniem, że obsługuje ją centrala typu Strowgera. Podobnie Strowgerem była centrala publicznych linii z numerami rozpoczynającymi się cyframi 20. Linia była o tyle tajemnicza, że wybierało się tam pięciocyfrowy numer, aby osiągnąć „służbowo” Stację Pogotowia Ratunkowego przy ulicy Hożej. Podano nam ten numer, przykazując nie wybierać innych. Na wojskową

linię to mi nie wyglądało. Prędzej na rządową czy też „resortową” ale cholera wie jakiego resortu.

O ile dobrze wiem, to ogólnopolskie niezależne sieci telefoniczne w tamtych czasach miała TPSA (ją pomijamy) oraz rząd, wojsko, energetyka i PKP.

Wojsko w Warszawie miało wówczas... no właśnie – czy nie pięciocyfrowe numery ?

„Z miasta” osiągało się je, dodając na początku 68 i wychodził numer 68x-xx-xx.

Z kolei była też warszawska sieć MSW z numerami zaczynającymi się od 60. Czyli numery osiągalne „z miasta” to 60x-xx-xx. Ta numeracja zresztą obowiązuje do dziś.

Ale obie z tych sieci już wtedy pracowały na centralach typu E-10A, a gdzieś tam przejściowo EWSD, zastąpione później „operacyjnie pewnymi” polskimi centralami cyfrowymi DGT 3450.

Tu miałem linię z pięciocyfrowymi numerami, obsługiwaną przez Strowgera, jak można było wywnioskować po efektach akustycznych.

Energetyka to to nie była, bo niby po co.

PKP też raczej nas nie podłączyło, choć u nich aż roiło się od Strowgerów. Oni z kolei mieli swoje ośrodki służby zdrowia. Nie wyklucza to jednak sytuacji, że telefon z sieci PKP mógł stać i w pogotowiu na Hożej.

Ja do dziś jestem zdania że była to jeszcze nie zmodernizowana centrala rządowa. Kręcący tym interesem, mówili że jest to sieć „służby zdrowia” czy też „resortu zdrowia”, ale tylko idiota dałby się na to nabrać, bo sam resort zdrowia własnej sieci nie miał. Połączenia z Policją czy Strażą Pożarną odbywały się za przyciśnięciem jednego przycisku, tak zwaną linią bezpośrednią i było to technicznie jasne.

Do naszego centrum zakupiono bardzo drogą radiostację krótkofalową, mającą za zadanie utrzymywać łączność i nasłuch kanału 9. CB.

Ten drogi transceiver nadawał się do tego gorzej, niż niejedno tańsze, a dedykowane na pasmo 27 MHz - radio CB. Ktoś sprawę przedobrzył, bo na zakresie CB, transceiver bardzo łatwo się przesterowywał. O ile nas słyszano dobrze (mogliśmy, choć nie było to legalne, rozkręcić moc do 100W) o tyle my nie mogliśmy zrozumieć wywołań z bardzo bliskich odległości, na przykład z taksówki na Placu Bankowym. Gdy wołający miał radio z FM-em, to prosiliśmy go o przejście w FM, aby tam dokończyć przyjmowanie wezwania. Słabsze sygnały docierały w zadowalającej jakości.

Na konsoli stał przewoźny radiotelefon Motoroli ustawiony na „kanał służbowy numer 1”.

Bo Urząd wojewódzki „podarował” nam do dyspozycji dwa kanały.

Pierwszy o częstotliwości 148,025 MHz a drugi na 148,075 MHz.

Kanał pierwszy był „czysto urzędowy” i mieliśmy „prikaz” załatwiać tu nasze prywatne zgłoszenia z miasta. Kto miał prywatny radiotelefon, ten dostawał zgodę na używanie tych dwóch kanałów i gdy zauważył wypadek i czy inne zdarzenie wymagające wezwania służb, to „swoim” kanałem 1 zgłaszał to swojemu dyżurnemu.

Taki „przywilej” pracy na „profesjonalnym” paśmie przyciągał wielu.

Ja miałem jeszcze wtedy licencję.

Kanał drugi był kanałem nieoficjalnie przeznaczonym dla dyskusji swobodnych i stanowił „nagrodę” za pełnienie czasem nocnych dyżurów. Wielu właśnie dla możliwości korzystania z tego drugiego kanału, przystępowała do Centrum. Delikwent dostawał takie „pozwolenie” z pieczętką Urzędu Wojewódzkiego i był „gość”. Mógł gadać z innymi członkami Centrum dość swobodnie na kanale 2, bez robienia licencji krótkofalowca i poczuć, że wzniósł się na wyższe pasma.

Ale nas interesuje ta Motorola. Stała ona podłączona do czegoś co nazywano mylnie „modemem” telefonicznym, a co faktycznie było bramką telefoniczno-radiową.

Miało układy automatyki wykrywające głos, i pozwalało na kanale simpleksowym, czyli takim, gdzie się raz nadaje a raz słucha, współpracować z duplexową (na raz się słucha i można mówić) linią telefoniczną. Poza tym urządzenie zamieniało DTMF na dekadę, czyli wybieranie impulsowe, jako jedyne zrozumiałe dla ówczesnego Strowgera Mariańska I. Przywilej pracy na kanałach służbowych mieli wszyscy członkowie.

Przywilej korzystania z „modemu”, tylko nieliczne grono zapisane służbowymi znakami wywoławczymi na specjalnej kartce i dyżurny mógł nieuprawnionego użytkownika rozłączyć.

Ale dyżurni lubili się obijać. A to ciekawiły ich łączności na falach krótkich (co było skandaliczne bo nie słuchali wtedy kanału 9.), a to korzystali z darmowej linii telefonicznej i konferowali z dziewczyną, ściszywszy radia służbowe by im nie przeszkadzały, a to znów wyszli do kibla czy do baru.

Na to tylko czekali piraci. Zadzwoić na kanale 1, na koszt Urzędu, a dla siebie za darmo. Rozmowa nie była prosta i rozmówca po drugiej stronie linii musiał być „przeszkolony”, że ma robić przerwy i zachowywać w pomieszczeniu ciszę, by układ VOXa działał w bramce prawidłowo. Poza tym abonent do którego dzwoniło, musiał wiedzieć, że nie może nagle przerwać swemu rozmówcy. On i tak nie usłyszy, bo ma w swojej radiostacji wciśnięty przycisk nadawania.

Zdarzały się problemy z buczącą linią i VOX nie chciał długo odpuścić. Łączność nie należała do komfortowych.

Cały ten „modem” opisuję ze względu na zdarzenie, które kiedyś doprowadziło mnie do takiego śmiechu, że bliski byłem uduszenia.

Mieliśmy w tym Centrum, do którego ja należałem bardzo krótko, takiego kolegę o ksywie „Doktor”.

Doktor był wesołkiem i mieszkał blisko mojej matki.

Przychodził czasem do mnie, a jak przyszedł, tak siedzieć potrafił od ósmej rano po dwudziestą wieczorem.

Pewnego razu przyszedł i konfidencjonalnie powiedział mi, że dziś ma dyżur pewien bardzo służbisty gość, zresztą też z naszego osiedla i w naszym wieku, o bardzo wielkich kompleksach władzy. Później nawet ten człowiek został złapany za podszywanie się pod policjanta „na radiostację” i na pobieraniu „mandatów” od jeżdżących po osiedlu motorowerami nastolatków. Raz przesadził i wpadł. Ofiara zrobiła go w konia, bo powiedziała, że nie ma pieniędzy i poszła do domu. Niby po forse, a tak

naprawdę to po ojca – prawdziwego policjanta.

Doktor przyszedł i jakoś niezauważalnie dla „służbisty” włączył „modem”.

Od razu nadał gwiazdkę i zaraz potem jedynkę. „Modem” się załączył, pyknął jedynkę w linię i sygnał zgłoszenia umilkł. Centralą był Strowger więc temporyzacji nie miał.

W tym czasie na linię „modemu” włąziło cichutko Polskie Radio z fal długich, nadawane z Raszyna. Ot pasożytnicza detekcja gdzieś w elektronice, jaka często się zdarza.

Dość wiedzieć, że cichutko było słychać audycję.

W tych czasach na pasmach aż roilo się już od piratów, a niektórzy puszczali muzykę. Zdaje się że służbista na chwilę wyszedł, po czym wrócił gdy „modem” już stał na ciszy. Muzyczka była cicha i na granicy zadziałania VOXa, czyli układu załączającego nadawanie po wykryciu głosu na linii telefonicznej.

W tym czasie w Piasecznie pod Warszawą powstała filia sztabu.

Służbista przed wyjściem do toalety rozmawiał na kanale 1 z kolegą ze sztabu w tej miejscowości.

Gdy wrócił, chwilowo głośniejszy fragment audycji załączył VOXa.

„pam param param param pszszt” zabrzmiała muzyczka i zamknął się squelch.

Nie wiem czy to za sprawą kiepskiej, zalanej, doziemionej i zmieniającej swe parametry linii, ale głośność pasożytniczej detekcji się zmieniała. Teraz najwyraźniej rosła.

„pam param param param pszszt”

- Tyyy, nie masz co robić?! - oburzył się na jawną prowokację pirata, służbista.
- „pam param param param pszszt”
- Słuchaj, jeszcze jeden taki wyskok, a już jesteś namierzony!
- „pam param param param pszszt”
- Ooo, nie! Teraz to ja już dzwonię do PARu – przesadził nieco służbista, bowiem było już po godzinach urzędowania. Sądząc z późniejszych opowiadań, numer do PAR wisiał na pulpicie, a służbista był wyraźnie wkurzony.

Cała sytuacja powoli zaczyna mnie bawić. Doktor włączył „modem” swoim radiem ręcznym, ale ja swój skaner natychmiast nastawiłem na tę samą częstotliwość.

Zabawa zapowiadała się przednia.

- "pam param param param pszszt"
- Ariadna Piaseczno, zgłoś do Ariadna Warszawa
- Zgłaszam się.
- Czy ty też słyszysz tego gnoja co puszcza muzykę?
- Słyszę i to nawet ciebie przykrywa.
- No niech no ja go... „pam param param param pszszt” - najwyraźniej wyżej zamontowana antena od Motoroli i większa moc robiły swoje

- Powtórz bo on cię przykrył.
- Poczekaj.
- „pam param param param pszszt”
- Ha ! Już wiem, On tu musi być gdzieś blisko. Na ręczniaku z odłączoną anteną odbieram go na full.
- No on mi ciebie też przykrywa.
- On jest gdzieś bardzo blisko... - grzmiał służbista, a już nie mogłem...
- „pam param param param pszszt”

Od pewnego czasu sparaliżowany dosłownie śmiechem, leżałem na podłodze twarzą do dywanu i waliłem na przemian pięściami w podłogę.

- Naprawdę jest gdzieś bardzo blisko. Wyrzuję przez okno, może stoi tu gdzieś ten baran w samochodzie. Och, żebym ja tylko wiedział gdzie on jest...

Przewróciłem się na plecy.

- "On jest gdzieś bardzo blisko" hihhi... na drugim końcu stołu...
- hehe
- Szkoda, że do tego PARu się nie dodzwoni. Mogli by mu namierzyć... no ja pierdzielę... hehe... mogli by... namierzyć... bhehehe
- To tłumok. Nie widzi, że się dioda nadawania zapala na motoroli...
- Hehehehe. „bardzo blisko” hihhi...

Pewnego nudnego wieczoru, pozbierawszy Jasia, Bartka i Łukasza zapuściliśmy się w bardziej odległe rewiry, a mianowicie aż na Okęcie.

Noc była już późna, więc wszędzie pusto. Na Okęciu znajdowała się inna 5ESS, którą chcieliśmy zbadać.

Jak na złość, małe osiedle Okęcie, nie obfitowało w automaty.

Jeden jedyny jaki znaleźliśmy, jakoś opornie działał i postanowiliśmy pojechać... blisko. „Bo tu zaraz blisko to było lotnisko”.

Sala odlotów była całkiem pusta, jak to czasem bywa o pierwszej w nocy. Po jej terenie i okolicach przechadzał się dwuosobowy patrol policyjny. Na nieszczęście dla owego patrolu, do dwóch osób w okolicy, dołączyły cztery kolejne. Też w swego rodzaju patrolu. Te dwa patrole miały się spotkać.

Staliśmy sobie przy automatach na dolnym poziomie sali, gdy ten właściwy patrol obszedłszy okolicę, wszedł przez automatycznie rozsuwane drzwi.

Byliśmy w rozproszeniu. Przy jednym automacie stał Bartek, a przy drugim ja.

Jasio niczym w galerii sztuki nowoczesnej, założywszy ręce do tyłu, wolnym krokiem przechadzał się, podziwiając sufit.

Łukasz i ja zauważyliśmy patrol jednocześnie.

Łukasz zbliżył się dyskretnie do mnie i powiedział konfidencko:

- Uważaj, Policja.
- Widzę. - mruknąłem półgębkiem, nie przestając trzymać słuchawki przy uchu.

Patrol zbliżył się do nas przy braku innych obiektów zainteresowania, ale prawdę powiedziawszy sądziłem że nas minie.

Podszedł jednak wyraźnie w naszą stronę i wiedziałem już, że rozpocznie się jakaś gadka.

Nie wiedziałem jednak, że jeden z dwóch gliniarzy będzie tak bezczelny i... wyrwie mi z ręki biper.

Otrzeźwienie przyszło szybko i tym razem to ja zaskoczyłem policjanta, bo wyrwałem mu swój, a w zasadzie Bartka biper z dłoni.

Niesamowite. Wyrwał mi biper! „Moje narzędzie pracy!”.

On również był zaskoczony reakcją obywatela.

- Dokumenty proszę! - krzyknął jeden z nich, a drugi, ten któremu wyrwałem urządzenie zaczął głośno krzyczeć, że „kradniemy impulsy”.

Jak słowo honoru, że akurat niczego nie kradłem. Zupełnie przypadkowo akurat odsłuchiwałem swoją automatyczną sekretarkę i to z użyciem karty.

Tu mnie wkurzył. Telewizji się naoglądał widocznie, bo w owym czasie „ujęto szajkę złodziei impulsów”. W tejże chyba telewizji widział podobne urządzenie.

Sukces mu się zamarzył czy awans?

O nie! To nie przejdzie.

- Pan kradł impulsy.
- Niczego nie kradłem.
- Kradł pan, bo sam widziałem. Ma pan urządzenie do kradzenia impulsów i jego posiadanie jest zabronione.

Acha czyli jedziemy starą płytą. Lata 80 i to z trzaskiem. Jak on widział że ja kradnę, no to gdzie są te impulsy do cholery? Corpus delicti by mu się z pewnością przydał.

- Ja, to proszę pana odsłuchiwałem sekretarkę przy pomocy legalnego urządzenia.
- Dobra dobra - powiedział drugi zanotowawszy personalia.

Ku mojemu zdumieniu zaczęli odchodzić. Z Bartka biperem, bo w końcu mi go znów zabrał. Nie poszło mu łatwo, bo chwyt dłoni mam silny i zdaje się, że trochę się podrapał pomagając sobie drugą ręką.

- O nie! Proszę mi natychmiast oddać moją własność.

Cisza. Odchodzą.

A to w takie coś się tu gra?! Bez protokołu i ukraść by chcieli! Że niby młodemu można zabrać i będzie to bezkarne. O nie! Złodziejowi w mundurze nie daruję.

- Złodzieje! - ryknąłem, a echo poniosło głos aż na górę.

Nie wiem czy na każdym złodzieju czapka gore i czy obecność na niej orzełka coś zmienia, dość że naprawdę zniknęli.

O nie!

Idziemy! - zakomenderowałem - wszyscy!

Wybiegłem z hali i oczom moim ukazał się napis „komisariat portu lotniczego”.

Akurat coś dla mnie.

Wpadłem jak bomba do sennej sali przyjęć interesantów, obudziwszy chrapiącego oficera dyżurnego.

- Złodzieje! - nie przestawałem ryczeć, bo wiedziałem, że im większy szum, tym lepiej dla sprawy.

- Niech że pan nie krzyczy. Co się...

- Chciałem zgłosić kradzież bipera. Dwóch wyglądających na funkcjonariuszy Policji osobników, dokonało na mnie rozboju, zabierając mienie w postaci bipera.

- Ale... chwilczkę – domyślił się chyba oficer.

Chwycił mikrofon radia i zaczął wołać patrol.

Zanim skończył zdanie, już było słychać z oddali tupot biegnących funkcjonariuszy z grzmiącym radiem, w którym słychać było także wezwanie oficera.

- O! Są! To oni! - wskazałem oskarżycielsko.

- Wojtek, myśmy tym gówniarzom...

- Wypraszam sobie! Jak pan śmie...

- Niech pan tak nie krzyczy.

- A pan co by zrobił w takiej sytuacji. Pan ma pałę, a ja nie mam. To się nadaje do tego, żeby łać i patrzeć czy równo puchnie.

Widać było, że nie spodziewali się takiego zachowania.

Było pewne siebie i bezczelne. Czyżby faktycznie popełnili błąd?

Chyba tak, skoro trafili na takiego jak ten, co tu zgłasza... napad. Czyżby synalek jakiegoś prominenta i będą kłopoty?

- W takim razie – zakomenderował dyżurny – proszę iść z panem do pokoju i spisać protokół.

Poszliśmy.

Przesłuchiwało mnie... tych dwóch którzy byli na patrolu.

Pisali i pisali.

Kazali wyjąć wszystko z kieszeni i zrobili rewizję osobistą.

Najpierw personalia.

Potem oglądali pod światło i ze wszystkich stron biperek Bartka.

Coś tam pisali.

W końcu podsunęli mi do podpisania kilka dokumentów.

Jeden z nich podpisałem. Było to bowiem pokwitowanie zatrzymania przedmiotu.

Jak nic przydatne dla mnie.

Drugiego dokumentu podpisać odmówiłem.

- Musi pan...
- Nic nie muszę.
- A z czym się pan nie zgadza?
- Z opisem tego co robiłem i z określeniem bipera jako „urządzenie służące do dzwonienia za darmo”.

Męczyli się, ale kategorycznie odmawiałem.

Przyprowadzili trzeciego.

Oni tego dnia wstali zapewne dużo wcześniej niż ja i pot już perlił im czoła.

Ja dopiero wchodziłem na obroty.

W końcu zrezygnowali.

Wypuścili mnie, ale bipera nie oddali.

- No i co? Bo tam takie odgłosy odchodziły jakby cię pałami bili.
- Eee... rewizję osobistą mi zrobili.
- A co z biperem?
- Mam pokwitowanie. Będą musieli oddać.

Następnego dnia udałem się do portowego komisariatu i gdy tylko zameldowałem się u oficera dyżurnego, natychmiast zostałem przyjęty bardzo grzecznie, przez samego komendanta komisariatu.

Przeprosił mnie za „incydent” i oddał biperka w foliowej torebce.

Natychmiast sprawdziłem czy działa, bo mogli ukraść baterie, a to przecież nie moje. Działo.

Pokwitowałem odbiór i przy wyjściu, tylko jedno zdanie komendanta mnie zastanowiło. „Niech pan na razie tego się nie pozbywa, bo sprawa jest w toku...”

Nie zapytałem niestety jaka.

Maciek był w naszym wieku i był kumplem Piotrka z Muranowa.

Mówił powoli, ważąc każde słowo, wnikliwie obserwując rozmówcę, a jego pokój to istna skarbnica elektroniki.

- No no... kręcił głową słuchając naszych opowiadań. A wiecie, ja mam na celowniku

RASZ.

- A co to ?

- To te kanały radiowe, gdzie można się dostać do sieci telefonicznej PKP.

Faktycznie. PKP miała swoją własną sieć telefoniczną w całym kraju, niezależną od sieci publicznej. Nawet na dworcach wisiały takie telefony kolejowe. Teoretycznie można było z nich dzwonić tylko na numery wewnątrz sieci PKP i dlatego nikt nie robił wstrętów, że jakiś „cywil” co i rusz chciał z takiego dziwnego telefonu gdzieś zadzwonić. Zresztą korzystali z tego kolejarze i ich rodziny.

- Ale oni mają tam jakąś dziwną sygnalizację.

- No wiem. Ja już nawet ją „skopiowałem” - podał mi radiotelefon z klawiaturą.

- O tak otwierasz...

Blip blip blip blip - poleciało selektywne wywołanie.

Rasz na dworcu Warszawa Zachodnia odpowiedział, nadając „morsem” powtarzającą się literę "R".

- . _ . _ . _ - kropka, kreska, kropka, chwila ciszy i znów kropka, kreska, kropka.

- A teraz wciskasz o to...

- „Ti tut” poleciało w eter.

- „Warszawa... Warszawa... Warszawa... Warszawa...” - powtarzał się nagrany komunikat.

- A teraz wybierasz numer, na przykład... - Maciek wcisnął kilka cyfr i w eter znów poleciała melodyjka podwójnych tonów ale jeden za drugim, a nie dwa na raz: „ti tut... ti tut... ti tut...”

W tle zaklekotało wybieranie dekadowe i „jęki” przechodzonego Strowgera.

- „Małkinia... Małkinia... Małkinia...” - odezwało się innym kobiecym głosem.

- I teraz jakiś numer w Małkini - Maciek wybrał kilka cyfr.

- „Małkinia zawiadowca słucham” - odezwał się męski głos.

Maciek wcisnął rozłączenie.

- O cholera. Czyli masz klawiaturę do tego!

- Mam. Tylko nie wiem jak wyjść na sieć publiczną. Ktoś wychodzi, bo nasłuchuję tych czterech kanałów, ale jeszcze nie przyłapałem go, żeby nagrać i zdekodować numer.

- No to i my mamy coś dla ciebie.

Maciek miał linię z Pentaconty „Stare Miasto” 635 i bardzo się ucieszył, gdy pokazaliśmy mu, jak może sobie w pięć minut z tego co ma, zbudować darmofon. Przekazaliśmy mu też kilka metod na Urmety i wskazaliśmy ich pobliską lokalizację.

Krótki spacer i demonstracja scementowały zaufanie.

- To ja wam podam dwa kanały RTP. Takie automatyczne.
- No ale u nas nie ma automatycznych.
- Bo to są kanały służbowe. W innych miastach już zwykli abonenci mogą sami wybierać numery dla połączeń wychodzących, a u nas nie. Ale na kanałach służbowych, właśnie można samemu.

Okazało się, że TPSA utrzymuje dwa kanały łączności służbowej. Nie wiedzieliśmy dla kogo, bo legalnego ruchu tam nie zaobserwowaliśmy. Jeden z nich to 167,625 MHz z wejściem standardowo minus 5,75 MHz oraz drugi 167,725 MHz też ze standardowym offsetem.

Pierwszy, co od razu zauważyłem, był podłączony do centrali Pentaconta „Piękna IV”, której numery zaczynały się od 625. Oczywiście centrala ta „nie wyświetlała się” jak wszystkie Pentaconty wówczas. Ale ta centrala miała charakterystyczną marszrutę. Na przemian krótsze i dłuższe sygnały. Taki jakby tętent galopujących koni. Robiła wrażenie jakby się gdzieś jej spieszyło.

Ech... toż kumpel Niebieskiego wynajmuje mieszkanie i ma numer na 625.

Darmofony mojej konstrukcji rozpełzły się po Warszawie i działały chyba na każdej chętnej do współpracy centrali. Różni „krewni i znajomi królika” znosili mi podane części, a ja składałem te darmofony. Za darmo lub prawie za darmo. Co to jednak znaczy – pracować dla idei.

I to nie była „Idea – Centertel”.

Na 625 też jeden mój na pewno działał. W końcu nikt na tym nic nie tracił. Po prostu nikt nie zarabiał. Ludzie dzwoniли za darmo, ale nie na czyjś koszt. Dla central te połączenia były nieodebrane. Żaden operator więc nie tracił... ale i nie zarabiał, a ludzie gadali po kilkanaście godzin z użyciem rediała.

No ale cóż, mamy te dwa kanały RTP.

Drugi kanał był podłączony do S-12-ki „Piękna II” i identyfikował się numerem 628-96-96. Na jednym z kanałów był nagrany tekst „kanał łączności służbowej – rozmowy są zaliczane”. Uruchomienie stacji bazowej polegało na nadaniu do niej tonu 2100 Hz. Właśnie po takim wywołaniu pojawiał się ów tekst na kanale drugim, a na kanale pierwszym był szybki przerywany sygnał. Aby uzyskać dostęp do linii, należało wybrać tonowo gwiazdkę. Wówczas stacja dołączała linię i słychać było ciągły sygnał centrali telefonicznej. Dalej należało już tylko wybrać numer. Rozłączenie uzyskiwało się wybierając #, lub wyłączając swój nadajnik na kilka sekund.

Do wykorzystywania tych kanałów potrzebne były dwa radiotelefony. Radiotelefon to fachowa nazwa radiostacji. Może nie mieć nic wspólnego z telefonią. Dla przykładu radiotelefony noszą policjanci. Zwykli ludzie mówią na to mylnie „krótkofalówka”. My na to mówimy „radia” - dla nas „radio” to radiostacja nadawczo-odbiorcza, a nie odbiornik radiowy jaki każdy z Was posiada w domu. Taki slang radiowców. Radio, znaczy radiostacja nadawczo-odbiorcza po prostu. Krótkofalówka nie jest dobrym określeniem, bo radiostacje owe pracują na różnych pasmach UKF. Jest to inny zakres niż UKF jaki macie w swoich radiach 87,5-108 MHz.

A więc potrzebne były dwa radia lub radio i skaner. Skaner z kolei, to szerokopasmowy

odbiornik radiowy, pozwalający na odbiór pasm spoza zakresu radiofonicznego a więc pasm Policji, Straży Pożarnej, lotnictwa czy innych.

Do korzystania z owych dwóch kanałów RTP potrzebowaliśmy dwóch urządzeń.

Jedno nie spełniało zadania, bo mogło albo nadawać albo odbierać. My potrzebowaliśmy i nadawać i odbierać jednocześnie.

Zanik sygnału na 162 MHz, szybko rozłączał połączenie, więc dwa urządzenia były nam niezbędne.

Nie mieliśmy dupleksera i skaner odczuwał się silnym sygnałem radia.

Podjeżdżaliśmy więc samochodem na ulicę Św. Barbary, do centrum, w „kwadrat” dziwek i sutenerów. Parkowaliśmy pod budynkiem Centrum Radiokomunikacji i Telekomunikacji TPSA gdzie mieści się także centrala międzymiastowa i międzynarodowa.

Tu przy CRIT, sygnał był na tyle silny, że odczulenia nie przeszkadzały, bo właśnie z tego budynku pracowała stacja RTP. Na pewno kojarzycie taki budynek z wieloma okrągłymi antenami radiolinii, podobnymi do anten satelitarnych. Często można go zobaczyć za oknem w programach „Dzień dobry z TVN”. To samo serce Warszawy. Zwróćcie uwagę oglądając taki program, lub przejeżdżając w pobliżu. To taki biurowiec z mnóstwem wspomnianych anten. Tu bywaliśmy.

Skaner leżał na desce rozdzielczej, a radio nadawało z anteny na magnesie, przyczepionym do dachu samochodu.

Robiliśmy coś w rodzaju rozmównicy publicznej... znaczy się prywatnej.

Całą naszą paczką, wieczorami podjeżdżaliśmy pod CRiT w pobliżu Hotelu Mariott i stąd każdy z nas załatwiał „zaległe” rozmowy telefoniczne. Skaner i radio działały jak zestaw głośnomówiący.

Jednakże na kanałach tych był pewien... dziwny człowiek, który usiłował rozłączać każdą rozmowę.

Bardzo wkurzał Maćka i Piotrka.

Mnie nie rozłączał, bo stojąc pod samym CRiT miałem potężny sygnał.

Ale Maciek z Piotrkiem zadali sobie trud namierzenia „ORMOwca”.

Dowiedziałem się, że podali mu na radiu jego własny adres. No cóż. Ja bym też tak zrobił, ale że nie poskutkowało, to zrobili już nie po mojemu.

Złożyli mu cichą wizytę. Zza drzwi doskonale słyszeli jego radio.

Zamki to musiał wymieniać na pewno, bo super glue...

W każdym bądź razie rozłączanie jakby nożem uciął.

Jechałem znajomą drogą w kierunku Leszna i nie mogłem się nadziwić, co za bałwan ukradł z okolicy wszystkie automaty! Chciałem właśnie zadzwonić, za darmo oczywiście, ale nie było z czego. Wszystkie budki co do jednej, były obrabowane z automatów. Na odcinku dwudziestu kilometrów stały puste półkabiny i wiaty.

- Co za złodziejstwo – kłamię pod nosem – ukradną, rozbiorą i wyrzucą, bo co tam w środku dla nich może być cennego. Tylko niektórzy zbudują z czytnika „kopiarkę” czy „dopalkę” nominałów.

W Lesznie znalazłem czynny automat, ale... klawiatura najwyraźniej straciła podkładkę stykową pod cyfrą 2, a numer pod który chciałem zadzwonić, zawierał tę cyfrę niestety. Automat był dodatkowo cały pomazany i nosił ślady skopania i to glanami.

- No dobra. Jadę „na czuja”.

Jechałem do domu dziadka, Piotrka z Muranowa, gdzie miałem zastać także Maćka. Nie wiedziałem w którym domu mieszkali, ale wiadomo mi było, że to we wsi Sowa Wola. Jechałem sobie więc drogą 579, przecinającą gdzieś gdzieś piaskowe białe wydmy.

Nagle w ostatniej chwili zauważyłem tablicę informującą o interesującej mnie wsi i z piskiem opon zatrzymałem się. Skręciłem pod kątem prostym w gruntową drożkę biednej puszczańskiej wioski i szukałem domu dziadka Piotrka.

Dom znalazłem bez trudu po „lasie” anten na dachu.

- A więc swoi tu są. - pomyślałem.

Na podwórku pod domem zastałem Maćka, grzebiącego pod maską swojego Tarpana, którego kupił za flaszkę od jakiegoś miejscowego pijaczka.

- Będzie toto jeździć? Cześć... - powitałem go.

- Może będzie... no nie podaję ręki bo sam widzisz.

- A gdzie Piotrek?

- Dziadkowi grzeje zupę.

- Ty wiesz co, jakaś plaga dresiarstwa tu panuje. Od Babic ani jednego automatu cholera jasna nie ma. Wszystkie jakieś gnoje...

- A jeden by ci wystarczył?

- No mowa...

- No to chodź – poprowadził mnie do stojącej i zarosłej zieloną Syrenki, w której wnętrzu buszowały kury.

Otworzył bagażnik i oczom moim ukazał się lśniący srebrny Urmet...

- To wy!

- Ano my. W celach badawczych oczywiście.

- No ale jeden to moglibyście zostawić.

- Jeden to stoi tuż przed domem, I nawet działa. Bardzo dobrze działa. Choć to ci pokażę.

Faktycznie. Akurat przed domem Piotrka, TPSA zainstalowała tak zwaną „półbudkę” ze srebrnym Urmetem.

Sprawdziłem – jest sygnał.

- A teraz pozwól w te krzaki.

Maciek przedzierał się przez zarośla i wskazał na cieniutki niewidoczny z drogi przewodzik wystający z ziemi i kończący się na krzaku.

- Co to jest?
- Radiodostęp.
- Co?

Maciek odgarnął ziemię z liśćmi i nie dość głęboko pod jej powierzchnią ukazało się plastikowe pudełko.

- Mamy radiodostęp. Kupiliśmy starego bezprzewodowca za grosze, z połamaną obudową na Wolumenie. Przełożyliśmy to do innej obudowy i załączyliśmy pewne usprawnienia. Słuchawka jest u Piotrka w domu, a to pudełko jest podłączone do linii automatu. Ma żelowy akumulator. Wymieniamy go raz na kilka dni na inny, a ten się ładuje.

- No ale po czymś takim automat zamelduje się do centrum nadzoru.
- Nie zamelduje. Jest tu drugi akumulator o wyższym napięciu ale małej pojemności. Doładowujemy go w domu od czasu do czasu. On podaje 48V automатовi i ten myśli że dalej jest podłączony do linii. To jest robione gdy my dzwonimy z domu. Mamy też funkcję monitorowania linii... wiesz – jak ktoś dzwoni to słyszeć co mówi.
- No to gratuluję. Ja miałbym takie coś dla was bliżej miasta.
- Gdzie ?
- Jest nad Wisłą u podnóża klasztoru, w Lesie Bielańskim taka przepompownia. Linia tam z ziemi wychodzi na słup i napowietrznie idzie do tej przepompowni. Można by nocą założyć jakiś dobry radiodostęp.
- To jest myśl. Musimy to zrobić. Będzie bliżej jeździć aby zadzwonić.
- No i w razie czego dzwonisz z samochodu. Nikt się nie przyczepi, bo żaden kabel do samochodu nie idzie i łatwo odjechać.
- A ja mam tu jeszcze coś.
- O! Radia? Skąd te Motorolki?

- Te są zaprogramowane lewym wsadem. Każda na inną sieć, ta jest na Uni-Net. To też Tepsa więc nie ma skrupułów. Ta druga jest na Mobi-Net, a trzecia na Metro-Bip. Trudno zdobyć programator na ten system Smart Net i długo szukałem dościsła do kogoś, kto zapewni wolny numer radia. To nie MPT-1327. A ta czwarta, to w sieci Energetyki pracuje. Wszystkie sieci umożliwiają dzwonienie z radyjek do sieci publicznej, ale na przykład Uni-net ma tylko rozmowy strefowe. Metro-Bip... no ale tu trzeba było z dościsła skorzystać, nie ma tych ograniczeń. Energetyka oficjalnie nie ma wyjścia na telefon i wywołuje się jeden numer, który sobie dla siebie ktoś tam założył. Wiesz. Tak jakby normalnie wywoływać z klawiatury inny numer radia, a tam się zgłasza bramka telefoniczna w sieci telefonicznej Energetyki. Też nie ma ograniczeń, ale dla dobrych stosunków z naszym człowiekiem, mam polecenie nie dzwonić z tej energetycznej. No chyba że w newralgicznej sytuacji i to też lokalnie.

- Maciek, a załatwisz mi taką Motkę? Ja komórki nawet nie mam... Kupiłbym taką GP1200 bez klawiatury nawet, ale aby mi pod pamięciami zaprogramować najczęściej używane telefony.

- No dobra. Ja załatwię, jakieś trzy stówki zapłacić będziesz musiał, bo to kumpel sprzedaje. Ja ci to wszystko zaprogramuję.

- Co z tym Piotrkim ?

- Z dziadkiem się kłóci. Dziadek chce telewizor, a tu wczoraj burza była i zobacz co zrobiła z anteną do radia.

- No coś jakby na kwintę zwiesiła się. Przełamana w pół?

- Piorun w nią walnął! Wczoraj w nocy. Dobrze że Piotrek przed burzą radia odłączył. Poszło po kablu, potem przeskoczyło na kabel od anteny telewizora sąsiada

- Rany...

- No i sąsiad ma sieczkę w pudle.

- Ale co? Jakies poza tym szkody?

- Szkody? Zaraz Piotrek ci pokaże. Nie wiadomo dokładnie, bo prądu jeszcze nie włączyli, ale niektóre kontakty ze ściany powypadały. I te deczka od puszek powypychało.

- Tam nieźle się musiało gdzieś zagotować, to i wypchało. A może to siła mechaniczna od tak wielkich natężeń ?

Faktycznie. W domu prądu nie było, a Piotrek gotował na kuchni węglowej zupe dla dziadka.

- Cześć Piotrek. Słyszałem że miałeś w nocy rozrywki.

- Rozrywki? Rozerwało mi tę antenę z tego tworzywa co to podobno nanorurki, poliwęglan czy coś tam. Tej co by jej nikt nie złamał. A ją rozdęło i się złamała.

- A inne szkody?

- Kabel... Kabla już nie ma. Gdzieś fragmenty opłotu i trzyma się tylko na zewnętrznej izolacji. Ale od miejsca gdzie przeskoczyło do sąsiada jest OK.

- To sąsiad ma teraz za to kiskę.

- Ja wolę w to nie wnikać. Zobaczmy co poszło u mnie, jak prąd włączą.

Poszedłem do Maćka na podwórko.

- No to co, jedziemy do tych czołgów co stoją w Julinku?

- Na razie ja nie mam czym, a twoim nie chcę jechać, bo chcę do wieczora się z tym Tarpanem uwinąć. Do domu pojechać.

- To ja sobie położę po okolicy.

- Masz tu te wszystkie radia. Jakby kto wołał, to ja mam ręce w smarze...

Poszedłem do lasu.

Maciek wskazał mi Motorolę zaprogramowaną na Uni-Net, więc podzwoniłem z niej po wszystkich znajomych.

W pewnym momencie jedno z kilku radii dyndających mi za paskiem się odezwało.

- Maciek, Maciek...
- Maciek zarobiony jest przy Tarpanie.
- A kto mówi ?
- Michał.
- Aaa... Michał... my się znamy jeszcze z czasów jak miałeś licencję. Wiesz, ja teraz w Japonii mieszkam i stąd dzwonię.

Coś tam przez mgłę pamiętałem, że z kimś takim gadałem.

- Czy mógłbyś oddzwonić? Ja podam Ci numer. Na pewno to radio z Metro-Bipu może za granicę.
- Czekaj... dobra. Rozłącz się. Ale zaraz. Podaj numer.
- Tomek podał numer, który zapisałem patykiem na piasku.

Dobra, oddzwonić. Zaraz... z którego to radia można... z któregoś tam w ogóle nie powinienem... Chyba z tego można.

- Halo?
- No już jestem.
- No to fajnie. Maciek mi mówił, że kupił Tarpana... - rozmowa do Japonii przeciągnęła się na pół godziny.

Gdy wróciłem ze spaceru, poinformowałem że dzwonił Tomek i ja oddzwaniałem.

- No to dobrze. Przynajmniej on zaoszczędził. Ale mam nadzieję że nie z radia Energetyki?
- A które to?
- To z lewej.
- No to z niego dzwoniłem...

Maciek zbladł.

Po pewnym czasie dowiedziałem się, że radiodostęp szlag trafił. Krowa na wypasie w niego wdepnęła i już nic nie dało się uratować.

Na rekonesans instalacji telefonicznej wybrałem się z Jasiem, bo to był „nasz rejon”.

Miałem już swoją Motorolę, z zaprogramowanymi numerami do znajomych i do rodziny. Szliśmy specjalnie piechotą, bo pogoda była dość dobra.

Od Marymonckiej spod baru nazywanego tutaj „Karaluszkiem”, na rogu którego wisiał automat przekierowany kiedyś na komórkę Bartka, zeszliśmy w dół ulicą Podleśną.

Nazwa „Karaluszek” wzięła się stąd, iż w tym barze mlecznym, relikcie dawnego

ustroju, karaluchy biegały po ścianach. Pewnych wakacji na początku lat 90-tych, nawet się tu stołowałem gdy matka wyjechała na urlop. Jedzenie mieli pyszne, tylko to robactwo... Któregoś razu, gdy przysiadłem się z grochową do stolika z innym konsumentem, w czasie pierwszego włożenia łyżki do zupy, wypłynął mi dorodny karaluch.

Siedzący naprzeciwko mężczyzna zbladł. Jako że nie jestem „obrzydliwy” i nie słyszałem by wywar z karalucha był szkodliwy, odłożyłem go na bok i dokończyłem konsumpcji zupy ze słowami: „no widzi pan – dziś piątek a oni wkładki mięsne dają”. Przy tych słowach mężczyzna zerwał się od stolika i popędził do toalety. Ja zjadłem zupeę i żyję, więc znaczy że karaluch w zupie nie powoduje problemów trawiennych.

Wspominając tę historię weszliśmy do Lasu Bielańskiego.

Jako dziecko przychodziłem tutaj na „teren zabaw” z wielkimi karuzelami, zjeżdżalniami i innymi atrakcjami. Były nawet umywalki dla sportowców amatorów i prysznic. Dziś z trudnością zlokalizowaliśmy fundamenty z kawałkiem rury odpływowej.

Zgodnie z filozofią Jaruzelskiego, wszystko co zostało po Gierku – zrównać z ziemią.

Tutaj, może to nawet wyszło przyrodzie przypadkowo na zdrowie. Las odbierał co swoje. Przeszliśmy obok dziwnej okrągłej budowli.

Coś w rodzaju Grubej Kaśki. Było to stare i gdzieś tam dawała się odczytać data 1921 czy coś podobnego.

Stało to w środku lasu i z dala już śmierdziało kanalizacją.

Od góry miało ogromny lej, a całość była jakby walcem, nieco finezyjnym ze stalowymi drzwiami bez klamki.

Przez dziurę po niej, słychać było że to idzie w głąb, a gdzieś tam na dole szalał szum „Niagary”.

- To jakiś kolektor. Jeszcze przedwojenna „studzienka”.
- Zobacz jak od góry para leci. I jak mech lubi te wyziewy. Obrósł cały wylot.

Zawsze mnie ta „studzienka” interesowała. Miała niewątpliwie coś wspólnego z przepompownią.

Przeszliśmy przez szereg wąwozów tego „lasu w mieście” jak określał go Marcin z Gocławia. Bo faktycznie był to zwykły las między Wisłą a ulicą Marymoncką, należący jak głosiła tabliczka do „Lasów Miejskich”.

Znaleźliśmy nawet wąwóz, którym kiedyś płynął potok.

Ja ten potok jeszcze pamiętam z dzieciństwa i nawet ryby w nim były.

To było wtedy, gdy autobusem 103 jeździłem z dziadkiem do Lasku Lindego – będącego nieco suchszą (więcej sosen, piaski) i mniejszą wersją Lasu Bielańskiego. Oba lasy przedzielała ulica Marymoncka, która potem, wychodząc tu niedaleko z miasta, przeradzała się w drogę numer 7 wiodącą do Gdańska.

Do Lasku Lindego jeździło się autobusem 103.

Do „Puszczy”, na pętlę w Wólce Węglowej, a tak naprawdę to w Dąbrowie Leśnej

jeździłem z dziadkiem autobusem 110.

„110 do końca” to było hasło na nasze wycieczki.

Już wtedy polubiłem Puszczę, a ona nawet z brzegu była dzika. Wólka Węglowa będąca administracyjnie częścią Warszawy, była naprawdę bardzo biedną wsią z małymi drewnianymi domkami, w których ludzie gotowali na kuchniach węglowych, a wodę ciągnęli wiadrami ze studni.

Jedynie ten autobus 110 łączył ich z miastem. Ostatni odcinek autobus jechał kocimi łbami i kawałkiem dawnej wojskowej drogi po płytach betonowych.

Gdy zgasił silnik na pętli, pasażerów ogarniała przyjemna cisza, skowronek śpiewał swe trele gdzieś nad łąkami, a w oddali słysząc było pianie kogutów, które nieraz zaglądały przez otwarte drzwi do autobusu.

Takie też czasy wspominając, doszliśmy do drogi.

Zeszliśmy w dół nad samą Wisłę, mijając Akademię Teologii Katolickiej i dawny klasztor Kamedułów z zabytkowymi eremami, o którym pisał w Panu Wołodyjowskim Sienkiewicz, gdy Zagłoba przyjechał po głównego bohatera.

Na dole, staliśmy pod estakadą, którą górą z hukiem pędziły samochody. Tędy tak tutaj siedział ostatni, północny odcinek Wisłostrady.

Słup stał tuż obok.

Warunki idealne. Droga ślepa. W nocy nikt nie przyjedzie. No może poza parami uprawiającymi seks w samochodach, ale tak jak my im tak i oni nam nie będą tu patrzeć... hmm... na ręce.

Głowica wisi nisko.

Szybka decyzja, nikt nie patrzy.

Wspiąłem się na słup i odchyliłem pokrywę.

Już wiem. Zsunąłem się po słupie.

- Jasiu, podaj radio.

Zadzwoń do Maćka.

- Dobrze jest. Dwie pary i obie idą skrótką napowietrzną do przepompowni. Muszę teraz ustalić numer.

- Po co?

- A myślisz, że pracodawca nie założył im restrykcji na zero?

Kilkadziesiąt minut ustalałem numer przepompowni podając się za różne osoby i instytucje i dzwoniąc do różnych biur.

Numer nie figurował w burze numerów.

Dopiero jedna z pań w Hucie stwierdziła że są tam dwie linie.

- Wie pan. Jeden to jest nasz numer wewnętrzny, z naszej centrali, ale nieczynny bo linia uszkodzona. Drugi jest normalny, miejski i zaraz panu podam... to jest tak 39...

Ha! Centrala K-66 Żoliborz II. Aż tam?

Musieli używać jeszcze przedwojennych kabli łączących stary Żoliborz z klasztorem.

Gdzie Żoliborz II a gdzie ATK... No, no.

Ale numer miałem.

Podjechaliśmy tam wieczorem z Maćkiem i puściliśmy jeden sygnał z komórki.

Potężny ryk dzwonka starego telefonu na tarczę, wstrząsnął niemalże całym lasem i był chyba słyszalny na Tarchominie po drugiej stronie rzeki.

- Co oni tam mają?

- Spróbuj się wpiąć aparatem.

Wlażłem na słup, ale najpierw trafiłem na tę uszkodzoną linię centrali Huty. Brum. Przełożyłem przewody i dostałem sygnał.

W tym samym czasie w przepompowni aparat zrobił dzyń-dzyń...

- Cholera. Coś z tym trzeba będzie zrobić. Muszą mieć akurat takiego grata.

- Zrobi się. Zrobimy przełącznik – jak się wciśnie w bezprzewodowcu podniesienie słuchawki to odłączy ich aparat.

- To, to ja wiem. Bez tego w ogóle bym nie robił, ale i tak gdy wróci im to cholerne 60V z tej K-66 to im „dzyngnie”.

- Trzeba będzie nad tym pomyśleć.

- Jakiś spory kondensator dać... Zaraz... nie jeden. Niech ten ich w aparacie się powoli ładuje i rozładowuje. Rezystor. W ogóle układ specjalny.

- Coś wymyślimy.

Wymyśliliśmy...

Była cicha bezwietrzna i bezksiężycowa noc. Idealna na akcję „radiopodstęp”. Cała nasza „paczka” zjawiła się w komplecie i to we dwa samochody.

Oba wiozły żadnych przygód młodych ludzi i niezbędne wyposażenie techniczne.

Łączność zapewniały radiotelefony na 147 MHz, niektórzy mieli też komórki.

Sprzęt został sprawiedliwie rozdzielony i rozpoczęła się faza planowania.

- Więc ja to widzę tak – zagailem – ponieważ tu wolno dojeżdżać tylko do ATK, a dalej jest zakaz ruchu, to nieraz nocą zagląda tu Policja i wlepia mandaty tym, co się tam gąz w tych samochodach. Tam jest drugi wyjazd, ale bezpośrednio na tę nitkę Wisłostrady w stronę Centrum. I Policja często potem tamtędy wyjeżdża, ale nie przyjeżdża, bo przyjechać by musiała aż od Młocin. Zatem przyjeżdżają tylko tędy, Dewajtis od Marymonckiej. I tu muszą mieć przeszkodę, która ich spowolni i da czas tym na dole do pochowania siebie i sprzętu.

- Czyli jak?

- Łatwo. Stanę zaraz przed tym zakazem, ale już za wjazdem na parking ATK... w

poprzek.

- W poprzek?

- Tak. W razie czego powiem, że chciałem zawrócić i mi się układ hamulcowy popsuł i teraz ani o centymetr nie mogę ruszyć samochodu. Muszę mieć drugą osobę z radiem za pazuchą która będzie pstrykać nośną (TYLKO MI NIE ODPSRTYKIWAĆ Z DOŁU!) To będzie znak do ucieczki i pochowania sprzętu.

- No a co z tymi hamulcami?

- Nagle ozdrowieją i zjadę im z drogi, dziękując jak Eddie Murphy za odzyskanie nóg w tym filmie, co zamienili miejscami żebraka z milionerem.

- Powinno zadziałać.

- Musi zadziałać. Jak zjadą na dół to już tam będzie ład i porządek jak w PRLowym burdelu, a jak wrócą na górę to mnie już też nie będzie. Jak zaczną mnie kontrolować od razu to ja mam wszystko w porządku i „kto mi zabroni z pastowanym kabanem po lesie spacerować?”

- To jest dobra strategia.

- No to jazda. Maciek i reszta na dół. Łukasz zostaje ze mną. Sprawdzić łączność. Jak gliny będą się zbliżać, to my ściszamy głośność radia do zera i pstrykamy nośną.

Wtedy za jakiś czas wszyscy się spotykamy... hmm... na stacji benzynowej u wylotu Dewajtis.

- OK. Wszystko jasne.

- No to do roboty. Poloneza mi tu grzecznie przed ATK zaparkować. Inne samochody też tu stoją i nie wzbudzi to zainteresowania. W razie czego Dewajtis nie taka długa. Sami zdecydujecie czy wozem czy piechotą.

Ekipa remontowo-budowlana poszła na dół, a ja zaparkowałem Peugeota w poprzek tak, że nikt nie mógłby przejechać. Zostawiłem skręcone koła, że niby wykręcałem i podniosłem przednią maskę, starając wczuć się w rolę i przyjmując zafrasowany wyraz twarzy.

Po piętnastu minutach dostaliśmy meldunek z dołu że sobie nie radzą.

- Cholera, wszystko trzeba robić samemu – wyszczałem zamykając maskę.

- Ekipa na górę – zakomenderowałem przez radio. - Sprzęt zostaje. Ja tam schodzę, a wy pilnujecie.

Zszedłem na dół. Robota nie ruszyła ani o milimetr. Za to trwała jałowa dyskusja, kto ma wejść na słup.

No więc chwyciłem koniec przewodu, wziąłem w zęby wkrętak, bo głowica była starego typu – na śrubki – i wlażłem na górę.

Nieco byłem zdenerwowany, bo właśnie nakrycie mnie teraz, stwarzałoby największe kłopoty.

Linie udało mi się podłączyć tak, że ukryty na dole „terminal” mógł odłączać i

podłączać przepompownię do linii.

Zsuwając się ze słupa, starałem się wpychać nowy przewód pod starą rurkę.

Udało się zamaskować go tak, że nic nie było widać.

Jedyną robotę jaką wykonali, to wykopanie niewielkiego dołka w którym ukryłem początkowy fragment przewodu. Dalej rolkę przewodu przykryłem liśćmi. Najniebezpieczniejsza faza była zakończona.

Kolejne manipulacje miały odbywać się z dala od słupa, więc groźba dekonspiracji malała. Ale całe towarzystwo poszło na górę „pilnować” drogi, a ja zostałem z łopatą mając do wykopania płytki ale dość długi rowek, tak aby terminal mógł mieć swoją „antenkę” na krzaku.

Szybko okazało się, że filary Wisłostrady nie stoją w gołej ziemi a na solidnie wylanym betonie, który przykryty jest tylko warstewką ziemi.

Rozpocząłem więc kopanie rowka.

Szło opornie ale szło.

Z boku ze wszystkimi „sprzętami” stał Maciek.

Podłączyliśmy sprzęt „na próbę” i wszystko działało idealnie.

Okazało się, że miałem rację. Linia miała restrykcję na zero, a centrala K-66 wykluczała „wyświetlenie się” numeru gdziekolwiek. Plus dla mnie za zdobycie numeru przepompowni nie figurującego w zasadzie oficjalnie nigdzie.

Poznanie tego numeru umożliwiało zamówienie dowolnej rozmowy u telefonistki i obejście restrykcji zera.

System działał. Aparat w przepompowni ani brzęknął, nawet gdy był na długo odłączany i ponownie przyłączany do linii. Gratulacje dla Maćka.

System chwilowo zdemontowano, zmostkowano przepompownię by miała czynny telefon. Tam siedział jakiś dyżurny facet, ale nie wyłaził, bo było to trochę w oddali a poza tym okno miał z innej strony.

Przystąpiłem do kopania. Minuty płynęły, a ja kopałem i kopałem.

Wtem z góry przyplęnęła radiem, mrożąca krew w żyłach wiadomość: JEDZIE POLICJA. Oczywiście oni barykady nie robili. Powiadomili o fakcie i schowali się dobrze.

Maciek zniknął z plecakiem wypełnionym sprzętem.

A ja...

A ja pomyślałem, że szkoda tracić czas.

Słup stał już daleko, pewien odcinek przewodu był już zasypany, a to co wystawało, było solidnie schowane.

Poza tym ja byłem już dość daleko, nawet od tego miejsca, tak że swobodnie mogę się nie przyznać do żadnego słupa i żadnego kabla.

Posiadałem jedynie łopatę i kopałem na terenie całkowicie pozbawionym roślinności, co

wydawało się być czynnością zupełnie legalną.

Kontynuowałem zatem kopanie, gdy nadjechał pierwszy radiowóz.

Policja zawróciła co pozwalało mniemać, iż zamierza wrócić tą samą drogą, którą przyjechała. Na parkingu „dla parok uprawiających seks” nie było nikogo.

Zastali jedynie faceta kopiącego łopatą w ziemi.

Pomyślałem, że najgłupsze co mogę zrobić to... cokolwiek zmienić w postępowaniu: uciec, podejść do nich, tłumaczyć coś.

Jeśli nie popełniam przestępstwa, to nie powinienem zwracać uwagi na radiowóz.

Tak też uczyniłem.

Załoga radiowozu jednak zaciekała się kopiącym dół facetem.

Zwłok nie dawało się nigdzie w pobliżu dostrzec, więc stali tam i patrzyli się.

Kopałem, bo po co miałem tracić czas.

W końcu jednak ich obecność zaczęła mnie drażnić.

Zacząłem się zastanawiać, jakiej odpowiedzi udzielę na pytanie, po co kopię. Postanowiłem że nie wymyślę bajeczki o kopaniu robaków (Wisła płynęła tuż za mną) i udzielę oryginalnej odpowiedzi że „dla zdrowia”.

Spiszą mnie i tyle.

Jedni wieczorami biegają dla zdrowia, a ja kopię doły.

Nie jest zabronione, a co nie jest zabronione, jest dozwolone.

W końcu jednak ich obecność zaczęła mnie wkurzać i postanowiłem COŚ zrobić. Coś, co powinno wywołać jakąś reakcję. Jakąś zmianę sytuacji.

Wobec tego wsparłem się na łopacie i patrząc beczelnie na nich, zdobyłem się na uśmiech od ucha do ucha, który jednak mógł wyglądać na grymas szympansa.

Reakcji nie było widać żadnej, prócz tego że zamknęli okno samochodu.

Może panicznie bali się wariatów, zwłaszcza uzbrojonych w łopatę.

Po paru dalszych minutach... przyjechał kolejny radiowóz, tym razem furgonetka. Posiłki? Wsiadło paru policjantów i wbrew oczekiwaniom, stali obok wozów przyglądając mi się... przez lornetkę.

Widać bali się podejść.

To dobrze – pomyślałem.

W końcu im się znudzi, albo ktoś im wyda jakąś dyspozycję.

Za małą w ZOO nie zamierzałem robić.

Po paru dalszych chwilach, oba samochody odjechały z przedstawicielami władzy. Pokopałem jeszcze trochę i zacząłem czekać na pojawienie się współników.

Pierwszy przygalał Maciej.

- Niesamowite – rzekł – nie zgarnęli cię?
- A niby za co?
- Noo... ja nie wiem. Oni lubią najpierw zgarnąć, a potem myśleć za co.
- Może ci najpierw pomyśleli i nic nie wymyśli.
- Jak oni jechali tam do góry, to my wszyscy myśleliśmy, że ty jedziesz już z nimi na komisariat w Polonezie, a Volkswagenem wiozą za tobą łopatę.
- A czego miałem się bać? Przecież ja nic tu nie miałem. Łopata sprzęt legalny.
- Ale ja tu w krzaki rzuciłem całe manele z elektroniką...
- Co?! - włosy stanęły mi na głowie – i dopiero teraz mi o tym mówisz!
- Nie było jak z tym uciekać.
- Oj, gdybym ja wiedział że to tu leży, to by mi się ręce trzęsły tak, że na pewno by się przyczepili.
- I wszystko znaleźli.
- Ach wy kretyni. Całe szczęście, że znam się na ludzkich pobudkach. Ja im zęby szczyrzyłem! Dobrze że nie wiedziałem i to nas uratowało. Wpadlibyśmy koncertowo. Prasa zamieściłaby piękną notatkę o ujęciu gangu groźnych przestępców, planujących zamach na krajową sieć telefoniczną. Podłączajcie to. Ja już palcem nie kiwnę. Ma działać i zjeżdżamy stąd.

Działało. Trochę rzęziło gdzieś z boku „Radio Kolor” na 72,38 MHz bo Maciek kupił telefon z USA działający w jedną stronę na 72 MHz ale gadać się dało.

Wróciłem do domu i postanowiłem sprawdzić jeszcze, czy linia działa.

Wybrałem numer przepompowni i... dostałem koguta z K-66!

Cholerni partacze! - Gang Olsena, kurka wodna...

Zadzwoń do obsługi centrali Żoliborz II.

Odebrał bardzo chyba samotny kierownik tej centrali, bo nie dość że pomierzył mi w Omach doziemienie linii, to opowiedział historię centrali, a mnie głupio było przerywać człowiekowi o 2 w nocy, opowiadającemu tak pięknie. Korzystając z okazji dowiedziałem się że temporyzacja wołania tej K-66, została własnoręcznie ustawiona na 12 minut, co tłumaczyło moje inne eksperymenty z nią.

O trzeciej w nocy zasnąłem.

Obudziłem się około 11 przed południem i od razu zadzwoniłem na przepompownię. Odebrał dyżurujący tam technik.

Spokojnie więc zjadłem śniadanie i pojechałem obejrzeć miejsce „zbrodni”.

Okazało się, że wcześniej był tu Maciek i zabrał sprzęt.

Dla porządku zabrałem kabel, przywróciłem wszystko do pierwotnego stanu i powiedziałem że dość mam radiodostępów.

Maciek potwierdził doziemienie i to takie, że cały pokój musiał odkurzać, gdy mu się ziemia wysypała z nieszczelnego pudła urządzenia.

Podczas zasypywania ziemią pudełka, zrobiliśmy to cokolwiek zbyt gorliwie...

I znów nadchodzi jesień. Wieczorem wiatr naniósł od strony lasu zapach liści. Zapach kropli rosy na igłach sosen, dymu z przygasłych ognisk.

Zapach ziemi i bulw, zdaje się brukwi, sadzonej przez ubogą ludność wokół Puszczy. Gdzieś ktoś palił ognisko z suchych liści. Spokój...

Przyszło tropo. Propagacja troposferyczna. Dalekie stacje na UKF można odbierać. To domena takich jesiennych wieczorów.

Wkładałam drut do gniazda w tunerze i szukam Radia Kielce.

Dziś także jest. Lekko szumi. Sygnał słaby i chybliwy niczym daleki samotny płomyk.

Czy i mojego sygnału ktoś tak wypatruje w mroku? Nadaję. Krzyczę tym sygnałem! Jestem tu!

Ale dziś ja słucham. Dziś nie nadaję. Nasłuchuję...

Zza szumu wyłania się piosenka:

„Kochać to nie znaczy, zawsze to samo,

Kiedy jesteś daleko, kochasz przecież inaczej,

A kiedy pragniesz tak mocno, żebyś nie żałował,

Kiedy jesteś daleko, możesz wszystko stracić...

(...)

A kiedy przyjdzie na ciebie czas,

A przyjdzie czas na ciebie,

Porwie cię wtedy wysoko tak,

Do góry cię uniesie,

A kiedy przyjdzie na ciebie czas,

A przyjdzie czas na ciebie,

Porwie cię wtedy do góry tak,

Wysoko się uniesiesz...”

Lubię wychodzić na dwór późnymi wieczorami. Ludzie w domach, a w parku za domem cicho i spokojnie. Tu niezbyt daleko, są jeszcze ogródki działkowe. Taka namiastka ziemi najdroższej człowiekowi. Wyrosłego z niej i przy niej wychowanego, a zamkniętego w murach miast. Miałem szczęście. Mieszkałem na Żoliborzu, a właściwie to na Bielanych. I to dość blisko końca zurbanizowanej części miasta.

Do las, łąk i pól było stąd kawałek. Częściej jeździłem właśnie tam, niż do centrum.

Nie pasowałem do tego miasta. Nie pasowałem do żadnego miasta. Nie pociągał mnie

blichtr nocnego życia. Knajpy i kluby... Ja się tam nudziłem!

Gdy było mi smutno i źle, brałem samochód i jechałem w znane miejsca. A to do Wólki Węglowej, a to do Sierakowa czy znów do Truskawia.

Przez Lipków opisany bitwą Bohuna z panem Wołodyjowskim przez Sienkiewicza, gnałem na Izabelin przez Hornówek. Znałem te drogi na wylot.

Pieszko schodziłem każdy metr Puszczy po wschodniej stronie drogi 579, przecinającej ją w połowie. Drugą część poznałem jeżdżąc samochodem. Żyjąc przez tyle lat bez upragnionej, wyśnionej kobiety... czekałem na Nią. Z czasem byłem jej obecności już pewien i tego, że ona również gdzieś tam „w lasach północy” na mnie czeka. Niepewność i... co tu dużo mówić – strach – że zostanie się w życiu samym, zmieniła się w pewność, że my na pewno się spotkamy. „Drogi naszych istnień przecięte w przyszłości”.

Już od jakiegoś czasu nie prowadziłem radia. Anteny zdjęła administracja. Lecz podłączyłem się do... ich dipola wiszącego na maszcie anteny zbiorczej, a służącego do odbioru „dolnego”, wciąż czynnego pasma UKF. Tyle że ludzie już nie odbierają radia podłączawszy je do anteny zbiorczej. Dipol był im niepotrzebny, wobec tego zaanektowałem go.

Pierwsze krople deszczu zabębniły w okoliczne parapety.

Wróciłem do pustego domu, włączyłem nadajnik i w eter poszła kaseta.

„Mokniesz ty, cała więc, wyjdź na dach,

Niech ten deszcz całą złość zmyje z nas...”

Moją twarz oświeślały tylko kontrolki deck'a. Deszcz rozpadał się na dobre a ja słałem w eter... wołanie. Wołanie tej jedynej, o której myślałem każdego dnia budząc się sam.

Jaka Ona jest. Bo jest na pewno. Czy też ma takie chwile, gdy tęskni? Tęskni za prawdziwą miłością? Licznik odmierzał kolejne cyfry długości taśmy.

Zegar tykał miarowo w moim turystycznym radiu.

Tyk, tyk... co sekundę jeden krok. Każda sekunda bliżej Ciebie...

Sygnał czasu...

Czasu oczekiwania. Czasu cierpienia i śmiechu.

„Jest czas wchodzenia jest i czas schodzenia.

I wszystko ma swój czas”.

Tyk, tyk...

Zasnąłem...

Stuk! Z głośnym pyknięciem włączył się budzik... tuż przed południem.

Nocne życie ma swoje prawa, a brak pracy pozwala na śniadanie w okolicy południa. Zegar włączył radio.

Gdzieś w nocy przeniosłem się do łóżka.

Teraz jednak wspomnienia wieczoru nadpłynęły...

- Za chwilę nadamy sygnał czasu z laboratorium czasu i częstotliwości Głównego Urzędu Miar i Jakości w Warszawie. Ostatni, szósty sygnał oznacza godzinę dwunastą. Po sygnale czasu na antenie Kraków i Hejnal z wieży mariackiej.

Sygnał czasu!

Dla mnie! Z każdą sekundą, z każdym uderzeniem serca bliżej siebie. Nie dalej!

Wstałem z łóżka i nastawiłem czajnik na herbatę, którą jak zwykle sponsorował Mazowiecki Okręgowy Zakład Gazownictwa.

Ubrałem się i czekając na gorącą wodę postanowiłem zatelefonować do Łukasza. Podniosłem słuchawkę i...

Ucho to ja mam dobre. Sygnał był jakiś dziwny. Zniekształcony.

Postukałem w klawiaturę. Nie wchodziły cyfry 1, 4 i 7 a więc jedna ze składowej DTMF nie działała.

Przełączyłem aparat w wybieranie pulsowe i wtedy wszystkie cyfry centrala przyjmowała. Wyjąłem z szafy drugi aparat. To samo. Sygnał zniekształcony.

Nie zważając na gotującą się wodę, złapałem krzeselko i wyszedłem na klatkę. Otworzyłem skrzynkę z bezpiecznikami, gdzie znajdowała się głowica telefoniczna i zbiegały się linie wszystkich abonentów z klatki schodowej.

Podłączyłem „na krótko” swój aparat do numeru sąsiada.

Sygnał czysty. 1,4 i 7 działają.

Przełączyłem się na swoją parę... źle.

Wróciłem do mieszkania, zaparzyłem herbatę i jedząc wczorajsze bułki z serkiem topionym zastanowiłem się.

Po posiłku wróciłem do naturalnej dla mnie czynności, niemalże fizjologicznej - badania problemu telekomunikacyjnego.

Wykonałem pomiary składowej stałej przy obciążeniu, bez obciążenia, prądu i napięcia dzwonienia oraz powtórzyłem te pomiary, „pożyczwszy” linię od sąsiada, bez jego wiedzy. Przełączyłem w głowicy na swój przewód. Nie widać różnic.

Dopiero włączenie kondensatora małej pojemności równoległe z moją linią, przywracało jakie takie brzmienie sygnału, ale wybieranie tonowe dalej szwankowało.

W zasadzie 1, 4 i 7 działały, ale nie jako pierwsze cyfry.

Ten zniekształcony sygnał zakłócał jedną ze składowych DTMF.

Jak znam Pentacontę, a znam, to nie ma możliwości uszkodzenia wybierania tonowego dla pojedynczego abonenta.

Rejestry są przydzielane dynamicznie i z wybieraniem tonowym można zrobić wszystko ale... dla wszystkich albo dla nikogo. A jeśli zrobić coś w jednym rejestrze, to ponowne podniesienie słuchawki przydzieli inny rejestr.

A tu taka heca na moim numerze.

Zaraz... ten kondensator... Kondensator i cewka... kompensacja!

Ktoś włączył mi na centrali w szereg z jedną z żył cewkę.

Tylko po co?

A jeśli ta cewka ma drugą cewkę i to jest transformator?

Ale po co? Podśluch!

Nie... nie... przecież podśluchy działają włączone równolegle. No nie. Są takie włączane szeregowo i uruchamiają się... o kurwa... no właśnie... spadkiem napięcia linii, lub zamknięciem pętli prądowej! To czego JA NIE ROBIĘ używając darmofonu!

Klasyczny, zwykły, „seryjny” podśluch, automatycznego zapisu rozmów, NIE DZIAŁAŁBY u mnie, gdy stosuję darmofon.

Nie nagrałby nic, kiedy rozmawiam w trybie darmowym. Chyba że... właśnie. Cewka... transformator w szereg i układ VOXA.

Miałem podśluch. Nieprofesjonalny i „niestandardowy”, jak też niestandardowy był podśluchiwany abonent i stosowane przez niego zabiegi techniczne.

No to robi się ciekawie.

Na razie będę złośliwy i udawał głupka: skoro mi nie działa 1, 4 i 7 tonowo to... zgłoszę uszkodzenie!

Zadowolony z siebie dopiłem herbatę i wybiegłem do automatu podzwonić po znajomych, za darmo oczywiście, aby ostrzec ich o sytuacji.

Ktoś założył mi podśluch. Podśluch w budynku centrali.

Na pewno nie była to prywatna osoba ani żadna „agencja detektywistyczna”.

Ja tę sieć znałem. Nikt niczego nie zrobił na sieci.

Poza tym, być może efekty uboczne tego nietypowego podśluchu nie ujawniają się na centrali, a dopiero po drugiej stronie długiej linii?

No cóż. Przynajmniej wiedziałem. Wiedziałem, bo oni zrobili amatorkę na kolanie. Robili ją, bo ja robiłem tak, że „standardowy podśluch” nie zapisywał rozmów darmofonowych. Nie włączał się zapis.

No to „kochani” - teraz to ja się dowiem o co biega...

Jak co tydzień przyjechałem z Łukaszem i jego komputerem do mnie, aby posiedzieć trochę na necie. U niego rozmowy wychodzące na zero były od dawna odcięte, bo rodzina miała dość wysokich rachunków. Tym razem modem na mojej linii w ogóle nie chciał wynegocjować transmisji, przez ten pieprzony prymitywny podśluch.

- Ja tego tak nie zostawię. Pozaliczało nam po impulsie za każde „udane” połączenie i ja mam za to zapłacić? A ORWO Color - zakląłem nietypowo - dawaj pakujemy to i odwożę cię z tym majdanem.

Na odchodnym wybrałem 9696 i ze złośliwą satysfakcją zgłosiłem uszkodzenie telefonu.

Na pytanie o objawy, podałem znikające wybieranie tonowe i brak możliwości połączenia się z Internetem oraz – czego byłem pewien – brak działania faksu, gdybym taki posiadał. Zgłoszenie przyjęto, po czym rzuciłem słuchawkę i już nas nie było.

Następnego dnia monterek „przysączył się” (jak mawiał Maciek) z samego rana.

Z samego rana, to jak wiadomo „aresztowali Reagana” i byłem niezadowolony z wyciągania mnie z łóżka już o 10 rano.

Monterek wchodząc, od razu poinformował mnie, że on uszkodzenia nie widzi, ale dla pewności przyszedł do mnie do mojego mieszkania.

- Proszę pana. Nie działa mi transmisja modemowa, sygnał jest zniekształcony i nie działa wybieranie tonowe.

- To na pewno wina aparatu – wyrecytował wyuczony w TP tekst.

Bo jak wiadomo, awarie w TP się nie zdarzają. A jeśli coś działa nie tak, to jest to zawsze wina sprzętu abonenta.

- Ja panu od razu powiem, że ja jestem byłym technikiem TP i pracowałem jako technik eksploatacji na centrali. Nie jest możliwe, aby tylko na mojej linii było uszkodzenie wybierania DTMF. Ja podejrzewam, że ktoś coś wpiął w moją linię, co powoduje zniekształcenia.

- Ale...

- Ale niech pan weźmie mój aparat, ten który pan podejrzewa o złe działanie i wepnie w głowicy w linię sąsiada.

Monterek z wahaniem zgodził się.

- No ma pan rację – przyznał po chwili – na innych liniach pana aparat działa jak należy i ten dźwięk faktycznie jest inny. Ja pojadę zaraz na centralę i sprawdzę na przełączalni.

Zadowolony byłem choć z tego, że przekonałem jednego z kłopotliwych zazwyczaj w rozumowaniu pracowników TP. Do tego, że po pierwsze awaria występuje, a po drugie leży po stronie operatora.

Po kilku godzinach zniekształcenie dźwięku sygnału zniknęło a DTMF zaczął pracować poprawnie.

I znów zaprosiłem Łukasza na Internet i pizzę, którą zamawialiśmy na telefon.

Tym razem w internecie pobuszowaliśmy jak zwykle.

Gdy już mieliśmy kończyć, modem sam się rozłączył. W tamtych czasach było to normalne, jak również to, że dodzwonić się do numeru dostępowego można było czasem za setną próbą. Numer dostępowy bywał chronicznie zajęty.

Zanim zdołaliśmy ustalić co i jak, ktoś zdążył włączyć „to coś” znowu w linię. Nawet przerwy w działaniu telefonu w ferworze sytuacji nie zaobserwowaliśmy, ale takie włączenie, jeśli wcześniej przygotowane, mogło trwać kilka sekund. Poza tym cały czas próbowaliśmy się połączyć, a audio modemowi wyłączyliśmy. Mogli nas odciąć i na minutę, a nie zauważylibyśmy ciszy na linii.

Wkurzony maksymalnie znów zgłosiłem uszkodzenie i odwiozłem Łukasza.

Łukasz zdobył na kilka godzin klucz do otwierania Urmetów i skopiował go w szemranym zakładzie na Pradze, mimo oficjalnego zakazu dorabiania tego typu kluczy. Mieliśmy już serwisową „programming card”, ale chcieliśmy obejrzeć sobie od środka automaty – na spokojnie. Czyli dysponując własnym kluczem – nocą.

Nasze phreakerstwo właściwie nie miało cech szkodliwości dla zwykłych abonentów.

Gdy z powodu zniekształceń podsłuchu nie mogliśmy pewnego razu skorzystać z internetu ode mnie z telefonu, podłączyłem się na pół godzinki pod linię sąsiada, który wyjechał na weekend.

Postanowiliśmy mu zwrócić należność z nawiązką, czyli zapłacić więcej niż wydzwoniliśmy. Okazało się, że kwota 5 złotych aż nadto wystarczy, bo wydzwoniliśmy na pewno sporo mniej.

Trzeba było jednak przekazać mu te pięć złotych anonimowo, aby nikt nie kojarzył nas z „procederem”. Nie chodziło tu o sąsiada i o opinię. Zwrócilibyśmy te 5 złotych każdemu, ale właśnie ze względu na sąsiedztwo, wielki nacisk kładłem na anonimowość zwrotu. Pewnego wieczoru postanowiliśmy z Łukaszem „pokręcić się po okolicy” badając różne aspekty różnych automatów, podłączonych do różnych typów central.

Było to jak gdyby nasze rutynowe działanie i tak dla przykładu, badania central EWSD zmuszały nas do wizyt na Saskiej Kępie czy na Gocławiu, bo do Otwocka było nam za daleko. 5ESS i S-12 miałem pod nosem.

E-10A można było spotkać na południowych rubieżach strefy numeracyjnej, ale bliżej mieliśmy ją na Żeraniu.

Tym razem zacząłem od Poczty Głównej, aby nadać te nieszczęsne pięć złotych. Wyczytałem, że najszybciej idą przekazy telegraficzne. Wypełniłem stosowny druk i gdy podałem go pani w okienku, pracownica popatrzyła na mnie jakoś dziwnie.

- I pan chce przekazem telegraficznym nadać pięć złotych?
- A co, nie wolno?
- A wie pan ile to będzie kosztować?
- No ile?
- Piętnaście złotych!
- No i co w tym złego?
- I na pewno pan chce te pięć złotych telegraficznie?
- Tak, płacę i tak to ma iść.
- Pani w okienku spojrzała porozumiewawczo na swą sąsiadkę z drugiego okienka i z dziwnym wyrazem twarzy przyjęła zlecenie.

Fakt, że to idzie szybko.

Wysłane w sobotę, a już w niedzielę widziałem w skrzynce sąsiada awizo przez dziurki.

Jak wróci wieczorem, to pójdzie po ten przekaz w poniedziałek. Pewnie stanie w

tradycyjnej już w naszym Urzędzie Pocztowym Warszawa 112 kolejce i po pół godziny stania dowie się, że stał po... pięć złotych od jakiegoś Jacka Stolarczyka, zamieszkałego pod adresem wolnostojącego a mającego numer budynku... szaletu miejskiego w Piasecznie.

No trudno. Może będzie na tę pocztę szedł nie tylko po to i nie będzie sobie w brodzie pluł, wietrząc głupi dowcip.

W każdym bądź razie wróciłem do samochodu i trasą W-Z pojechaliśmy na Pragę.

Zaczął się robić późno i przechodniów było coraz mniej.

Wstąpiliśmy do McDonalda i gdy ruch na ulicach już powoli ustawał, postanowiliśmy znaleźć jakiś automat do „eksploracji”.

Jeździliśmy powoli ulicami Targówka i wpadł nam w oko niebieski Urmet wiszący na pawilonie handlowym.

Chodnik od ulicy odgradzał pas zieleni i nie było gdzie zaparkować, ale znalazłem taki kawałek jakby wjazdu do nieistniejącej bramy. Asfalt pozwalający zaparkować wprost z ulicy prostopadle do pawilonu.

Zazwyczaj w takie miejsca wjeżdżam tyłem, aby łatwiej było później wyjechać, bo trudniejsze rzeczy zawsze wolę wykonać wcześniej, tak jak od dziecka zawsze z talerza zjadam najpierw to, co najmniej mi smakuje, by przejść do coraz smaczniejszych potraw.

Tym razem niezawodne przeczucie tknęło mnie wyraźnie.

Coś mi mówiło, by wjechać w ten kawałek asfaltu przodem.

Samochodu nie zamykaliśmy, bowiem automat wisiał kilka metrów od nas.

Podeszliśmy do niego i Łukasz mający klucz Abloy'a, dołączony do pęku domowych kluczy, szybko otworzył zamek. Oczywiście automat zgłosił do centrum nadzoru swoje otwarcie, ale zanim ktoś zareaguje to miną godzinę.

Automat otworzył się przednim panelem jak drzwiczki od szafki.

Oglądaliśmy z zaciekawieniem różne moduły, znane nam do tej pory ze zdjęć w internecie, gdy z tyłu powoli, tempem patrolowym zbliżył się Polonez Straży Miejskiej. Automat bezwstydnie ział wnętrzościami a klucze prowokacyjnie dyndały od dołu.

- Łukasz! Straż Miejska!

Łukasz drgnął.

Jako że jestem człowiekiem opanowanym, przywołałem mimo zdenerwowania racjonalne myślenie.

Może nas nie zauważą. Zauważą?

Zauważyli, bo nikogo innego na ulicy nie było.

Może i minęli by nas w spokoju, gdyby nie ten otwarty automat.

Podświadomie ścieśniliśmy się tak, że niemal w brzuchy sobie ten aparat wpakowaliśmy. Nic z tego. Samochód zaczął zwalniać.

- Łukasz. Słuchaj - starałem się myśleć logicznie - Musimy się rozdzielić. To rozproszy ich uwagę. Po drugie MUSIMY zachowywać się jak praworzadni obywatele. Żadnych ucieczek i gwałtownych ruchów. Najpierw ja powoli podejść do samochodu, PATRZAĆ IM W OCZY. Z reguły to działa hamująco, bo przestępcy tak nie robią. Gdy wsiedzę do samochodu i zacznę uruchamiać silnik. Ty podejdziesz od strony pasażera. Masz nawet bliżej. Wejdiesz spokojnie ale zaryglujesz drzwi. Odjedziemy jakby nigdy nic.

Zacząłem iść w kierunku samochodu i obchodzić go, aby wsiąść od strony kierowcy. Polonez Straży Miejskiej Stał tuż za mną uniemożliwiając wyjazd tyłem.

Szybkim spojrzeniem oceniłem możliwość skrętu w miejscu gdzie kawałek asfaltu łączący jezdnię z chodnikiem stykał się z nim. Nie było dobrze. Ten pawilon blisko stoi, a chodnik nie za szeroki. No nic. Może się uda.

Mój powolny marsz do samochodu zbił z tropu strażników. Siedzieli w samochodzie i patrzyli się na mnie. Niestety Łukasz zaczął szarpać się z zamkiem Abloya, które nieraz sprawiały kłopoty. On MUSIAŁ odzyskać klucze od domu.

Te gwałtowne ruchy i fanaberie zamka nie pozwoliły już na zamknięcie automatu.

Z Poloneza wysiadł jeden ze strażników.

- Halo, proszę pana - odezwał się do mnie Zlekceważyłem go i otworzyłem swoje drzwi.

- Halo! - zaczął biec ku mnie.

Jednym susem znalazłem się w kabinie i zaryglowałem drzwi w ostatniej chwili.

Szarpał klamkę i mocno walił w szybę

- Proszę otworzyć!

Teraz nie było czasu na socjotechnikę. Łukasz miał jeden krok do drzwi.

W chwili gdy zamykał je za sobą, mój silnik już zamruczał.

Z Poloneza zaczęli wybiegać inni strażnicy, ale znajdowali się z tyłu bądź z boków mojego samochodu.

Ruszyłem dobierając prędkość do pokonania zakrętu na chodnik.

Udało się!

Teraz gazu!

Zobaczyłem w lusterku, że podczas mego manewru strażnicy wrócili do wozu, a kierowca chyba był tam cały czas, bo już wystartował.

Ilu ich tam było?

Ruszyłem chodnikiem, na szczęście zupełnie pustym.

Polonez ruszył równolegle do mnie i zapalił żółte koguty.

Obu nas oddzielał pas zieleni z wysokim krawężnikiem co mogło ratować ale i pograżać w zależności od tego co na drodze będzie dalej.

W oddali zobaczyłem coś co mnie zmroziło.

Na środku chodnika przed przystankiem autobusowym stał betonowy kosz na śmiecie.

Ja muszę. MUSZĘ! Przed tym miejscem znaleźć się na jezdni.

Ale jak?

Oni jadą równolegle.

Docisnąłem gaz, ale trzymali się równo.

Postanowiłem, że tylko jakiś blef może nas uratować.

Dojrzałem niższą część krawężnika i gwałtownym ruchem kierownicy zrobiłem manewr jak gdybym chciał zepchnąć Poloneza.

Ich kierowca instynktownie odbił w prawo i znalazł się na przeciwnym pasie ruchu, co zaraz zauważył i zdjął nieco nogę z gazu.

Z potężnym hukiem wpadłem na jezdnię tuż przed ich maską.

Koła piszczały, bo przy tej prędkości, na asfalcie wpadły w lekki poślizg.

Ustabilizowałem samochód i gazu!

- Łukasz!

Łukasz błady jak ściana wpatrywał się przed siebie.

- Łukasz! Jak jechać! Wydostań nas stąd. Ja nie znam tego osiedla.

Łukasz jakby się obudził.

- Teraz na razie prosto. Potem będzie w prawo.

- Teraz?

- Nie, jeszcze nie...

Polonez na żółtych co prawda kogutach, ale z syreną dźwiękową dołączoną nie wiadomo po co do ich zestawu, zaczął lekko odstawać.

Może mieli na pokładzie standardowy zestaw, a te produkowane dla służb, mają mikrofon do nadawania komunikatów dla ludności i tego Straż Miejska używa. Mają też wbudowane różne dźwięki syren, ale tego nie produkuje się pod konkretną służbę i Straż Miejska miała to nadprogramowo. Włączyli bo mieli, ale włączyli nielegalnie. Przynajmniej w tamtych czasach.

Mój Peugeot miał tylko dwie osoby na pokładzie i pomimo mniejszej pojemności, był dużo lepszy.

Wiedziałem że na prostej, nie mamy z nimi szans, ale przyspieszenie mamy lepsze.

Tylko wiele zakrętów, za którymi oba pojazdy musiały nadrabiać wytraconą prędkość, dawały szanse ucieczki.

Zdawałem sobie sprawę, że oni już o pościgu meldują przez radio. Być może do akcji wejdzie także policja, a ta ma broń.

Wiedziałem też jednak, że w tym kraju nic nie działa jak należy, a zwłaszcza organizacja i w ich nieudolnej improwizacji upatrywałem sukcesu.

Najpierw ich zgubić. Na dalsze kroki przyjdzie czas później.

- Tu skręcaj!

Opony piszczały na zakrętach branych lekkim poślizgiem kontrolowanym.

Polonez zaczął odstawać, nie mogąc tak szybko rozpędzać się w gąszczu uliczek i zakrętów.

- Nie ma go! - entuzjastycznie wykrzyknął Łukasz!

- Kieruj mnie do ciebie.

- Gdzie ?

- Do ciebie. Wsiadasz i znikasz. Rozumiesz? Klucz odczep i gdzieś schowaj poza domem. Do mnie nie dzwoń. Zero kontaktu. Ja sam do ciebie zadzwonię. Moje zamiary już mają. Po tablicach i w ogóle. O tobie oni nie wiedzą. W TEJ SPRAWIE i TE SŁUŻBY nie wiedzą, więc ciebie tu nie ma. Rozumiesz?

- Rozumiem.

- Jutro przyjadę do ciebie o 15-tej. Autobusem. Pogadamy na spacerze.

Akurat wjechaliśmy na parking pod domem Łukasza.

- Do jutra i trzymaj za mnie kciuki. Przede mną jeszcze pół miasta, a samochód nie wróci dziś na mój parking.

Nie zdążył odpowiedzieć, bo już mnie nie było.

Jechałem nietypowo. Dostawszy się na Wisłostradę, pojechałem aż do Młocin.

Tu raczej pech napatoczył by jakiś patrol.

Pstrowskiego przebiłem się na Wawrzyszew i bocznymi uliczkami trafiłem pod dom Piotrka z Chomiczówki. W jego oknie paliło się jeszcze światło.

Zadzwoniłem domofonem.

- Słucham

- To ja. Wpuść mnie. Mam poważne problemy.

Samochód został pod domem Piotrka. Kluczyki i dokumenty też zostawiłem profilaktycznie u niego.

Gdyby coś... Trudniej im będzie się do tego dostać, a jako podejrzany mogę odmówić składania zeznań lub nawet bezkarnie kłamać. Matka samochodu od Piotrka odbierze. Piotrek dostał instrukcję by się do niej z tym zgłosił, w razie gdybym był...hmm...nieosiągalny.

Wietrząc nie wiadomo jaką akcję i organizację i pamiętawszy czasy radiowozu pod klatką, do domu dotarłem okrężną drogą przez ciemny park.

Wyrząłem niczym bohater kreskówki za rogu, ale podwórko było puste i ciche.

Przeszedłem przez jego środek, niby spóźniony przechodzień w tranzycie, by ukradkiem zerknąć na klatkę.

Ciemno.

Obszedłem dom dookoła i wszedłem na klatkę.

Nikogo.

Otworzyłem drzwi i... byłem w domu!

Wyłączyłem telefon z gniazdka a domofon odwiesiłem, by mnie nikt rano nie budził, wyjąwszy wkładkę mikrofonową. Gdybym tego nie zrobił, wtedy pięknie było w korytarzu słyszeć co się dzieje w mieszkaniu. Położyłem się i szybko usnąłem.

Następnego dnia obudziłem się naturalnie. Nikt nie łomotał do drzwi, nikt nie krzychał „otwierać”.

Nieco mnie to zdziwiło i nie wiedziałem co o tym myśleć.

Telefonu w ogóle nie włączyłem nawet do gniazdka.

Po śniadaniu wsiadłem w autobus 170, dający mi bardzo dobre połączenie bez przesiadek aż na Szmulki i zjawiłem się u Łukasza znacznie wcześniej niż to zapowiadałem.

Łukasz i jego rodzina powitała mnie... z szacunkiem i gratulacjami.

Na Pradze jak wyrolujesz „onych” to jesteś ziom.

- Łukasz, przede wszystkim trzeba ustalić zeznania w razie czego.
- Ale oni wiedzą że to ty.
- No ja myślę, a co słuchałeś ich?
- Jak tylko wpadłem do domu, to od razu radio włączyłem. Długo to przeżywali że im zwałęś. Numer podali prawidłowy. Markę też, tylko kolor im wyszedł na granatowy.
- W nocy wszystkie Peugeoty są granatowe...
- Ale co teraz będzie?
- No właśnie mnie zastanawia, że jak na razie nic się nie dzieje.
- Oni mówili że „usiłowanie lub kradzież części automatu”.
- Phi... nigdy bym nic nie ukradł. Ale skoro tak, to coś się będzie dziać.
- Oni jeszcze mówili, że trzeba wezwać kogoś z Tepsy, bo ten automat faktycznie otwarty został i bali się, że jakaś gówniarzeria rozkradnie.
- No to chyba im powiedzą, że niczego nie brakuje. Będzie „usiłowanie”.
- Przecież my nic nie chcieliśmy ukraść.
- A oni powiedzą, że tak mówi każdy złapany złodziej, wsiadający do cudzego samochodu. Ja w każdym razie wietrzę kłopoty. Wywalam z domu na razie trefne rzeczy czyli nadajniki, radiotelefony i darmofon na jakiś czas. Tobie radzę to samo, bo cholera wie od kiedy i co oni o nas wiedzą. Ty masz trochę różnych części od urmetów.

- Kurwa... ale dobrze że udało się zwać.
- I dlatego chcę, aby nikt ciebie z tym nie kojarzył. Było dwóch ludzi, ale ja o drugim nic mówić nie zamierzam. Może nie znają naszych powiązań tak, że od razu ciebie będą okazywać tym strażnikom.
- A odciski...
- A odciski to ja mam na nogach... Oni do takich spraw nie „marnują” odczynników. Jak Bartka okradli to mu glina mówił, że musi być morderstwo albo coś w tym stylu.

Mijały dni a sprawa nie przejawiała żadnych widocznych efektów. Przecież skoro znali numery to choćby mnie – właściciela samochodu – powinni wezwać na świadka. Czy pożyczalem, komu, czy sam jeździłem. Co robiłem w dniu takim i takim o o godzinie takiej i takiej.

A tu nic. Cisza i spokój.

Nawet podsłuch „zdjęli”...

A tam „zdjęli”... naprawili!

W końcu jak to się Jasio śmiał - abonent reklamował złe działanie usługi podsłuchowej i teraz jest pewnie fachowo. Zrównoleglona linia przez kondensator na jakiś lokalnie zasilony transoptor i mają VOXa.

W zasadzie... Hehe. Skoro tak, to jak im zrobię listę przebojów. Nie wiem na jakim nośniku to się zapisuje, ale niech mają w czym szukać rozmów.

Zrobiłem zestaw do automatycznego odtwarzania muzyki czy audycji z radioodbiornika. Ktoś kto dzwonił do mnie, był automatycznie odbierany darmofonowo i leciała muzyka. Muzyka leciała w linię nawet gdy nikt nie dzwonił i jeśli mieli VOXa...

No bo tylko tak mogli słuchać rozmów darmofonowych. Tylko VOX mógłby załączać automatyczny zapis. To niech teraz zapisuje cały czas... Papa dance. Albo jeśli mają zapis graficzny obwiedni i muzyka się będzie odróżniać, to niech mają „Magazyn Kulturalny” z Jedyńki. Tam czasem bite trzy godziny nudzenia. I to mowa w zasadzie, bez muzyki.

Niech szukają gdzie są rozmowy telefoniczne, a gdzie wywiady-rzeki z „artystą”. Zanudzą się i zażądadą dodatku za szkodliwe warunki pracy! Bo ja bym tego przeszukiwać nie chciał.

Kupiłem w końcu komórkę.

Pre-paid.

Nie rejestrowałem jej a i nie dzwoniłem na swój numer stacjonarny i odwrotnie.

Któregoś razu zauważyłem, że po wybraniu z telefonu stacjonarnego, numeru 0-32 958 czyli „automatycznej informacji o AIDS” w Katowicach, standardowo bez marszruty spadam z rejestru ale... nie na wołanie czy odebranie a na... no właśnie.

Cisza zawsze powodowała, że próbowałem „ją przeczekać”. Zwłaszcza na pentaconcie ciszę można przeczekać, o ile to nie jest zestawione i odebrane połączenie czy przerwana linia.

W przeciwnym wypadku prędzej czy później spadnie się na zajętość.

Czekałem więc i nagle mego uszu dobiegł znajomy dźwięk sygnalizacji R2, po czym dostałem zajętość z ACMM EWSD. Po jakimś czasie ciszę i lokalną zajętość.

Powtórzyłem numer.

To samo.

O! Czyli mam dostęp z linii abonenckiej do sygnalizacji R2!

Pognałem do matki i dzwonię od niej, z S-12-ki pod ten sam numer.

„Abonent czasowo wyłączony”.

To samo z innych central Warszawy.

Tylko moja spadała na łącze z przerwana sygnalizacją R2.

Tylko w jakim momencie ?

Czy można by tu samemu... a na bilingu wtedy tylko Katowice?

Łukasza! Peceta!

Przywieziony z komputerem Łukasz, też zapalił się do sprawy.

Wyszperaliśmy w internecie częstotliwości tonów R2 i wygenerowaliśmy odpowiednimi programami do obróbki dźwięku wszystkie możliwe tony tej sygnalizacji.

Wykonaliśmy coś w rodzaju play-listy i każdy z tonów mógł być odtworzony po naciśnięciu jednego z przycisków.

Zrobiłem szybko instalację separującą i podłączyłem kartę dźwiękową, przez wzmacniacz do linii.

Wybraliśmy numer powodujący błąd i czekaliśmy.

Najpierw na ton R2. Chyba z ACMM.

Niestety po nim następowała zajętość.

W takim razie trzeba nadawać wcześniej.

Ale co?

W którym miejscu wymiana ustała?

Zaczęliśmy nadawać różne cyfry „w przód” i ACMM od razu odpowiadała „czymś” w tył. Słuchaliśmy tego na słuchawce.

Chyba nie było to nic zachęcającego, bo po tym „czymś” co musiało być chyba sygnalizacją jakiegoś błędu i zakończenia wymiany, co byśmy nie nadali z posiadanych znaków „w przód”, to ACMM wystawiała zajętość. Na „w tył” nie reagowała, co zrozumiałe, ale na wszelki wypadek i te cyfry próbowaliśmy wysyłać.

Nasza centrala też nie reagowała bo nie mogła. Rejestr i odbiorniki R2 były już odłączone, a zestawiona droga rozmówna.

Próbowaliśmy czego się tylko da, ale na każdą cyfrę ACMM odpowiadała tym „czymś”,

czego nie mogliśmy zdekodować, a nie wpadło nam do głowy porównywać w nagranych znakami „w tył”.

W każdym bądź razie, po tym czymś każdy znak powodował zajętość.

Po kilku godzinach bezowocnych prób, poddaliśmy się, pocieszeni nikłą nadzieją wypełnienia logu błędów na ACMM, nad którym z pewnością pochyla się technicy, dzwoniąc także do obsługi Broniewski I i pytając, czemu ta centrala nadaje takie krzaki...

Na grupie dyskusyjnej pl.misc.telefonia wyczytaliśmy, że z dwu sieci komórkowych można wysyłać „nietypowe” znaki numeracyjne.

Okazało się, że zamiast cyfr w numerze, można od pewnej cyfry używać także znaków * i #, co w relacjach na kierunki dekadowe było tłumaczone na 11 i 12 impulsów.

Takie dekadowanie robiło dziwne rzeczy z tymi centralami.

Na kierunki R2 także działały się cuda, od wielokrotnego powtarzania wymiany, kończącego się komunikatem „kierunek zajęty”, po wdzwanianie się na numery z „normalnymi” cyframi gdzie na przykład numer z dwoma gwiazdkami na końcu, odpowiadał numerowi z dwiema trójkami.

Coś mnie tknęło i zmieniłem komórkę na abonamentową. Zamówiłem billing.

Okazało się, że zrealizowane połączenia z * i # w numerze były na bilingu, ale zamiast tych znaków... nie było nic. I tak numer dla przykładu 02283025** był wykazywany jako 02283025 czyli niekompletny.

Zacząłem robić żmudne i usilne próby, a każdy sygnał o centrali z ruchem dekadowym w kraju, łapałem jak wygłodniały wilk.

I trud nie okazał się daremny,

Odkryłem centralę K-66 w Pleszewie. Na moje oko, była to centrala robiąca także za centralę tranzytową, dla różnych starych i rzęchovatych zakładowych PABXów.

Dość, że nękana numerami ze znakami * i #, potrafiła raz na jakiś czas zgłosić się.. ciągłym sygnałem zgłoszenia! Centrala miała już zmodernizowane rejestry i przyjmowała DTMF ! Jak włąziłem na rejestr abonencki?

Jakiś problem z tranzytowaniem ruchu z tych PABXów.

Spotkałem jeszcze jedną taką K-66 w kraju, ale ona nie reagowała na DTMF, a więc była bezużyteczna.

Pleszew stał się wielkim ogromnym darmowym PBXem.

Dlaczego darmowym? Dzwoniło się pod numer w Pleszewie ze znakami * i #, czasem zastępując nawet trzy ostatnie cyfry.

Na bilingu u mojego operatora komórkowego, zapisywał się więc numer w Pleszewie składający się tylko z czterech cyfr miejscowych. Ja dostawiałem dial-tone, czyli ciągły sygnał z centrali w Pleszewie. Dzwoniłem, gdzie chciałem, nie identyfikując się dodatkowo „z przyczyn technicznych”, a więc nie wyświetliłbym się nawet na Policji poza numerem kierunkowym i trzycyfrowym numerem centrali w Pleszewie. Co ważne,

centrala w Pleszewie zgłaszała się „odebraniem” a więc nie groziła mi temporyzacja. Tam zapewne był system bilingowy, ale nie mógł przecież zapisać połączenia, a przynajmniej przypisać go mnie, bo... sygnalizacja przychodząca była także dekadowa.

A ile osób w kraju o tej czy o tej godzinie, tego i tego dnia dzwoniło na osiem tysięcy numerów w Pleszewie? Szukaj igły w stogu siana, tym bardziej że i czas połączenia nieco się różnił.

A jak to się działo że do Pleszewa, na tą ogromną, przypadkową bramę na świat, dodatkowo nikogo nie obciążającą pieniężnie, dzwoniłem za darmo?

Składałem reklamację!

Reklamację można złożyć za ostatnie 12 miesięcy.

Żeby nie spalić metody, składało się reklamację wszystkich połączeń do Pleszewa na niepełne numery. Operator musi wskazać ISTNIEJĄCY numer pod który dzwoni abonent albo nie może za połączenie pobrać pieniędzy. No bo jak to panie. Niby dzwoniłem pod numer którego nie ma i mam za to zapłacić? Próba dzwonienia z komórki na niepełny numer z bilingu, właśnie dawała komunikat o tym że „nie ma takiego numeru”.

Przez rok można było z komórki mieć za darmo cały świat...

Któregoś ciemnego wieczoru, podczas rutynowych już z Łukaszem phreakerskich patroli miasta, wpadł nam do głowy o tyleż szalony, co bardzo głupi pomysł. Pomysł był z kategorii beznadziejnie głupich, acz wynikłe z niego skutki niezwykle. I niezwykle przewrotnie pouczające, jeśli w ogóle takie skutki może mieć głupi pomysł.

Otóż stwierdziwszy, że w mieście „nic się nie dzieje”, postanowiliśmy nieco ożywić skostniałą sytuację „na odcinku łączności”.

Wymyśliliśmy bowiem, że skoro podobno w TP, leżą instrukcje „na wypadek aktów terroryzmu”, to należy sprawić aby ktoś zrobił z nich użytek.

W instrukcji, z tego co słyszałem, był rozdział pouczający personel, jak należy się zachować w trakcie „aktu terroru”, lub w wypadku „gróźb”. Należało oczywiście powiadomić przełożonych, co chyba jest logiczne nawet bez instrukcji.

Jakoś akurat w tym czasie głośno było w mediach o atakach hakerów na rządowe witryny internetowe, więc postanowiliśmy „wykorzystać koniunkturę” i zatelefonować do załogi jednego z CETów z... groźbą! Mieliśmy mianowicie poinformować, że umieściliśmy wirusa w nowej wersji oprogramowania centrali i jesteśmy w stanie zatrzymać ruch na tejże, gdyby nasze żądania nie zostały spełnione. Żądania były oczywiście mętne i denne. Było tam coś o obniżeniu opłat za dial-up do internetu, do jednej jednostki taryfikacyjnej za całe połączenie i parę innych frazesów wymyślonych na poczekaniu.

Postanowiliśmy zatelefonować z budki, a były to czasy gdy telewizja przemysłowa „prywatna” i miejska nie omiała jeszcze wszystkiego jak obecnie.

Oczywiście postanowiliśmy nie użyć karty bo domyślaliśmy się, że numer karty wraz z numerem wybieranym jest zapamiętywany w pamięci automatu i może być przesłany do centrum nadzoru. Taką przynajmniej możliwość zakładaliśmy. Organa władzy mogły później prześledzić, gdzie jeszcze taka karta była używana i dokąd z niej dzwoniono.

Jeśli używać jej przedtem czy potem prywatnie, to można dojść do osoby jej używającej, choćby przesłuchując osoby do których dzwoniono.

Posłużyliśmy się zatem jedną z metod dzwonienia za darmo, bez karty, ale już dość rozpowszechnioną. Władze niewątpliwie sprawdzą jak dzwoniono i sam fakt dzwonienia za darmo, powinien na razie potwierdzić że dzwonili „hakerzy”.

Wybraliśmy automat z którego nigdy wcześniej nie korzystaliśmy i już nigdy później nie mieliśmy zamiaru, w „neutralnej” z punktu widzenia naszego zamieszkania okolicy.

W Warszawie większość opracowanych przez nas metod szybko wyciekała do „ludności”, zwłaszcza przez Marcina z Gocławia, ponieważ był studentem. A studenci lubią dzwonić za darmo bo z kasą u nich krucho. Sami w telewizji widzieliśmy złapanych Wietnamczyków wykorzystujących naszą metodę. Marcin znał jednego Wietnamskiego studenta i przyznał, że pokazał mu metodę.

My byliśmy mózgiem. Inni użytkownikami.

Po latach, możemy z czystym sumieniem przyznać, iż w kwestii „produkcji” metod opartych na wyszukanych przez nas błędach oprogramowania automatów bądź central, byliśmy czołówką phreakerską kraju. Inni kopiowali karty, przerabiali 25 impulsowe na 100 impulsowe i wykonywali także inne pożyteczne czynności. Posiadali zasługi na polu phreakerskim i zajmowali się „działami”, których my nie ruszaliśmy. My byliśmy „bug-owcami” czyli tropicielami „bug-ów” oprogramowania, bądź konstrukcji sieci i urządzeń telekomunikacyjnych.

Tego wieczoru zadzwoniliśmy na CET Mokotów i opanowanym głosem objaśniliśmy, kim jesteśmy. Jako tajemnicza grupa hakerów – słowa „phreaker” mogli by nie zrozumieć – zażądaliśmy jak wyżej i zakończyliśmy zdaniem: „a teraz proszę według posiadanych instrukcji na tę okoliczność, zawiadomić niezwłocznie przełożonych”.

Dyżurny technik zdawał się stać przed telefonem na baczność i nie wiem czy podejrzewał „audyt czujności”, dość że prawie salutował. Potwierdzał grzecznie „tak jest” oraz „natychmiast”, nie przerywał, nie zadawał pytań i potraktował nas co najmniej jak Dyрекcję Spółki.

Odjechaliśmy z miejsca zdarzenia i o sprawie zapomniałem.

Ale sprawa żyła własnym życiem i prawo Jasia Fasoli zadziało.

Po kilku dniach w zakupionej gazecie znalazłem relację o „gigantycznej awarii telefonów na Mokotowie”. Wyjaśniano, że z niewiadomych przyczyn, przestała działać „główna centrala” obsługująca Mokotów, Ursynów i południowe przedmieścia. Swoimi źródłami dowiedziałem się, że padł... CET Mokotów!

Dziennikarze nieco nierzetelnie przedstawiali, kto, gdzie i jak nie mógł się połączyć. Wiadomym mi było, że Ursynów miał kilka Pentacont, a te miały szereg połączeń bezpośrednich i awaria CETu nie sparaliżowała dokładnie całego południa Warszawy.

W zasadzie dotknęła centrale cyfrowe TP i centrale firmowe włączone do CETu oraz samych abonentów CETu, robiącego także za centralę końcową. Dotknęła głównie abonentów instytucjonalnych w tym UOP oraz Komendę Główną Policji.

Oczywiście oni mieli swoje centrale, ale cholera wie gdzie wpięte i czy z dostatecznym

przelewem ruchu na takie okazje.

Na pewno abonenci paru central cyfrowych nie mogli dzwonić i odbierać połączeń z samego miasta i okolic. Numery alarmowe i na zero powinny działać, ale czy działały to nie wiem. CET Broniewski miał w tym czasie na przykład radiolinę do ACMM, jako łącznie rezerwowe. Samej awarii centrali by to nie zapobiegło, ale widać że próbowano jakoś dbać i przewidywano różne scenariusze. Któż wie jak podłączano tamte centrale.

Na pewno duże centrale typu Pentaconta miały połączenia wychodzące na 0 i 9 oraz w ograniczonym zakresie na inne strefowe numery Warszawskie. Na inne Pentaconty w relacjach bezpośrednich powinno móc się z nich dodzwonić, acz mogły być to relacje niesymetryczne. Na przykład oni mogli odbierać połączenia z Pentacont na północy miasta ale sami tam dzwonić nie mogli.

Czysty przypadek spowodował że „spełniliśmy groźbę”.

Sprawa zaczęła się robić gorąca.

Wiedziałem, że rozważana jest koncepcja sabotażu, tym bardziej iż nią grożono właśnie tej centrali.

Po kilku godzinach awarię usunięto, lecz następnego dnia... znów się powtórzyła.

Według gazet, centrala odmawiała pracy codziennie o 15:02 i pojawiło się zdanie, że bierze się pod uwagę „wirusa” nowo zakupionego oprogramowania.

A! Więc oni upgrade-owywali soft. Czyli mieli nowy – już dostarczony i przygotowany. Oczywiście my o tym nie wiedzieliśmy, ale właśnie tak, jak Jaś Fasola został agentem, zostaliśmy na pewno brani pod uwagę za groźnych terrorystów.

Zacząłem prawie że czuć oddech „onych” na plecach.

To już nie było zabawne. Oczywiście wierzyłem, że w razie czego dowiodę braku możliwości popełnienia czynu, ale... no właśnie. Było jeszcze coś.

Otóż kilka tygodni wcześniej TPSA odrzuciła nasze aplikacje zatrudnienia w dziale zajmującym się wykrywaniem nadużyć.

Przez przypadek, już składając papiery, dowiedziałem się, że taka komórka jest właśnie powoływana.

Długo nas zwodzono.

Chyba miesiąc czekaliśmy na spotkanie. Czyżby nas „sprawdzano”? I w jaki sposób?

W końcu do spotkania doszło. Spotkanie odbyło się w budynku przy ulicy Wolumen, w sali konferencyjnej gdzieś na piętrze.

W spotkaniu uczestniczyłem ja z Łukaszem, a nieobecny na spotkaniu, aplikował także Maciek.

Zaproszono nas do sali, gdzie siedziało około 10 osób!

Z obecnych rozpoznałem faceta przyjmującego nasze papiery i najwidoczniej pracującego w tym budynku.

Był też facet, rozpoznany przeze mnie później na zdjęciu, w gazetce TP, jako „główny

specjalista od automatów” w TP.

Było też kilka tajemniczych postaci, na kilometr pachnących „służbami”.

Była zadająca dużo pytań kobieta, która wyglądała mi na „psychologa” bo nie pytała o technikę.

Był opalony młody facet, w obcisłym podkoszulku, który ani słowem się nie odezwał, a gdy na niego patrzyłem, zmieniał punkt swej obserwacji.

Po spotkaniu obiecano, że decyzja „wkrótce zapadnie”.

Zwodzono nas kilka tygodni i w końcu facetowi z Wolumenu z gardła wyrwałem słowa, że decyzja jest negatywna.

Czyżby teraz posądzano nas o „zemstę”?

Awaria CETu mogła im fałszywie dać do zrozumienia, że możemy więcej niż możemy i nawet jeśli nie stoi za nami „wroga służba obcego mocarstwa”, to sami w sobie stanowimy organizację terrorystyczną zdolną do werbunku, kontaktów operacyjnych (gdzie? w Alcatelu?) i zaczynającą „zagrozać bezpieczeństwu Państwa”.

To wszystko razem z beczynnością policji w sprawie „usiłowania kradzieży” automatu, czy późniejsze prowokacyjne (cóż – sam też badałem) włączenie na stałe nadajnika UKF-FM nadającego w pętli płytę CD ze śpiewem ptaków i... brakiem reakcji przez 9 miesięcy, aż do chwili gdy musiałem oddać pożyczony odtwarzacz, coś mi mówiło.

Przecież ja tam musiałem zrobić niezły burdel.

Najpierw idzie taki Michał Jonakowski niby na studia na WAT, by próbować się poprzez zatrudnienie tam wkręcić do WSI. Podsluch na pewno miałem, a poglądów nigdy nie kryłem. Sam o WSI, jak wtedy całe społeczeństwo, mało wiedziałem i nie znałem tego całego komunistycznego bagna, jakie tam trwało niby po „obaleniu” komunizmu.

Potem szwędą się po mieście, prowokuje pościgi, nawet dwa razy, dzwoni na potęgę za darmo, w tym oszukuje system bilingowy, wstawiając swobodnie fałszywe numery w rekordy.

Nadaje radio, jeździ po lasach (a co w tych lasach robi? Skrzynkę kontaktową ma?). Pamiętajmy, iż w służbach w tych latach pracowali ludzie z komunistyczną przeszłością. Przewrażliwieni na punkcie prowokacji.

Taki Jonakowski zbyt się rzuca. Może ma właśnie zwracać uwagę i KTO DO CHOLERY ZA NIM STOI?

Tu mieli największy problem bo nie stał nikt, a więc nie mogli go wykryć.

Jednak mogli też być tam ludzie na serio biorący powiedzenie Dzierżyńskiego, że nie ma ludzi niewinnych, a są tylko źle przesłuchani. Skoro nie możemy znaleźć kto za nim stoi, to znaczy że stoi ktoś dobrze zakamuflowany i profesjonalny. Przecież im to wpajano. Niejeden jest po moskiewskiej (jak się dziś dowiadujemy z mediów) uczelni wojskowej.

Toż tam od służb aż się wszystko ruszało. Teraz niby w nowych czasach, mogli myśleć po staremu. Mogli naprawdę uwierzyć, że Jonakowski to nie jest zwykły młody phreaker.

Mogli sobie roić dowolne teorie, a czysty przypadek zdawał się niektóre być może potwierdzać.

Z drugiej strony, ja bym się zastanowił kto „fachowy i potężny” polecał by działać komuś z takim hukiem. Czy oni myśleli logicznie? Po co więc ten ktoś, tego młodego phreakera wystawia na pokaz?

Po co wypuścił Jonakowskiego?

Co on ma i co robi?

No właśnie nic nie ma i dziwne rzeczy robi.

Tym bardziej to niezrozumiałe, a więc tajemnicze. A służby nie lubią tajemnic. Jeśli coś oczywiście tajemnicą pozostaje dla nich.

Nadaje z samochodu muzykę na UKF? Zanalizować widmowo! Tam MUSI coś być.

I jeździć za nim do cholery. Te same trasy?

Sprawdzić!

Co po drodze!?

Ma dziewczynę? Nie ma. Czyli nie zdradza. Homo? Też nie. O dziewczynach opowiada. Czyli nie ma haka dla szantażu.

Sprawdzić wyjazdy zagraniczne.

Nie wyjeżdża? Znaczący ktoś do niego przyjeżdża! Szukać! Ruszać się!

Jak on jeździ, to co nadaje? Muzykę? Sprawdzić jak, kiedy, czy się powtarza w tych samych okolicach. Coście myśleli barany?! Taki to może tylko mijać jakiś dom. A tam ktoś słucha. O umówionej porze. Zwykłym radiem kurwa mać, jak zwykły praworządny obywatel. Rezydent! Bez podejrzeń. A ten mu nada disco-polo, znaczy wykonał. Nada techno, znaczy nie wykonał. I co? I wy byście podejrzewali tego zwykłego obywatela, co ma w domu tylko zwykłe radio? A on tu może być kluczowy! Nieposzlakowany, nie wyróżniający się oficer prowadzący. Jeździć za tym Jonakowskim. Techników mi dajcie. Podobno można z niewielkiej odległości ustalić nastawiony na daną częstotliwość odbiornik. No to do roboty! Szukać tego odbiornika!

Billingi! Wszystkie. Z automatów też! Do Norwegii dzwoni (wyjechała tam na studia moja kuzynka).

Na kampus studencki? Sprawdzić. Kampus – dobra przykrywka. Kontakt operacyjny!

I na biurko do mnie wszystko ma trafiać od razu! A wszelkie tam. A i założyć pluskwy na te automaty, z których najczęściej dzwoni. Jak się da, to podłożyć w mieszkaniu. Da się, bo sam mieszka i godzinami go nie ma. Poszukać możliwego Osobowego Źródła Informacji! Wprowadzić kogoś! Może inny niby phreaker. Dać mi tu studentów z naszej kartoteki. Który kumaty w łączności i podejmie pracę obiektową...

Tak mogło być, choć to wydaje się niedorzeczne. Nam się wydaje niedorzeczne, ale pamiętajmy, że miniony ustrój cały był niedorzeczny. A ci ludzie stanowili jego przedłużenie. Nawet jeśli w końcu doszli do wniosku, że to jest „lipa” to zanim doszli musieli COŚ robić. I zdaje się, że przez jakiś czas robili różne „coś”.

Ja sobie działałam i nie wiem, że nade mną dwie prawdopodobnie służby, a jedna to z pewnością roztacza... parasol ochronny. No bo wiedzą co robię, a nie zamykają.

Ale porzućmy domysły i zastanówmy się chwilę. Podśluch miałem na pewno.

Nie wiem tylko, czy nie podsłuchiwała nielegalnie sama TP. Mogły to być jakieś służby, zaskoczone niedziałaniem „standardowego” podsłuchu, nie dającego zniekształceń. Wobec czego improwizowali technicznie.

Sądzę jednak, że nikt nie podejrzewał mnie o kontakt z „wrogimi służbami”. Służby nie lubią hałasu, a ja hałasowałam mocno. Jeśli podejrzewali mój związek z zatrzymaniem ruchu na CET Mokotów (trudno nie brać tego po uwagę skoro kilka dni po groźbie... zostaje ona „spełniona”), to raczej chcieli sprawdzić jaki inny „fanatyk”, który hipotetycznie był ze mną w kontakcie, był zdolny wykonać coś takiego. To była robota dla hakera i zdaje się, że tylko zatrudnionego jako programista w Alcatelu... w Hiszpanii.

Cholera... moja rodzina pochodzi z Hiszpanii... Pradziadek... Jaś Fasola wysiada.

Szybko musieli dojść do słusznego wniosku, iż jest to głupi przypadek. To, że nawet na groźby i całą serię innych wyskoków, gdzie byłem na 100% zidentyfikowany (choćby ucieczka MOIM samochodem i zapisaniem przez Straż Miejską moich numerów) nie byłem próbowany „pociągania za odpowiedzialność”, może świadczyć albo o niebywałej wręcz nieudolności służb i instytucji mających czuwać u nas choćby nad przestrzeganiem prawa, lub właśnie włączały się wciąż niepewne sytuacje „wyższe” służby, każąc „zaprzestać czynności” względem obiektu... Na sto procent wykluczyć tego nie można. Była ucieczka z miejsca zdarzenia? Wyciszyć. Nie interesować się obiektem póki ktoś nie przejedzie.

Nadaje? PAR coś chce robić? Łączyć z Dyrektorem Oddziału! Absolutnie z daleka. Zostawić! To nasza sprawa.

A teraz jeszcze ta centrala. Jak oni to zrobili...

Jaś Fasola to jest Małe Miki! Tutaj po zapewne długim czasie, odkryto że ścigano swoje własne wyobrażenia.

Owszem, byłem i jestem phreakerem. Nim się być nie przestaje. To sposób myślenia i obserwacji świata. To ciągły głód wiedzy i poznania w swej ulubionej dziedzinie.

Te wszystkie zdarzenia dały mi jeden plus. Wszystkie wyskoki pozostały bezkarne, a teraz już się przedawniły...

Ale to jeszcze nie koniec historii.

Jeżdżę. Akurat straszna zadymka. Robię „swoje trasy”. Dziś przez Babice i Lipków do Izabelina i przez Mościska do domu. Za Babicami w rowie leży (któż pobieży) Żuk.

Wysiadam sprawdzić, czy ktoś nie potrzebuje pomocy. Nie ma nikogo w kabinie. Światła zapalone. Pewnie poszedł po pomoc.

Jadę powoli. Ubity, wyslizgany śnieg zdradliwie przysypyany świeżym.

Cały świat w miękkim białym puchu.

Była taka piosenka chyba Jacka Cygana. Antkowiak śpiewał: „Pada śnieg”.

Przypomniały mi się czasy, gdy byłem jeszcze nastolatkiem.

W takie jak dziś dni, Jedyńka puszczała:

„pada na stada skulonych aut, na posolony świat (...)

pada śnieg, puszysty śnieg, dziś pan Andersen cieszy się, bo wszyscy dziećmi stają się...”

Nie mam tej piosenki. Może by zdobyć i nadawać w takie dni?

Las w Lipkowie niesamowity. Karłowate sosny na skraju wąwozu, którego dołem płynie potok, uginają swe konary pod grubą warstwą śniegu. Robią się takie przytulne domki... Wracam powoli do domu.

Zadymka śnieżna przeszła w krupę śnieżną, by w końcu ta, ustąpiła miejsca małym kłującym igielkom lodu.

Smaga po twarzy, ale już dom.

Niestety wciąż ciemny i pusty.

Nikt nie czeka.

Siadam i nie zapalam światła.

Słucham jak lodowe igielki pędzone wzmagającym się wiatrem, uderzają o boczną, pozbawioną okna ścianę domu. Pokój mam narożny.

Ależ szeleści. Lodowe sopelki tłuką z wściekłością o cienką warstwę tynku, na izolacyjnym styropianie wzmagającym dźwięk.

Kupiłem pralkę. Amica. Siedzę na zydlu i patrzę jak idzie program suszenia.

Nie z ciekawości. Z samotności.

Para ulatuje z otworu w tylnej ścianie pralki. Szyby całe za mgłą.

Siedzę i ta Amica to faktycznie przyjaciółka. Mruczy przyjemnie i wypuszcza miłą, ciepłą parę. Czuję się jak w pralni, ale z kimś. Z kimś kto pierze, a ja mu towarzyszę. Siedzę z nim, by nie był sam, a on też tak jak ja, nie chce być sam.

Kolejnego Sylwestra spędziłem samotnie. Niby ludzie koło mnie, a jakby ich nie było. Leżąc wieczorem wsłuchuję się w bicie serca. Czy bije też dla kogoś? Czy gdzieś bije czyjeś dla mnie? Za ścianą u sąsiada gra radio. Sygnał czasu...

Kiedy wybije on dla mnie i czy go zdążę usłyszeć?

Z każdą sekundą z każdym uderzeniem serca oddalam się od tego co było, a zbliżam do spotkania z Nią. Ona jest. Ja to czuję.

Ty także wiesz o mnie bo myślę o Tobie!

Sekundnik zegarka tyka w mrocznym pokoju. Ani szybciej ani wolniej.

Aktualna prędkość czasu: sześćdziesiąt sekund na minutę. Nie przewiniesz życia.

Nie spowolnisz go też. Serce bije, czas umyka. Płynie wciąż tak samo.

Ale też nikt go nie powstrzyma. Wytrzymaj. Przeczekaj. Każda sekunda bliżej Ciebie.

Byle tylko Cię dojrzeć, zanim zaczniesz się oddalać. Złapać Twą dłoń i już nie puścić. Lecieć dalej już razem... Zasnąłem.

Jadę nad morze. Czyżby mnie tu coś ciągnęło?

Krynica Morska.

Dojechałem. Idę na spacer. Morskie powietrze na Warszawianku robi wrażenie, jakby wyjść z łodzi podwodnej na powietrze.

Maj. Nie ma tłoku.

Nie oprę się na widok automatu. 5ESS i nawet przekierować się da. Ale zostawiam go w spokoju.

Wyciągam telefon i dzwonię do Maćka.

- Maciek? Cześć. Jestem w Krynicy Morskiej. Zadzwoń na RASZa w Elblągu. Wyląłem na taką piaszczystą górę na mierzei i widzę zalew. Dzwoń a ja znajdę kanał.

Maciek ma klawiaturę do RASZa, a ja tylko zwykłe radio. Ale odebrać mogę.

Skaner zatrzymuje się.

Szybko wyszukuję w pamięci radia ten kanał z odpowiednim offsetem i odzywam się.

Gadamy przez sieć telefoniczną PKP.

On tam w Warszawie wchodzi radiem na nią i wybiera numer stacji radiowej RASZ w Elblągu oraz numer „pociągu”. W tym wypadku numer 0000 czyli „wywołanie ogólne”.

Zgłaszam się ja i gadamy.

- Co tam w Warszawie ?

- Nuda. Zrobiłem ten filtr teletaksy 16 kHz i tak jak radziłeś dałem wyłącznik. Pierwszy sygnał teletaksy puszcza, włącza się mikrofon i każde połączenie kosztuje tylko jeden impuls, bo potem wyłącznik przełączam. No i nawet do Japonii za jeden impuls godzinę gadałem.

- A wiesz co mi przyszło do głowy ? Przerobić tak sobie jakąś budkę. Taką co ma plastikową obudowę, na której wisi automat. Tak chyba te półkabiny mają. Ja bym zrobił pulse-dialera. Coś jak tone-dialer ale jako panaceum na to, że Tepsa przełącza linię w dekadę.

- „Pacaneum” znaczy. Hehehe.

- „Pacaneum” na tego dziada, co zawsze zapewnia że „TERAZ to już nikt nie złamie naszych zabezpieczeń” a my dalej coś odkrywamy.

- Bo to krótka koldra jest.

- No właśnie. Tu zabezpieczą, a gdzie indziej wtedy spieprzą.

- Ale co z tym pulse-dialerem?

- Pamiętasz ten automat, w którym obchodziliśmy to wysyłanie litery, bo kabelki były odizolowane i na ten czas zwieraliśmy linię?

- Pamiętam i co ?

- No i wiesz, że jak Urmet wykryje brak napięcia z linii to się rozłącza, a potem jeszcze skurczybyk melduje. Ale ten zanik musi być dostatecznie długi. Krótki go nie obchodzi. Ja bym zrobił tak. Odizolowywujesz odcinek jednej z żył. No trzeba od tyłu nocą zdjąć osłonę, ale takie ryzyko tylko raz. Potem na dwóch końcach tego odizolowanego przewodu przylutowywujesz dwa odcinki przewodu i łączysz je z kontaktronem który przylepiasz tak żeby z przodu na przykład nad automatem przez ten plastik operować magnesem. Kontaktron jest rozarty, ale ty mu przyklejasz z tyłu małą gumkę magnetyczną, taką jak mają uszczelki od lodówki, żeby zawsze był załączony. I dopiero teraz przecinasz ten odizolowany kawałek żyły.

- Rozumiem. Dla bezpieczeństwa dopiero teraz bo, teraz łączy już kontaktron.

- No właśnie. I zamykasz wszystko. Teraz w domu robisz takie urządzenie w plastikowej obudowie. Stara tarcza od telefonu, tranzystor, kilka rezystorów i cewka z rdzeniem.

No i dioda przeciw przepięciom na cewce. Tranzystor miałby rezystor na bazie polaryzujący przewodząco. Ale w stanie spoczynku tarcza zwierzała by bazę do masy. Teraz jak zakręcisz tarczą to gdy styki przerywają to właśnie wtedy tylko płynie prąd przez cewkę.

- No i co? - z echem pytał podczas przerw w nadawaniu Maciek

- Ale głosik to masz cieniutki. Te krotnice VLF w PKP się porozjeżdżały.

- A na tobie jęczą wybieraki.

Na centralach elektromechanicznych zdarzały się dziwne odgłosy. My na to mówiliśmy, że „wybieraki jęczą” i żartowaliśmy że wtedy „idzie na deszcz”.

Taki odgłos słyszeli użytkownicy centrali, gdy podczas rozmowy gdzieś na wspólnym stojaku działał wybierak podnosząco obrotowy i jego drgania przenosiły się na zaśniedziałe styki, przez które my rozmawialiśmy. Styki z czasem pokrywają się nalotem tlenków, tym bardziej gdy załączane są większe prądy i powstają miniaturowe łuki wypalające styk. Czasem wystarczy wilgoć i kurz. Taki zaśniedziały styk przewodzi ledwo co. Rezystancja tego nalotu powoduje spadek napięcia, a że styki sprężynują, to drgania mechaniczne przenoszone po konstrukcji stojaka powodowały modulację na rozmowie, o dźwięku podobnym do "strzelania" sprężynką od długopisu.

Na Strowgerach taki odgłos brzmiał jakoś tak: „tu tu tu tu tu bęę...”. Ilość tych „tu” odpowiadała cyfrze wybieranej na sąsiednim wybieraku.

Na centralach z wybierakami krzyżowymi, na przykład na Pentaconcie, ten efekt też występował, ale tu drgania przenosiły się w obrębie ramy i oddawały dźwiękowo zadziałanie i odpuszczenie drążków w wybieraku. Na Pentaconcie zatem dźwięk był zawsze taki sam i brzmiał „ta dam” czyli podwójny dźwięk zadziałania i odpuszczenia drążków. Końcówka dźwięku była też jęcząca. „Pe bę...”

- No dobra. I teraz tak. Podchodzisz do tak przygotowanej budki i dzwoniś jednym dzwonkiem z komórki. Rozłączasz i standardowo odbierasz.

- Idzie litera.

- Idzie, ale jest olewana, bo linia tylko w pulsie chodzi. Dziad myśli, że jest bezpieczny. Ty teraz przystawiasz to pudełko z tym pulse-dialerem, cewką w miejsce, gdzie po drugiej stronie jest kontaktron. Możesz sobie tam namazać coś flamastrem by trafiać.
- Aaaa... rozumiem. I kręcę tarczą przerywając obwód kontaktrona i nadaję numer. Sprytne bo bezprzewodowe jak tone-dialer.
- No właśnie. Tylko robisz długie, aż do granicy temporyzacji przerwy pomiędzy cyframi, żeby Urmet nie pomyślał że są jakieś machlojki z linią.
- Genialne. Tylko budka musi być przygotowana, ale nie ma ryzyka wpadki, że coś wybebeszasz, podłączasz się i tak dalej.
- No właśnie. Jak wykręcisz numer, to chowasz urządzenie do kieszeni i nikt uwagi nie zwróci. Stoisz przy „zwykłym” automacie i „normalnie” rozmawiasz. Nikt się nie ma prawa przyczepić.
- No to trzeba będzie to zmajstrować. „Minuta nieuwagi” i już jest.
- A wiesz, że tu na mierzei słyszać w radiu ruską telewizję? Oni tu w Kaliningradzie nadają na kanale czwartym i fonia wychodzi 91,75 MHz. Na radiu słyszę.
- To im muszą nasze nadajniki morę robić.
- Zwłaszcza na kolorze... a to SECAM jest i pewnie w czasie tropo mają na czerwono zadrapiony ekran, bo tu nasze lokalne stacje to właśnie przez nich, są tylko powyżej 92 MHz.
- Pamiętam jak w Warszawie na dolnym UKFie na 65,75 MHz, na końcu skali się odbierało TVP1, na kanale drugim.
- No to tu jest coś podobnego z kanałem czwartym, tyle że na górnym UKFie.
- A kiedyś zdaje się w Suwałkach nadawaliśmy TVP1 na kanale piątym. Wtedy fonia była na 99,75 MHz.
- I każdy kto przywiózł radio z zachodu, nie miał na UKF radia, a miał fonię TVP1.
- Teraz chyba zmienili kanał. Na 53-ci chyba.
- No na pewno zmienili. My już na niskich kanałach nie nadajemy. A tak fajnie się włążyło na fonię i robiło kawały.
- No, teraz to trzeba by co najmniej na VHF-III zrobić.
- Może się coś wystruga.
- Muszę kończyć, bo mnie matka po zakupy wygania.
- No to na razie. Ja na tym kanale będę nasłuchiwał wieczorem. Po dziewiętnastej. To zadzwoń do mnie. Wyjdę sobie na zachód słońca i w ogóle nacieszyć się morzem.
- Dobra. To na razie – pożegnał się Maciek i kanał zamknął się z melodyjką selektywnego wywołania.

Poszedłem na plażę.

Telekomunikacja Polska wyciągała wnioski z naszych wniosków.

Wszystkie automaty srebrne, przełączała z linii Pentacont czy E-10A, na S-12, EWSD czy 5ESS, które „rozumiały” literę zabezpieczającą, wprowadzoną przez Urmeta.

Inne grupy phreakerskie w kraju, podmieniały układy scalone EPROM w niebieskich automatach, więc TPSA zaczęła je wycofywać, jak też karty magnetyczne zaczęła zastępować chipowymi. Te magnetyczne, które jeszcze wychodziły, miały tylko nominal 25 impulsów.

Inne grupy phreakerskie odkryły, że ilość sygnałów „pozostałych do wykorzystania jednostek” nie różni się zapisem w kartach różnych nominalów. Różniła się tylko czołówka zapisu, identyfikująca nominal karty. Wobec przerabiania kart 25 impulsowych na wyższe, za pomocą urządzeń skonstruowanych ze skradzionych części z automatów, TPSA pozostawiła tylko karty 25 impulsów i tak zaprogramowała aparaty i centra autoryzacji, że karty innych nominalów wsadzone w czytnik, były od razu kasowane.

Nie wiem czemu, ale kupiłem dwa nowiutkie radiotelefony ręczne Yaesu VX-110.

Co i rusz coś sprzedawałem i kupowałem, a te dwa radia to chyba dla mnie i kogoś z kim będę ganiał po lasach. Bardzo mi się te radia podobały. Co prawda nie miały pełnej klawiatury numerycznej, ale można było zaprogramować kręcąc gałką i naciskając klawisze uproszczonej klawiatury, numery DTMF, wybierane później z pamięci za jednym naciśnięciem przycisku. Radia miały dobrą cenę, kupiłem je nowe, ze sklepu, na gwarancji. Co stanowiło różnicę na plus w stosunku do poprzednio posiadanych radiotelefonów, zachowywały przyzwoitą moc i czułość w całym zakresie 136-174 MHz, czyli daleko poza pasmem amatorskim.

Któregoś razu, zupełnie przypadkowo podczas podniesionej słuchawki w srebrnym Urmecie, wcisnąłem nadawanie w obu radiotelefonach, ustawionych na ten sam kanał. Częstotliwości w obu sztukach różniły się minimalnie i nagle w słuchawce mimo wyłączonego mikrofonu usłyszałem pasożytniczą demodulację zdudnienia dwóch sygnałów, tworzących razem sygnał zmodulowany amplitudowo, a więc zdolny powodować takie akustyczne demodulacje.

Sprawdziłem jeszcze raz. Mikrofon wyłączony, a demodulacja idzie.

Radia miały po 5 Wat. Powodowały razem coś podobnego, do efektu telefonu komórkowego, położonego zbyt blisko głośników komputerowych, co przy nadawaniu aparatu, daje brzęczenie w głośnikach. Zna to zapewne każdy z Was.

Szybko pomyślałem, że silny nadajnik AM, mógłby zastąpić wyłączony mikrofon.

A może przeszły by sygnały DTMF? Taki radiowy biper?

Zadzwoiłem do Maćka.

Zaczęliśmy się razem zastanawiać.

- No widzisz. Kupić ręczniaka CB za grosze. On nadaje w AMie. Zrobić klawiaturę.
- A może by zakłócić teletaksę... Gdzieś tak 15996 Hz i może się „odczuli”, albo literę...

- Tak! Ryknąłem w słuchawkę. Maciek! Świetny pomysł. Zakłóćmy LITERĘ!
- Co ?
- Entry-call i idzie litera. Wystarczy jakiś nawet nieliniowo włączący w bebechy aparatu AM i zakłócić literę. Wiesz, żeby jej centrala nie zrozumiała! Kapujesz? Pamiętasz jaka S-12-ka jest wrażliwa na zakłócenia w DTMF.
- Czekaj, czekaj. To dobra myśl.
- Nie, nie. Nie czekaj. Ja tu mam dwa „efemowe” radia, ale się zdudniają. Zaraz, dodatkowe cztery ręce by mi się przydały. Muszę zadzwonić jednym dzwonkiem, potem rozłączyć, odebrać, wcisnąć oba radia na nadawanie jednocześnie. Jak litera przejdzie niezrozumiała, to komórkę przytknąć do mikrofonu , bo bipera sprzedałem i zadzwonić do ciebie.
- To próbuj.
- Rozłączam się i czekaj.

Rąk mi brakowało.

W końcu jednak udało mi się puścić „strzałkę” na budkę, rozłączyć, złapać zsuwającą się po pochyłej złośliwie półce komórkę, wcisnąć na czas dwa przyciski nadawania.

Poszła litera... JEST! Jest dalej sygnał! Centrala nie zdekodowała litery, wobec pisku i churgotu na linii. Włączyłem bowiem wcześniej w obu radiach DCS, aby dziewiącą jeszcze jeździły.

Teraz szybko komórką. Ostrożnie! Między pik-pokami.

Sygnał, sygnał...

- Halo.
- Jestem! Działa! Hahahahaha! Znowu jesteśmy górą! Dziad od automatów może się udławić. Najlepiej włązi w automat, gdy antenę trzymać przy metalowej osłonie kabla słuchawkowego. Pewnie przewodami wkładki słuchawkowej włązi do środka, a potem to już po ścieżkach robi sieczkę.
- No niesamowite. Czekaj. Ja tu mam jakiegoś starego ręczniaka CB w AMie.
- Dobuduj mu mutiwibrator. I przesteruj maksymalnie. Niech to będzie wymodulowane prostokątem w 100%!
- Zaraz polutuję i pójde pod sklep.

Pobiegłem do domu w podskokach i gdy tylko zrzuciłem ubranie, zadzwonił Maciek.

- Ty, masz rację, Ale jaja. Działa idealnie. No to ja sobie cały wieczór w tej budce spędzę...

TPSA jednak zmagala się ze zwykłym pajęczarstwem w automatach, do którego my się nie zniżaliśmy. Nie wpinaliśmy się domowym aparatem w linię automatu, a już na pewno nie w linię prywatnych abonentów.

Jednak wielu wygadało zbyt wiele impulsów, wpinając się w linię budek i TPSA zamontowała zdaje się „autorski” projekt „dziada”, czyli DRO.

Układ nadzoru linii.

Układ ten, tak bardzo pilnował linii, że sam często rozłączał legalne rozmowy, a płytki DRO często się psuły, wyłączając automat w ogóle z użycia.

Ja jednak postanowiłem coś z tym DRO zrobić.

Miałem już swoje radia.

Entry-call już w grę nie wchodziła. Podczas rozmowy przychodzącej, płytka DRO na centrali pilnowała, czy na linii nie pojawi się DTMF. Gdy się pojawił, nawet wysłany przypadkowo przez rozmówcę, który nacisnął u siebie w domu brodą klawisz na klawiaturze telefonu bezprzewodowego, to płytka DRO od razu rozmowę rozłączała. Pozostawało walczyć o jeden darmowy impuls z numerem „bezpłatnym”.

Zacząłem walkę.

W końcu przyszły efekty, ale trzeba było nabrać wprawy i refleksu.

Płytki DRO i zmienione oprogramowanie powodowały, że po pierwszej wysłanej cyfrze, na przykład 9 (czy dowolnej innej – tutaj numer miał być darmowy) następowała przerwa i płytki wymieniały między sobą serię impulsów w okolicy 12 kHz bo słychać je było wyraźnie. Czy to było 12 kHz czy inna częstotliwość, trudno mi określić. Nie badałem tego, bo nie miałem czym. Do tego „amatorska” prawie konstrukcja powodowała, że często tu właśnie automat podczas legalnej próby wybrania numeru się „wykrzaczał”.

Następowała seria stuków i dopiero po chwili szła druga cyfra, a następne w znacznych odstępach z seriami impulsów nadawanych z centrali i odpowiedziami z automatu "że to automat" a nie wpięty inny aparat.

Postanowiłem wybrać 999 i selektywnie zagłuszać radiami tylko wtedy, gdy będą szły cyfry DTMF.

Udało się. Poszła pierwsza zagłuszona dziewiątka a następnie zastukało DRO. Bałem się o temporyzację i zagłuszałem następne cyfry tylko w czasie ich nadawania. Zdążyłem w ostatniej chwili. DRO opóźniało wysyłanie cyfr, ale nadal w srebrnych Urmetach po bezpłatnym numerze alarmowym, można było nabijać z klawiatury dowolne cyfry.

Po trzeciej dziewiątce szybko wcisnąłem pierwszą cyfrę numeru lokalnego i modliłem się o cierpliwość temporyzacji.

Udało się. Weszła pierwsza cyfra, a na centrali cyfrowej to oznacza wyzerowanie czasu temporyzacji. Teraz spokojnie dobijałem nowe cyfry a DRO powoli je nadawało.

Po chwili uzyskałem połączenie.

Choć na jeden darmowy impuls, ale „autorski” projekt „specjalisty” operatora został pokonany.

Teraz wystarczyło kupić JEDNO tanie, ręczne radio CB i dodać mu prosty multiwibrator, by operacja dzwonienia ze srebrnych Urmetów była prosta. Tam gdzie DRO nie było – bez ograniczeń, a tam gdzie było – na jeden impuls. Urmet poległ na całej linii ze swą literą zabezpieczającą.

No dobra – zdradzę Wam. Ta metoda wciąż działa. Srebrnych Urmetów pozostał

znikomy procent, ale sędzę że po ukazaniu się tej książki, zostaną szybko zastąpione żółtymi eXanto.

Aby zadzwonić trzeba mieć dwa radia FMowe lub jednego ręczniaka CB z multiwibratorem zamiast mikrofonu. No chyba, że kolega będzie ryczał do mikrofonu w tym czasie...

TPSA o tej metodzie wie. Opublikowałem ją kiedyś w internecie. To, że TPSA niewiele robiła w tej sprawie to fakt, że do użycia tej metody potrzebny był „specjalistyczny” sprzęt. Widać uznali, że koszt wymiany wszystkich srebrnych Urmetów, czy przełączenia ich linii w pracę tylko dekadową, jest wyższy niż spodziewane straty. Choć znałem jedną osobę, która zacięcie z tej metody korzystała codziennie.

Znów pracuję. Zatrudniłem się w Warszawskiej Telewizji Kablowej „PORION”. Mam nawet blisko. Od domu przez park, koło przedszkola i już jestem przy pętli 19-ki. Potem na drugą stronę Broniewskiego i 100 metrów dalej, na Jarzębskiego stoi niebieski, obity blachą pawilon. W późniejszych czasach sieć Porionu kupi Aster. Porion nadaje swój kablowy kanał lokalny. To w tym „pionie” się zatrudniłem na umowę o dzieło. Takie już były czasy. Pracodawca wpisywał fikcyjny cel „dzieła”, by uniknąć ZUSu.

A i tak udało mi się tylko dlatego, że gdy w czasach technikum załatwiłem tu sobie nieodpłatne praktyki (nasza szkoła nie zamierzała płacić firmom, a firmy nam) to razem ze mną, tego samego dnia, przyszedł tu do pracy pewien redaktor. Bardzo miły człowiek, który pracował wcześniej w TVP. Przydzielili więc nas razem do siebie. Dwóch „nowych”, jako dodatkowa ekipa. Potrafiłem posługiwać się kamerą, prawidłowo kadrować, więc robiłem za kamerzystę, a nowy redaktor za prezentera materiałów z terenu.

Popołudniami montowaliśmy nasze materiały na półprofesjonalnych magnetowidach, a wieczorem szły one w lokalnych wiadomościach zwanych „Okiem Reportera”.

Tak się zdarzyło, że gdy przyszedłem szukać pracy, ten dawny zahukany redaktor, przydzielony do „praktykanta”, z którym szybko znalazł wspólny język, okazał się... dyrektorem stacji. Nie trwało więc pięciu minut, gdy sekretariat dostał polecenie: wystawić umowę o dzieło.

W czasie mojej kilkumiesięcznej pracy, znajomy redaktor poszedł jednak w odstawkę, a mnie zaczęto „używać” jako „pomocnika techników”.

Robiłem co kazali. Raz stałem za kamerą w czasie audycji na żywo, raz bywałem w terenie, a najczęściej robiłem za kierowcę.

Wtedy też przełączono abonentów Bielany ze Strowgerów Bielany I i Bielany II stojących przy ulicy Przybyszewskiego, do centrali 5ESS stojącej na rogu Wólczyńskiej i ulicy Wolumen.

Potrafiłem szukać odzewników. Odzewnik to taki „automatyczny abonent”, który dla celów badaniowych ma odebrać połączenie. Kiedyś pewna osoba powiedziała mi, że na warszawskich centralach odzewniki z reguły mają dwie ostatnie cyfry 99. Łatwo zatem było znaleźć odzewnik na dowolnej centrali bo oznaczało to... tylko sto prób. Trzeba było sprawdzić wszystkie dwie cyfry - tysiąc i setkę. Po paru próbach zauważyłem, że odzewniki w większości wypadków umieszczano na zerowym tysiącu, wobec czego ilość prób ograniczała się do dziesięciu. To już można wykonać szybko. Odzewnik ze

strowgera o numerze 34-02-99 zamienił się w odzewnik 5ESS 834-02-99.

Nawet miałem na bilingu fajną sytuację. Nową centralę uruchomiono parę dni wcześniej, niż przełączono na nią abonentów.

Na nowej centrali na razie tylko pod dwoma numerami „ktoś” odbierał.

Była to obsługa centrali pod numerem 834-20-76 i odzewnik pod 834-02-99.

Oczywiście działała jeszcze stara centrala i zaraz po krótkich połączeniach na te dwa numery zadzwoniłem pod 34-20-76 i 34-02-99. Na bilingu wyglądało to śmiesznie, bo dzwoniono na „nieistniejące” numery wcześniej niż na te, które miały mieć dodaną ósemkę z przodu. Wglądało to jakby tych dwóch „abonentów” i przełączono i nie przełączono.

A stara i nowa centrala działały równolegle.

Gdy już proces przełączania się zakończył, dość szybko zorientowałem się, że odzewnik 5ESS gdy zadzwonić nań z innych central, zgłasza się normalnie. Piszczy kilka sekund i rozłącza się w tył, jak urządzenie ISDN (analogowa linia abonenta B nie pozwala na takie natychmiastowe rozłączenie).

Nic nie było w tym dziwnego. Odzewnik był integralną częścią w pełni cyfrowej centrali i nawet realizowany był pewnie software-owo.

Ciekawostką okazało się to, co działo się, gdy na numer odzewnika dzwonić z tej właśnie centrali, na której on był. Zgłaszał się ale „bez zaliczania”. Automaty podpięte do tej 5ESS nie dostawały teletaksy, a po piszczeniu pojawiał się dial-tone reagujący na DTMF. Ale taką właściwość miały tylko odzewniki na 5ESS, gdy dzwonić na nie z innego numeru, tej samej 5ESS.

Można było dalej dzwonić gdzie się chciało. W automatach na niewiele się to przydało. Nawet „czarnej listy” nie można było obejść, bo przy numerach strefowych automat przyjmował tylko siedem cyfr. Mikrofon był wyłączony.

Szybko zrobiłem próbę u babci, mającej linię z tej centrali i zamówiłem jednorazowy billing aby zobaczyć co będzie.

Nic. Wybrany po piszczeniu numer wyglądał jak nowe połączenie.

Ale... Porion miał centralkę firmową umożliwiającą dzwonienie z wystawionego na ladzie w recepcji aparatu. Można było dzwonić na miasto. Aparat nie pozwalał jednak na dzwonienie na numery zaczynające się od zera. Można było dzwonić tylko lokalnie.

I tu przydał się odzewnik, bo linia centralki włączona była do tej właśnie 5ESS.

Dzwoniłem na miasto lokalnie - na odzewnik. Pierwsza cyfra była ósemką więc centralka puszczała połączenie. Po rozłączeniu odzewnika znów pojawiał się sygnał ciągły i można było dzwonić gdzie się chciało.

Swego czasu na zupełnie innej 5ESS, na której odzewnika nie było, a indagowana na tę okoliczność załoga, zeznała że wie o co chodzi, ale odzewnika nie wykreowano, też była w pewnej firmie centralka, umożliwiająca dzwonienie „na miasto” ale tylko lokalnie. Poprosiłem więc pewną osobę, mającą w domu linię z tej 5ESS oraz komputer z dostępem do internetu, o użyczenie mi na kilka godzin linii tego wyposażenia.

Teraz to idea była pierwsza i szło o jej sprawdzenie w praktyce.

Otóż jak wiedziałem, centrala S-12 była bardzo wybredna jeśli chodzi o parametry sygnału DTMF. 5ESS była zawsze pod tym kątem przeraźliwie tolerancyjna.

Tak? No to to wykorzystamy.

Ściągnąłem na peceta oprogramowanie, umożliwiające generowanie dowolnych tonów w ilości do kilku jednocześnie.

Zacząłem generować tony odpowiadające częstotliwościom składowym cyfry 0 w DTMF. Przykładałem mikrofon telefonu do głośnika, i sprawdzałem, czy centrala łapie cyfrę.

Teraz zacząłem odchyłać częstotliwości składowe zera co jeden herc i patrzyłem kiedy w końcu centrala nie rozpozna cyfry.

Składowe zmniejszałem, zwiększałem, dokonywałem różnych konfiguracji.

Doszedłem do pewnych wartości, przy których centrala przestawała reagować.

Cofnąłem nieco częstotliwości w kierunku wartości wzorcowych, aby zachować margines bezpieczeństwa i tak zniekształcone cyfry zero, nagrałem wyjściem słuchawkowym na dyktafon. Nagrywałem kablem aby zachować jakość.

Kaseta miała być odtwarzana na tym samym dyktafonie, aby zachować te same unikalne właściwości mechanizmu i głowicy.

Zapisałem kilka zniekształconych wersji cyfry zero. I odtworzyłem je. Za każdym razem centrala łapała cyfrę a ja przed każdym „zerem” zapisałem na taśmie słownie, zapowiedź jak bardzo odchyłona jest która ze składowych częstotliwości.

Z tak przygotowaną taśmą udałem się do firmy z centralką.

Podniosłem słuchawkę i wybrałem cyfrę 9 wyjścia na miasto. Uzyskałem sygnał centrali miejskiej. Wybrałem na aparacie cyfrę zero i centralka natychmiast rozłączyła.

No to inaczej. Przegotowałem dyktafon i wybrałem znów cyfrę 9 na miasto.

Uzyskałem sygnał centrali miejskiej. Teraz wcisnąłem play mając nadzieję, że cyfra zero zostanie rozpoznana przez centralę miejską, ale będzie już zbyt różnić się od oryginału dla centralki firmowej.

I udało się! Dostałem „burczący” drugi sygnał zgłoszenia.

Mogłem dzwonić na komórki, międzymiastowo, 0-700 czy za granicę.

Oczywiście można było korzystać z klawiatury aparatu.

Dla każdego operatora czy władzy, bardzo niebezpieczny jest „cierpliwy szperacz w numeracji”.

Usiadł taki do aparatu i godzinami eliminując pewne ciągi cyfr, drogą wiedzy i uzyskiwanych komunikatów, doprowadza do znalezienia wykreowanych, a ukrytych numerów, zwłaszcza gdy nie są to standardowe pojedyncze numery abonenckie.

Zwykle tacy szperacze odkrywają nieudokumentowane usługi, czy tajne numery dla służb technicznych bądź państwowych, a numery te stwarzają określone korzyści.

Ja również spędziłem wiele godzin przy aparacie, cierpliwie wystukując cyfry.

Założmy że jest rok 1999. Są jeszcze numery lokalne i wybiera się je bez własnego kierunkowego.

Powiedzmy, że jest się w niedużej strefie numeracyjnej, gdzie wszystkie numery TPSA właśnie ujednolicono do postaci siedmiocyfrowej i wszystkie zaczynają się na osiem.

Inni operatorzy jeszcze tu nie zawitali.

Zatem poza cyframi osiem, dziewięć i zero, każda inna jako pierwsza, powinna dawać komunikat „nie ma takiego numeru”.

Powiedzmy że jednak jest inaczej. Odkrywamy, że także po wybraniu cyfry siedem jest cisza.

Numerów zaczynających się na siedem, w tej strefie być nie powinno.

Zatem wybieramy siedem i zero. Dostajemy „nie ma takiego numeru”.

Eliminujemy więc 70 i próbujemy 71. To samo.

Okazuje się, że po każdej cyfrze siedem i dodatkowej innej niż cztery mamy „nie ma takiego numeru”. Po 74 jest cisza.

Badamy zatem dalej 74.

74 0.....Nie ma takiego numeru...

74 1.....Nie ma takiego numeru...

742.... O! Ciągły sygnał. Można wybierać cyfry bo po każdej wbitej cyfrze jest cisza ale... przyjmuje jeszcze siedem cyfr i po każdym numerze zajęte.

No to wbijamy 742, a potem nasz siedmiocyfrowy numer. Centrala daje znów ciągły sygnał ale nic nie da się wybrać.

Odkładamy słuchawkę i...

Tak ! Centrala oddzwania.

Znaleźliśmy właśnie metodą eliminacji, numer techniczny do sprawdzania linii i dzwonka aparatu.

To tylko przykład i to na bardzo proste szukanie. Tą metodą eliminacji, można wyszukiwać ukryte, a wykreowane zakresy numeracji, na przykład dla jakiś służbowych numerów dostępowych i wcale nie musi chodzić o operatora. Szperacze, posługują się spisem central i szukają tego... czego brakuje.

Nowo znaleziony numer testowy?

Może jak 974 na S-12, da się użyć tego do oszukania automatu? To tylko jeden z celów, dla których phreaker spędza nieraz wiele godzin przy swym domowym aparacie stacjonarnym. Do żadnego połączenia nie dochodzi (nikt nie odbiera) więc rachunek nie rośnie. Rośnie tylko zasób wiedzy.

Podane wyżej cyfry są przykładowe.

Chodzi o sposób szukania i eliminowania wielu milionów kombinacji, bez czego nic by

nie udało się znaleźć.

Dla porządku sprawdzamy jeszcze inne 74 i może znajdziemy na przykład odpowiedniki usług dodatkowych, dostępnych tonowo z wykorzystaniem znaków * i #.

Automaty czy pewne centrali firmowe, nie dają wybrać jako pierwszy, znaku * lub #. Dlatego alternatywne kody usług, dostępne także dla wybierania dekadowego, mogą kryć się pod przykładową numeracją 74...

Swego czasu taka sytuacja występowała na centrali DGT 3450.

Można było nawet dekadowo aktywować przekierowania.

Co to oznacza z punktu widzenia centrerek firmowych i hotelowych nie muszę chyba tłumaczyć.

Szukać w numeracji można różnych rzeczy i wiele udawało się znaleźć.

Swego czasu uruchomiono wybieranie przez prefiks i wybranie prefiksu było konieczne aby zrealizować połączenie międzystrefowe. Preselekcji wówczas nie było, a domyślnie dostępne były dwa prefiksy: 1033 dla TPSA oraz 1044 dla NOM. Po podpisaniu umów dostępne były jeszcze 1055 dla Netii i 1066 dla Energisu.

Aby zadzwonić międzymiastowo, trzeba było wybrać albo 1033, do czego namawiała TPSA w reklamach, stylizowanych na oficjalny komunikat o zmianie sposobu wybierania numerów, albo co masowo czynili abonenci głosując tak przeciw polityce TPSA, prefiks 1044.

Rozmowy lokalne, międzynarodowe, komórkowe czy inne, nie były tak „uwolnione”.

Pech operatora chciał, że przeskanowałem wszystkie 0-10xx.

Odnalazłem jeden z nieprzydzielonych oficjalnie przez URTiP prefiksów, dostępny dla każdego z mojej centrali i dający możliwość dzwonienia międzymiastowo.

Prefiks na pewno nie był nikomu przydzielony.

Podejrzywałem obsługę centrali o aktywację „lewego” prefiksu, pozwalającego na darmowe rozmowy międzymiastowe, na własny użytek.

I tak zdaje się było.

Wykonałem kilka połączeń i poczekałem na billing.

Połączeń na billingu nie było, bo odrzucał je postprocessing jako „realizowane przez innego operatora”. Po zerze znalazł cyfry 10xx inne niż 1033.

Z zachowania centrali wywnioskowałem, że połączenia realizuje TPSA i prefiks działa jak 1033, ale z oczywistych względów rozmowy są bezpłatne.

Prefiks podziałał ładnych kilka miesięcy i zapewnił mi tym samym kilka miesięcy darmowych rozmów, za które rachunku nigdy nie wystawiono. Bo nawet z formalnego punktu widzenia byłoby to niemożliwe, skoro abonent wybiera inny prefiks niż przydzielony przez władze dla TPSA. Wybierając inny „czynny” prefiks, abonent miał prawo oczekiwać jedynie rachunku od „innego” operatora, a takiego szachrajstwa TPSA zrobić by nie mogła. Przecież prefiks jeszcze nikomu nie był przydzielony. NIKT nie miał prawa wystawić rachunku. Oczywiście można było spodziewać się czepiania Tepsy, że

to ona zrealizowała usługę i że ja się bezpodstawnie wzbogaciłem, ale żądanie zapłaty, przypominało by sytuację żądania opłaty za dostarczoną i zjedzoną pizzę, zamówioną w firmie X a opłaty żądała by firma Y, która by przez pomyłkę takie zlecenie zrealizowała.

Nie można żądać opłaty, nawet za realizowane usługi jeśli klient jest przekonany że zamawia je w innej firmie. Nie zachodzi tu bezpodstawne wzbogacenie, bo wybranie prefiksu innego niż 1033 wyraźnie wskazuje, że klient NIE CHCIAŁ aby TPSA tę rozmowę realizowała.

Skoro jednak ją zrealizowała wbrew woli abonenta wyrażonej wybranymi cyframi, to jej strata. Oczywiście nigdy TPSA nie próbowała wyciągnąć ode mnie pieniędzy, a ja z prefiksu korzystałem normalnie, gdy miałem gdzieś międzymiastowo zadzwonić. Nie wisiąłem na słuchawce byle nakorzystać.

Po prostu nie będąc pewny końca sprawy, gdy miałem zadzwonić międzymiastowo to dzwoniłem tak, żeby dawało to nadzieję na darmową rozmowę. Gdyby okazała się płatna – trudno.

Rozmowy okazały się jednak bezpłatne, ale po kilku miesiącach przestały działać.

Szperacze i ogólnie phreakerzy muszą jednak wykazywać czujność.

Tak samo jak hakerzy, mogą być przecież obserwowani, podczas buszowania w obcym systemie.

Pewnego razu, odkryłem podczas „rutynowego” przeczesywania numeracji, że numery 0-800, a więc bezpłatne, mają nową czwartą cyfrę. Mianowicie mimo braku figurowania w tablicach numeracji, dostępnych na stronach internetowych regulatora, pojawiła się nowo otwarta numeracja 0-8000. Czwartą cyfrą było zero.

Długo nie mogłem znaleźć czynnego tam numeru, aż w końcu znalazłem jeden, pod którym automatyczny system obsługi głosowo-tonowej odbierał połączenia i bezceremonialnie ogłaszał: „podaj swój numer PIN”.

Nie byłbym sobą, gdybym nie wklepywał różnych „częstych” numerów w stylu 1234 i tym podobnych.

Dwa razy system powtórzył, że PIN jest błędny. Za trzecim razem, system dość głupio podpowiedział innym komunikatem: „podaj swój dwunastocyfrowy numer PIN”.

Przeraziłem się, ale tylko na chwilę. Dwanaście cyfr !

Przecież ten numer od razu śmierdzi jakimś systemem rozmów na zdrapki, na nieoficjalnych testach.

Nieoficjalne testy! Czyli testuje ograniczony krąg wtajemniczonych techników!

Jak zapamiętać dwunastocyfrowy PIN? Musi być łatwy na przykład dwanaście jedynek. Nie przyjęło... Chwileczkę. DWANAŚCIE. Sama liczba dwanaście powtarzana... no to trzeba by ją powtórzyć sześć razy, bo ma dwie cyfry. Czyli 121212121212.

Chwila ciszy i nagle sezam otworzył się słowami „podaj numer docelowy abonenta”. Wybrałem numer do pracy mojej matki, chwilę wahając się, w jakiej podać formie. Zdecydowałem na kierunkowy ale bez zera i numer lokalny.

Poszło.

Sygnal, sygnał...

- Halo.
- Cześć mamó! Wiesz jak dzwonię? Za darmo. Wyobraź sobie, że zламаłem system.
- Jaki system?
- A taki jeden. A co u ciebie słysząc?
- A siedzę sobie, ale klientów nie ma, więc szperam po internecie. A wiesz, przypomniało mi się. Wujek Leszek ma do ciebie sprawę. Kupił nowe mieszkanie i tam nie ma kablówki. Ma do ciebie prośbę, abys mu doradził jak tam odbierać najtańszym kosztem podstawowe programy.

Jak nie raz już w życiu, poczułem znajome przeczucie.

Nie potrafię tego określić.

Wyczuję że coś jest nie tak, gdy wszystko wygląda normalnie.

Zagrożenie, nawet niewielkie, wywietrzę na kilometr.

- Wiesz co mamó? Zadzwońię do ciebie normalnie. I zaraz mi wytłumaczysz czego chce wujek Leszek.

Skończyliśmy rozmowę i zabrałem się za jakieś prace porządkowe w domu, gdy nagle zadzwonił telefon.

Po drugiej stronie słuchawki była wystraszona moja mama.

- Słuchaj! Dzwonił do mnie przed chwilą jakiś facet. Z jakiejś firmy. Mówił, że ma nagraną naszą rozmowę i żądał abym mu podała kim ty jesteś i jaki jest twój numer telefonu. Oczywiście nie podałam. Groził policją, ale wiesz że im mnie ktoś bardziej naciska, tym bardziej się zapieram. Powiedziałam mu, że proponuję inne wyjście.

Niech on poda swój numer, a ja zapiszę i podam tobie. Ty zadecydujesz czy do niego dzwonić. Podobno, jeśli nie zadzwonisz w ciągu pół godziny, to on zgłasza sprawę na policję. On bardzo chce wiedzieć jak zламаłeś ich „system nie do złamania”.

- Dobra mamó, podaj ten numer – nie chciałem dalej wciągać mamę w tę sprawę.

Później do ciebie oddzwonię.

Trzymałem zapisany numer telefonu.

Policji się nie bałem. W końcu każdy może dzwonić pod dowolny numer i wciskać dowolne klawisze. Trudno tu mówić o „wyrafinowanym przestępstwie”.

„Haker” zadzwonił do firmy i zламаł dwunastocyfrowy kod dostępu... Jak z taniej sensacji. Ale zadzwonię, bo mnie ten burak straszący moją matkę wkurza.

Co to za admin, który nie ma nawet CIDA w logach. A mój numer nawet nie ma CLIRu , nie jest zastrzeżony i wszędzie się wyświetla.

Co oni tam mają za sygnalizację?

To już nawet na Pentacontach CID po R2 nasi zrobili. Ale taki operator i R2?

Zadzwonię i go wyśmieję.

Zadzwonię.

Odebrał jakiś facet, który okazał się administratorem „systemu telefonii pre-paid”.

No to ja gratuluję personelu tej firmie...

Jak ja bym miał administrować podobnym systemem, to zadbałbym by system i łącze pozwalało na identyfikację numeru dzwoniącego i ZEBY TO SIĘ DO CHOLERY LOGOWAŁO, mimo nawet zastrzeżonych numerów. W końcu na pewno ma dostęp do sygnalizacji SS7, bo przedstawił się, że w dużej firmie pracuje. A to powinno mu dawać dostęp do CLIRO... no w ogóle żenada.

- A jak pan złamał nasz kod testowy?

- Ja go nie złamałem. Ja się go domyśliłem, bo jest dziecinnie prosty – dobieierałem słowa na wypadek rejestracji także tej rozmowy.

Czyli mówię, że niczego nie „łamałem”. A domyślać się wolno. Stukać w klawisze telefonu także. Mój telefon ma homologację i za co mnie tu karać?

Facet wił się w wyjaśnieniach i pytał jak się nazywa taka metoda zgadywania.

- Brute force.

- Jak?

- Wpisujesz na pałę!

- Acha.

- Myślę, że teraz lepiej państwo zabezpieczą swój system na testach. Takich jak ja, jest więcej, a nie wszyscy mają skrupuły...

Gdy moja centrala była jeszcze zupełnie przyzwoitą, ludzką Pentacontą zauważyłem, że przy darmofonowym odbieraniu połączeń, ale tylko gdy połączenie przychodzi z ACMM, czyli dzwonił ktoś z komórki, innej strefy numeracyjnej czy z za granicy, to czasem raz na jakiś czas, darmofon oczywiście odbiera rozmowę, ale nie znika cichutkie brzęczenie, które było słychać w słuchawce w trybie darmofonowym podczas braku połączenia.

Gdy rozmawiałem długo z Łukaszem i zdarzyła się taka sytuacja, postanowiłem wycisnąć przycisk isostatu i zobaczyć co się stanie. Okazało się, że Łukasz był nadal, stracił darmowość rozmowy od tego momentu, co naturalne, ale na nim odezwał się ciągły sygnał zgłoszenia mojej centrali. Postanowiłem korzystając z wybierania tonowego zadzwonić do Bartka.

Bartek odebrał i tak na centrali elektromechanicznej na której połączenia trójstronne czy „telekonferencje” zdarzały się jedynie w czasie awarii i łączyły przypadkowych abonentów, tu Pentaconta zyskała nową funkcjonalność. Mogłem zestawiać połączenie trójstronne z celowo dobranymi abonentami. Z czasem zauważyłem, że gdy trafię na tak uszkodzoną translację przychodzącą z ACMM, że nie cechuje odpowiedniej żyły potencjałem oznaczającym abonenta zajętego, mogę robić inaczej.

Mogę przyjąć dwa darmowe połączenia przychodzące. Oczywiście ograniczała nas

temporyzacja, ale można było z niej zrezygnować, rezygnując także z darmowości rozmowy. Jedna z osób, która wpadła akurat po którymś tam redialu, na tą uszkodzoną translację, dawała na przykład innym środkiem łączności „cynk”, aby ta druga osoba zadzwoniła do mnie i było nas troje na linii. Ta druga osoba mogła dzwonić skądkolwiek. Nie musiała „przyjść” z ACMM.

Gdy rozmówcy się zgadzali, to wyłączałem darmofon i tak gadaliśmy we troje.

Oni płacili za połączenie do mnie, ale ja nic nie płaciłem bo obie rozmowy były przychodzące. Takiej sztuki to nawet nie wszystkie cyfrowe centrale dziś potrafią.

I tak Alcatel S-12J może połączyć trójstronnie tylko z wychodzącymi połączeniami.

Lucent 5ESS może mieć oba wychodzące, albo jedno wychodzące i jedno przychodzące. Obecny software tych central nie umożliwia tego co miałem ja: dwóch rozmów przychodzących i mnie trzeciego. Nie wiem jak ta sprawa wygląda na centralach Siemens EWSD, Alcatel OCB czy centralach z rodziny DGT.

Podobno na którejś z nich, są możliwe dwie rozmowy przychodzące w konferencji z abonentem tej centrali.

Darmofon zyskiwał nowe funkcjonalności.

Któregoś dnia postanowiłem zamówić rozmowę pod numerem 900 i gdy telefonistka oddzwaniała - odebrać darmofonem.

Pierwsza rozmowa była obiecująca.

Odbyłem rozmowę z Maćkiem dzwoniąc na jego komórkę. Gdy już się zegnaliśmy, włączyła się telefonistka i powiedziała, że ja się jej wyświetlam jako „sygnał”. Dobrze wiedziałem co to znaczy. W końcu darmofon na tym polega, że centrale dzwoniące na moją, „myślą”, że nie odebrałem rozmowy. Abonenci rozmawiali z „sygnałem”.

Z głupia frant zapytałem:

- A co to znaczy, że się wyświetlam jako „sygnał”?
- A co ja będę panu tłumaczyć. Pan i tak nie zrozumie.

Ledwo powstrzymałem śmiech.

Rozmowa była zakończona, ale że rozmawialiśmy krótko i temporyzacja jeszcze nie zadziałała, to korzystając z tego, że i telefonistki nie rozłączyły się (ja wcisnąłem MUTE z głośnym traskiem, sugerując odkładanie słuchawki), słuchałem o czym ze sobą rozmawiają.

- No i nie da rady cholera jasna. No zobacz tylko. On się zgłosił „na sygnale” i mi system teraz nie da rozliczyć tej rozmowy. No nie mogę wprowadzić. Chyba pogadali za darmo...

O żeby to pierwszy raz – pomyślałem.

Późniejsze próby z telefonistkami nie były już tak udane.

Od razu odmawiały łączenia, bo zgłaszam się „na sygnale”.

Próbowały dzwonić jeszcze raz, ale to nic nie dawało, bo zamierzałem odbierać tylko

darmofonem.

Nawet powygyadywałem pod adresem TP różne komentarze że „głupiej rozmowy połączyć nie potrafią” ale nic.

W końcu gdzieś to zgłosiły i zaczęły się podchody.

Zaczęli wpinać mi się w linię , robić pomiary i dioda Schottky'ego im wyszła.

Zamienili bieguny na przełączalni. Dało im to... pięćminut spokoju, bo zrobiłem to samo i darmofon działał dalej.

Załoga mojej centrali zaczęła mnie wkurzać.

Któregoś razu dzwonię („czesząc” numerację) na numer zaczynający się na 39.

Była to dobrze utrzymana i zadbana K-66 Żoliborz II. I co słyszę?

Okropny brum i kilka rozmów na raz. Gdzieś w tle dekadowanie i wpadanie kolejnych rozmów na te już się kotłujące.

Acha! Uszkodzony kabel. A przecież moja Pentaconta ma na Żoliborz II łączy naturalne (bez zwielokrotniania i po miedzi). Zwykle zalenie nawet może być.

Dzwonię 633-20-76 na obsługę centrali.

- Broniewski I, słucham.
- Macie awarię kabla na Żoliborz drugi. Proszę iść na przelicznik i zmienić kod kierunku. Puścić ruch przez CET.
- Ale zaraz, kto...
- Wykonać! - rozłączyłem się z uśmiechem.

Sprawdzam za kilka minut.

Hehe. Marszruta S-12 po drodze. Zrobili jak kazałem... Bo dobrze kazałem. Byłem szybszy niż służby TP i poleciłem zrobić to co trzeba.

Za kilka dni dzwoni telefon. Wszystkie telefony odbierałem w trybie darmofonowym.

- Tu mówi Jola z Broniewski I. Nie wiem czy mnie pan pamięta, ale pracowaliśmy razem na Koło II. Co pan sobie wyobraża? Dzwoni pan tu i wydaje polecenia...
- A co? Niesłuszne?
- Nie o to chodzi. Ile pan z nami pracował? Trzy miesiące? A panu się wydaje że pozjadał pan rozumy...
- To niech łaskawa pani teraz się rozłączy i zerknie na rekord bilingowy. Niech pani popatrzy ile pani „zapłaciła” za tę rozmowę – odłożyłem słuchawkę.

Po chwili dzwoni telefon i już zupełnie innym tonem:

- Co pan zrobił? Faktycznie zero impulsów. Nawet sprawdziłam czy ma pan kategorię bez zaliczania, ale ma pan zwykłą.
- No widzi pani. Niech pani nie sądzi pochopnie. Niech pani teraz idzie na wyposażenie abonenckie i zobaczy na mój La. Jest odpuszczony.

- Niemożliwe. Nie może być La odpuszczony, jeśli trwa rozmowa.
- Czyżby? Proszę iść i zobaczyć.
- A jak mam tam iść i rozmawiać.
- To niech pani się tam wepnie w ramę w linię spoza numeracji i do mnie zadzwoni.

Po chwili znów telefon.

- Faktycznie! Niesamowite! Co pan tam robi? Pan nas wysadzi w powietrze! Co pan w tę linię wpuszcza?

- Zapewniam panią, że nic. A teraz niech pani patrzy na La!

Pstryk, wycisnąłem isostat, pstryk wcisnąłem z powrotem.

- O cholera! Przyciągnął i odpuścił.
- No widzi pani. Ja na tej centrali mogę znacznie więcej, więc niech pani lepiej na przyszłość waży słowa.
- Ja się dowiem jak pan to robi... Zobacz pan. I się panu uniemożliwi...
- Do widzenia w takim razie - skończyłem rozmowę, bo bałem się że zaraz temporyzacja rozłączy po tym „odebraniu i odłożeniu” linii.

„Uniemożliwi” - dobre sobie. Musieli by centrale wymienić na cyfrową, bo to czego używam, jest „zaszyte” głęboko w konstrukcji centrali.

Gdyby mi kazano z tym walczyć, to wiedział bym co zrobić aby przynajmniej użytkownicy darmofonów mieli przesył głosu tylko w jedną stronę... Darmowości bez wymiany centrali zlikwidować nie można. No ale w rozmowach lokalnych, w ramach tej samej centrali, byłoby po staremu. Chyba żeby obliczyć, że wiązka do CETu wytrzyma ruch przerzucony z AL-ów. Wtedy nawet w ramach centrali nie mieli by przesyłu głosu w jedną stronę.

W obliczu tej sytuacji zwołałem naradę wojenną.

- Bartek - zwróciłem się do gościa - masz zadanie. Przyda się twój dobry garnitur i przeszkolenie akwizytorskie w manipulacji. Poza tym zdaje się, twoja mama ma zakład poligraficzny. Będzie potrzebny.

Po kilku dniach pod centralę na Broniewskiego zajechał czarny Peugeot, lecz zatrzymał się bliżej Elbląskiej, w nieznacznym oddaleniu.

Plan był nieco karkołomny i w obecnych czasach nie przeszedł by na pewno, a sprowadziłby poważne kłopoty. Wtedy jednak inaczej się na pewne sprawy patrzyło, a Bartek miał takie małe hobby - manipulację kobietami. Gdy dowiedział się, że trzeba „przesłuchać” kobietę - pisał się na ten interes.

Co postanowiliśmy? Otóż Bartek ubrany po menedżersku i ze świeżutko wydrukowaną wizytówką jednej z zagranicznych firm produkujących małe centrale biurowe, zjawił się u domofonu centrali. W owych czasach o kamerach mowy nie było, a i ochroniarza jeszcze nie zatrudniano całodobowo. W dzień budynek chronił tylko domofon z kilkoma przyciskami.

Bartek zadzwonił pod „Br I” i gdy odezwała się dyżurująca pani Jola, powiedział jak go poinstruowałem.

- Ja na Broniewski I – co było standardowym tekstem monterów chcących dostać się na przełączalnię tej centrali, a nie na salę stojaków.

Sala stojaków jednak, była drzwi w drzwi z przełączalnią i drzwi te były zazwyczaj na oścież otwarte.

Gdy Bartek wszedł już na tę salę, nie mogła go wygonić. Nie mogła, bo nie dał jej dojść do słowa, a potem temat sam ją zainteresował i śpiewała jak z nut.

Oto co zrelacjonował Bartek.

Bartek od razu przedstawił się jako przedstawiciel kadry zarządzającej, w polskim oddziale znanej firmy, o której wspomniałem. Na „dowód” tego pokazał (nie wręczył – co ważne) wizytówkę. Oczywiście fałszywą.

Od razu przystąpił do rzeczy. Swoje pojawienie się w tak nietypowym miejscu, wytłumaczył – i uwierzcie lub nie, ale on ma talent i baba uwierzyła – tym, że pan Michał Jonakowski złożył podanie o pracę w ich firmie. W swoim CV napisał o pracy w Telekomunikacji Polskiej i wspomniał coś o badaniu zabezpieczeń sieci telekomunikacyjnych, już jako swoją prywatną działalność. Pan menedżer oczywiście odwiedził wskazane miejsce pracy na Kole, ale że ich firma bardzo dużą wagę przywiązuje do bezpieczeństwa i poufności, udał się także tu, bo z CV wynika, że do tej centrali podłączony jest pan Jonakowski. Taki numer podał jako kontaktowy. No więc firma chciała by się dowiedzieć, czy jako abonent nie sprawiał jakiś trudności, bo szef bardzo na tym punkcie czuły.

Baba, gdy usłyszała nazwisko, niewiele kojarzyła, ale skojarzyła numer telefonu.

Podobno zbladła, nie chciała najpierw rozmawiać, zarzekając się, że "tym panem zajmują się wyższe czynniki" i ona nie chce mieć z tym panem, ani z tym numerem nic wspólnego, bo ten numer jej się śni po nocach i dostarcza pracy tyle, co tysiąc zwykłych abonentów. Jakiej „pracy”, tego już Bartek nie zdołał się dowiedzieć. Baba dodała jeszcze, że „sprawa jest w toku” i ona by na miejscu szefa Bartka, od tego pana trzymała się z daleka.

Może i przepuściłbym to przez pamięć bez wielkich konotacji, ale przed telefonem pani Joli do mnie, miałem i inny telefon.

W innym tonie i prywatny.

Zadzwonił któregoś wieczoru, mój dawny towarzysz dyżurów – Darek.

- Słuchaj Michał, coś ty narozrabiał?! - spytał ze śmiechem

- A co się stało?

- Wyobraź sobie, że przyleciał tu na górę do nas, kierownik z Koła I, wiesz ten co jest też Kierownikiem całego obiektu i co twierdzi że K-66 to najlepsza centrala pod słońcem.

- Tak, zawsze gdy według grafika, próby na jego centralę piętro niżej, wypadały gorzej niż do Wiednia, to kazał nam u siebie szukać usterek. I co on chciał?

- Latał po centrali, machał łapami i krzyczał że jesteś bardzo niebezpieczny człowiek. Mówił, że gdybyś na centralę tu dzwonił to mamy wszyscy jemu meldować i odmawiać rozmów nawet prywatnych. I że jesteś niebezpieczny człowiek – cały czas to powtarzał. Miał jakieś papiery, że podobno „z góry” ma jakieś polecenia i w ogóle.

- No to ciekawe. Wiesz, ja się trochę nadal zajmuję telekomunikacją... prywatnie... Ale to może przy okazji ci opowiem... gdzieś przy piwie.

Więcej Darek już nie dzwonił, a i ja nie chciałem robić mu problemów, więc dałem spokój. Wtedy to dzwonił od siebie z domu. Ale cholera wie. On tam nadal pracował i pewnie chciał pracować, a skoro zabronili mu kontaktów...

Dziś już na pewno nie pracuje. Nie dość, że tamtej centrali już nie ma, to i tak na pewno przez tyle lat nie ominęła go fala zwolnień, gdy w ogóle likwidowano załogi na centralach.

Maciek wysłuchał w końcu wyjście z sieci PKP na sieć publiczną.

Wychodziło się przez Olsztyn. Niestety po dwóch tygodniach „bramka” przestała działać.

- Cholera, Michał... Coś pozmieniali. Nie łączy durnota. Wymyśl coś – pożalił się Maciek. Pierwszą myślą było to, że ewentualny „kod”, musi być prosty do zapamiętania dla uprawnionych użytkowników. Właśnie w sieci TPSA wprowadzono wybieranie numerów kierunkowych z prefiksem 1033. Oczywiście w sieci PKP takie wybieranie numeru, przy wychodzeniu na miasto, centralą należącą do PKP, nie miało sensu...

Zaraz, zaraz. Bez sensu? Właśnie! Właśnie, że bez sensu, to ma to szansę zadziałać.

- Maciek. Spróbuj dzwonić tak jak zawsze, ale przed kierunkiem strefy daj 1033.

- Myślisz, że pomoże?

- Spróbuj.

Zadziałało!

Pierwszy i trafiony.

Ponadto nasze radiowe RTP, z których nasza „paczka” korzystała, zmodyfikowali. Temu na Pieknej III wycięli ruch na zero. Temu z Pentaconty Piękna IV wycięli 0-700. A Niebieski wciąż aktywny.

- No to teraz Niebieski, dzwoń za granicę z tego kanału.

- Jak to? Przecież zawsze było wycięte dwa zera.

- Ale to Pentaconta! Ja ją znam, jak własną kieszeń. Wiem jakie są kategorie restrykcji. Ta sama firma modernizowała! Albo 0-700 albo 0-0. Spróbuj.

Po chwili dzwoni szczęśliwy Niebieski.

- Faktycznie ! Z tego kanału nagle można dzwonić za granicę.

- A nie mówiłem!

Pentaconty modernizowali, więc zmodernizowali także „Stare Miasto”, czyli 635, do którego dołączony był Maciek. Był do tej centrali podłączony także Uni-Net w Intraco.

Maciek nagle zaczął się wyświetlać na komórkach.

Sprawdziliśmy, ale nadal jest Pentaconta.

- Ty! Oni zmodernizowali twoją centralę! Teraz wysyła CID. Po R2!
- A może by tak zadzwonić z radia? One też wychodzą, z tego co mówiłeś, że po dźwięku słyszysz, z tej Pentaconty.
- To zadzwoń, ale na jakiś stacjonarny, bo zero mają wycięte. Na numer cyfrowej centrali. Tam przekierujemy na komórkę i zobaczysz numer.

Zapręgnęliśmy Piotrką z Chomiczówki, mającego linię z S-12-ki Broniewski II.

Długo musiałem tłumaczyć, co chcemy osiągnąć, jak ma włączyć przekierowanie i potem jak wyłączyć.

- I to co się wyświetli koniecznie zapisz! I nam podasz potem.
- Dobra.

Robimy próbę.

Zdjął już to przekierowanie czy nie...

- Halo. No i jaki numer.
- 635... - podał nam numer.
- Haha. I wszyscy wygraliśmy!
- Ale co ?
- Teraz mamy numer linii wychodzącej! Tą oficjalnie podawaną jako przychodząca, system nie wychodzi!

Okazało się, że odkryliśmy numer linii dla ruchu wychodzącego. Teraz można było zadzwonić z radia pod 900 i podać numer tejże linii do oddzwonienia.

Telefonistka oddzwaniała, ale oczywiście nasze radio milczało. Trzeba było zatem szybko wybrać z radia połączenie na przykład 999 i wówczas zajmowała się linia wychodząca, do której już dzwoniła telefonistka. Tym sposobem można było zamówić rozmowy, ograniczone w ruchu automatycznym. Oficjalna linia „przychodząca” Uni-Netu nie nadawała się do tego. Pod jej numerem zgłaszał się system i trzeba było wybrać tonowo długi numer radia. Tego telefonistka zrobić by nie chciała.

Zatem dzięki temu, że zmodernizowana Pentaconta, na dość krótki czas, zaczęła wyświetlać wszystkie swe numery, mogliśmy ustalić wspomniany numer linii wychodzącej. Pentaconta była zmodernizowana, ale okazało się, że albo wyświetla wszystkie swe numery albo żaden. Wyświetlała także numery zastrzeżone i tego technicy nie mogli różnicować. TPSA szybko więc na centralach tranzytowych, wszystkim połączeniom przychodzącym wiązkami z takich zmodernizowanych central Pentaconta, nadawała flagę CLIR. Znowu numery przestały się wyświetlać, ale zmieniły status z „nieodpowiedzialny” na „zastrzeżony”. Dotyczyło to wszystkich linii, nawet tych, których abonenci zgodziliby się na identyfikację. To co zyskała TPSA to identyfikacja numerów u uprawnionych służb, na przykład w Policji.

Ten krótki epizod, pozwolił nam jednak poznać numer, za pomocą którego ominęliśmy restrykcję w systemie Uni-Net.

RTP na kanale 2 był podłączony do Pięknej III, a więc miał numer 628-96-96. Numer ten poznaliśmy właśnie tak, że przekierowaliśmy stacjonarny telefon na komórkę.

Kanał miał restrykcję na zero, ale od czego jest 900.

Problem był tylko taki, że jak się dzwoniło na 628-96-96, to na kanale nic się nie działo.

Nic nie dzwoniło.

Ale wiedzieliśmy, że na centralce cyfrowe telefonistka oddzwania natychmiast. W domu to praktycznie od razu po naciśnięciu widełek. Dzwoniliśmy więc dwoma radiami, w full duplexie na 900 i zamawialiśmy rozmowę.

Nawet 0-700. Wtedy jeszcze łączyli z tymi numerami. Tępsa sama nam zestawiała połączenia na własny koszt.

Niestety nie udało nam się poznać numeru podłączonego do Pięknej IV. Prawdopodobnie i tak był to numer „spoza numeracji”. Ta centrala jednak była wymieniona na cyfrową zanim doczekała się modernizacji.

Numer „spoza numeracji” jest numerem linii, na który nie można zadzwonić.

To znaczy abonent nie może. Centrale elektromechaniczne mają zwykle więcej linii niż numerów. Dla przykładu centrala Pentaconta o 10000 numerach, ma w rzeczywistości 10240 linii. To wynika z jej konstrukcji. Te pozostałe linie mogą realizować połączenia wychodzące, ale numery mają „wirtualne”. Przykładowo oznaczane tak: 633-2R-23. Oznacza to że jest to numer na centrali 633, na drugim tysiącu, spoza numeracji i ma numer 23.

Na każdym tysiącu było dwadzieścia cztery linie spoza numeracji. Od 00 do 23.

Do czego służyły takie linie? Przydzielano je do centralek biurowych, jako linie wychodzące (aby nie marnować numerów), podłączało do urządzeń badaniowych lub stosowało jako „łącze wielokrotnego dostępu”. Takie łącze „parowało się” z jakąś linią o normalnym numerze i usługa ta działała na zasadzie kierowania na te dalsze linie wywołań przychodzących, gdy główna linia była zajęta.

Tak więc także używało się tego dla central biurowych. Centrala miejska mogła zatem wystawić prąd dzwonienia na takiej linii „spoza numeracji”, ale właśnie w dostępie wielokrotnym.

Usługa ta działała podobnie, jak na centralach cyfrowych działa przekierowanie na inną linię w przypadku zajętości.

Obecnie w dobie central cyfrowych, takie „numery” spoza numeracji również istnieją. Abonent nie może wybrać numeru takiej linii, ale może to zrobić inna centrala.

Obsługa może więc pod taki numer ustanowić przekierowanie „techniczne”.

Tak działają obecnie numery alarmowe.

Kreuje się numer alarmowy, na przykład 112 i połączenia pod taki numer, przekierowuje się na konkretny numer „katalogowy” danej centrali lokalnej. Na tej

centrali przypisuje się taki numer katalogowy do konkretnego wyposażenia centrali. Do konkretnej linii po prostu. Na centralach cyfrowych, numery nie są na stałe przypisane do wyposażenia. A numer katalogowy to po prostu numer telefonu właśnie w formie „technicznej”. Wygląda podobnie jak numer z przykładu zamieszczonego wyżej i jest podobny do zwykłego numeru telefonicznego. Wskazuje bowiem centralę i konkretny numer w jej zasobach.

Niebo na zachodzie ściemniało. Wiem co będzie. Lubię to. Powietrze stoi.

Parno jak w tropikach.

Spieszę do domu. Idę do piwnicy gdzie mam teraz ukryty nadajnik.

Po zdjęciu moich anten przez administrację, jak już wspomniałem, używam dipola na „dolny” zakres UKF zamontowanego na maszcie anteny zbiorczej.

Tak się składa, że na moim osiedlu, w czteropiętrowych budynkach, skrzynki wzmacniaczy AZART umieszczono w piwnicach. Konstrukcja tych domów, utrudniała umieszczenie ich na klatce czwartego piętra, środkowej klatki. Domy te miały bowiem po trzy klatki i po dwa mieszkania na piętrze. Razem dziesięć mieszkań w jednej klatce.

Tylko piwnicami można było przejść między klatkami i tak też poprowadzono rozprowadzenie do pionów abonenckich.

Tylko cztery piętra i brak programów TV na UHF w momencie budowania tych domów spowodował, że zdecydowano się na dłuższe przewody antenowe i na zainstalowanie skrzynek AZART w piwnicy.

Wykorzystując umiejętność otwierania różnorakich zamków i kłódek, której to umiejętności jednak nie rozwijałem i nie wykorzystywałem „komercyjnie”, otworzyłem skrzynkę. Odłączyłem przewód od wkładki UKF, przewlokłem go przez dziurę w ścianie i poprowadziłem do położonego tuż obok, mojego boksu piwnicznego. Tutaj podłączyłem się do puszki zasilającej, mającej napięcie zawsze, niezależnie od położenia wyłączników oświetlenia. Doprowadziłem sobie prąd.

Mogłem nadawać z piwnicy, a audio doprowadzać z mieszkania na parterze, kanałem technologicznym zawierającym rurki z przewodami telefonicznymi.

Majstersztyk kamuflażu. Jasio zawsze się śmiał, że jak to odkryje PAR, to zbaranieje. Sceneria piwnicy z ukrytym nadajnikiem, pasowała według niego do materiału telewizyjnego opatrzonego napisem „zdjęcia operacyjne Policji”.

Akurat na moim domu, w przeciwieństwie do sąsiednich, nikt nie zamontował żadnej indywidualnej anteny TV naziemnej, czy TV satelitarnej.

Stał samotnie maszt AZART, czyli anteny zbiorczej. I jakież PAR mógłby przypuszczać, że nadaje... ta właśnie antena, a dokładnie jedna z anten na tym maszcie. Radia na pewno nikt już nie słuchał, korzystając z tej przestarzałej instalacji zbiorczej.

Tym razem jednak i źródło sygnału audio umieściłem w piwnicy.

Swego czasu przez dziewięć miesięcy nadawałem... śpiew ptaków.

Ludzie słuchali. Komentowali i snuli domysły. Dowiedziałem się, że to „na pewno jedna ze stacji po zwolnieniu dolnego pasma UKF, nadaje”. Ale wszystkim zgodnie się to

podobało i jeden młody człowiek przyznał, że słucha „codziennie przy śniadaniu”, bo go to odstresowuje przed pójściem do szkoły.

Teraz miałem jedynie swojego starego walkmana, z funkcją auto-reverse.

Włączyłem „obciachowy” Papa Dance. Są takie zespoły czy gatunki, do słuchania których nikt się nie chce przyznać, a jednak... ludzie wznawiane kasety, czy płyty kupują. Terroryzowani przez „arbitrów elegancji” z mainstreamowych mediów, dajemy się skanalizować w poglądach. Tych oficjalnych.

A ja nie boję się przyznać, że lubię na przykład gatunek Disco-Polo To akurat nie Papa Dance, który też lubię.

Lubię i swego czasu słuchałem właśnie Disco-Polo. Nie wstydzę się.

Bo niby czemu bym miał?

Zarzuca się temu gatunkowi „banalne teksty”.

A ojciec Jasia jest wziętym i znanym tłumaczem z angielskiego.

To są dopiero śmiechy, jak się przetłumaczy banalne i głupie teksty „zachodnich” piosenek, nawet tych z „zaangażowanych” gatunków. Dobrze Mickiewicz mówił w Panu Tadeuszu, że nie doceniamy swego a zachwycamy się obcym.

„Bo co Francuz wymyśli to Polak polubi”.

Mnie Disco-Polo relaksuje i dlatego słuchałem.

To jest dobre, co się komu podoba.

Są oczywiście i skrajnie śmieszne i banalne teksty, ale było kilka dobrych głosów, dobrych kompozycji i trafiło się kilka całkiem poetyckich tekstów.

Ale teraz włączam kasetę Papa-Dance.

To są lata mego dojrzewania i jakiś sentyment do tych piosenek mam.

Skoro wokół RMF-y i ZET-ki młóć „playlisty”, to dlaczego ja nie mam nadać tego, czego próżno już szukać w innych stacjach?

Idę do piwnicy.

Zapalam kolejne światła w korytarzach.

Spod nóg uciekł mi mały kotek. Już go nie ma...

Przyniosę mu mleka w spodeczku!

Włączam nadajnik i nie czekając na stabilizację VCO włączam audio.

Reguluję parametry, słuchając na niezbyt komfortowym do takich odsłuchów, moim turystycznym radjku.

Mleczko kotek już ma. Nie będę mu przeszkadzał.

Niech pije na zdrowie....

Niebo od zachodu coraz ciemniejsze.

Nadajnika nie wyłączę. Niech nadaje. Zobaczmy czy mu burza zaszkodzi.

Wtem zerwał się pierwszy wyprzedzający burzę podmuch.

Drzewa ugięły się z szumem, a ludzie przyspieszyli kroku.

Głuche, krótkie grzmoty nadbiegły od strony zbliżającej się burzy.

Zauważyliście, że przed burzą grzmoty są takie stłumione i urywane, a po burzy brzmią głośno i wyraźnie? Może to wpływ przechodzenia dźwięku przez nagłą „ścianę” różnic temperatury mas powietrza. Odchodząca burza już takiej bariery nie ma.

Teraz jednak grzmoty są głuche i krótkie. Brzmią tajemniczo i groźnie. Prawie czuje się elektryczność statyczną, czyli to co ludzie nazywają, że „coś wisi w powietrzu”.

O! Błysnęło. Na razie podświetliło wielkie czarne i wysoko wypiętrzone cumulonimbusy.

Zamknąłem okno, bo wiatr już zaczął nim szarpać.

Tylko lufcik jest otwarty.

Burza jakby nabrała tempa.

Już tu jest.

Grzmotnęło blisko.

Raz, drugi... Już prawie grzmot zaraz po błysku.

Ale zaraz... co się dzieje...

Błyskawice przecinały niebo już niemal bezustannie.

Huk zdawał się dobiegać równo z nimi.

Wali nie dalej niż 100 metrów

O kurwa... - zakląłem.

Walnęło w AZART sąsiedniego... no może trzy domy dalej. Tej końcówki od fal krótkich już nie ma. Upalona.

Nadajnik uparcie działa. Trzaski wyraźnie znaczą sygnał, mimo potężnego jego poziomu i mimo pasma UKF oraz modulacji FM. Demodulator nasycony, a jednak trzeszczy. To jest energia!

Nagle... Drzewo leży!

„Kamikaze... nie było mocnych” - śpiewa Paweł Stasiak.

Przez chwilę nadajnik jakby się... zakrztusił. Radio na baterie zaszumiało, ale emisja wróciła.

Zapaliłem światło.

Już wiem. Wali po linii wysokiego napięcia przy GPZ-cie na Włościanańskiej. Na iskrownikach przywiera.

Światło raz po raz przygasa. Czasem niemal do zera i wtedy nadajnik „czknie”.

Sprawdzam na skali...

Nie ma!

Nie ma INNYCH stacji radiowych.

Albo nie nadają w ogóle i jest szum, albo niektóre nadają samą nośną. Padły dosyły.

W eterze na Bielanach gram tylko ja!

„.....Nie było mocnych....” Nawet pasuje.

Aż przyszedł 26 stycznia 2001 roku. Tego dnia kupiłem swój pierwszy komputer.

No a jak ma się komputer, to chciało by się mieć też internet.

Gry mnie nie pociągały, a oglądane w kółko kilka filmów na CD, czy słuchanie piosenek, to nie jest powód, dla którego kupuje się komputer.

Patrzyłem jak instalatorzy wiercą otwór pod kabel koncentryczny.

Akurat w mojej okolicy wystartował hit tamtych czasów.

Internet przez kablówkę!

Bez użycia telefonu. Bez płacenia za czas spędzony w sieci.

No i ta prędkość... 384 kb/s! To był hit, nawet dla takich szczęściarzy jak Łukasz, który załatwił sobie SDI z prędkością 115 kb/s.

Neostrada dopiero miała wejść i pamiętam jak z przejęciem opowiadał o niej Bartek, który specjalnie wynajął mieszkanie akurat w centrum, gdzie usługa ta miała być najpierw dostępna.

- Ty wiesz, jaką oni dają maksymalną prędkość? 512 kilobitów na sekundę! Zamawiam od razu tę najszybszą wersję. Czy ty wiesz co to jest? To jest pół megabita na sekundę! Rewelacja! Już nie mogę się doczekać kiedy mi to założą...

Stałem się zatem posiadaczem najszybszego wówczas, dostępnego dla zwykłego zjadacza chleba, dostępu do internetu. Bartek siedział jak na szpilkach, a Łukasz z uznaniem kręcił głową, ściągając u mnie pliki MP3 i przyjeżdżając... ze swoim dyskiem twardym, bowiem mój napęd CD-ROM był zwykłym napędem odczytującym. Wypalać płyt nie mogłem.

Nie istniały chyba też jeszcze pen-drive-y na USB, nie wspominając już że nie istniało zdaje się USB 2.0.

No i stało się. Miałem internet. Monterzy właśnie sprawdzali poprawność działania, gdy jak co dzień w południe zza ściany od sąsiada, dobiegł mnie... sygnał czasu.

„Ile jeszcze mogę znieść,

Cierpliwość kiedyś kończy się,

Ostrożnie stawiam każdy krok,

Tak łatwo jest popełnić błąd...

Czasem strasznie boję się,

Że wogóle mogę minąć Cię,

Jak rozpoznać że to Ty?
Będę szukać z całych sił!
Kiedyś Cię znajdę...
...znajdę Cię,
W końcu znajdę,
Jestem coraz bliżej - wiem..."
Łzy same kapąły na klawiaturę.
Diody modemu rytmicznie mrugały...
Bajty szły, serce biło.
Miliony megaherców.
Będę wołać z całych sił!
Miliony ludzi, miliony bitów i miliony adresów sieciowych.
Zegar miarowo odmierzał sekundy dzielące nas od nieskończoności.
Ekran zamazany przez drgające łzy...
„Kiedyś Cię znajdę...”
Kiedyś...
Na ekranie miałem kawałek prywatnej rozmowy, na szybko zestawionym kanale IRC.
Opuszki palców lekko dotykały klawisza ENTER.
Wprowadzona linijka tekstu przesądzała... Zawierała też dziewięć cyfr.
„Ostrożnie stawiam każdy krok,
Tak łatwo jest popełnić błąd”...
Wahanie...
Kursor migał cierpliwie.
Ale przecież...
„Czasem strasznie boję się,
Że w ogóle mogę minąć Cię”.
Jestem coraz bliżej... wiem.
Grająca za ścianą piosenka Reni Jusis ucichła i usłyszałem tyle razy słyszany tekst spikera.
„Za chwilę nadamy sygnał czasu z laboratorium czasu i częstotliwości...”
Łza spadła rozpryskując się właśnie dziwnym trafem na klawiszu ENTER.
... Sygnał czasu... Boże! Mojego czasu!!!
ENTER!

Gdzieś wysłane bity poszły... Nikt na szczęście ich już nie zatrzyma.

Odpowiedź przyszła po chwili.

Serce zabiło mocniej, a ja zerwałem się od komputera i pobiegłem do telefonu.

Zegar tykał dalej, ale teraz to... już wiem... tykał dla innych... Może dla Ciebie czytelniku nadal tyka?

Gdzieś stuknęły przekaźniki, zajęła się translacja...

A1 A1 A1 ...

W słuchawce stuknęło i usłyszałem Ją...

Wtedy dla mnie czas się skończył. Odpłynął ból, niepewność i ogromny smutek.

Ach, ileż godzin przegadaliśmy... Ileż dni łączyła nas tylko linia.

I padło to słowo, które rezerwowałem dla Ciebie Najdroższe Kochanie.

„Kocham Cię”.

„Dla twych rąk, dla twych ust byłam pierwsza...”

Tak. Kochałem już wtedy!

I na Ciebie czekałem życie całe!

Nie, nie żałuję, że wcześniej nie miałem nikogo. Przed Tobą stanąłem i byłaś pierwszą dla moich ust. A moje były, są i będą tylko dla Ciebie.

Teraz żyjemy we dwoje. Dzieląc troski, smutki, radości i najważniejsze – Miłość.

Jeśli czytelniku Twój czas jeszcze biegnie, to pamiętaj żeby wsłuchać się...

W swój sygnał czasu.

Zakończenie.

Nie przestałem być phreakerem. Phreaker nie działa tylko w celu przezwyciężenia systemu, aby uzyskać dostęp, bezpłatne połączenie. Phreaker bada sieci telekomunikacyjne bo to lubi. Szuka by znaleźć. Niekoniecznie nową „metodę”, choć należy pamiętać, w jakich czasach miały się odbyć opisane wydarzenia. Były to czasy wdzwanianego internetu i czasy zupełnego braku możliwości bezpłatnego, głosowego porozumiewania się w sieciach telekomunikacyjnych. Nie było Skype, czy innej telefonii VoIP. Nie było planów taryfowych typu „bezpłatne wieczory” czy „wybranych darmowych numerów”. Wtedy tylko ludzie wtajemniczeni, lub posługujący się łącznością radiową, mogli porozmawiać bez tykającego nad głową licznika. Były to czasy, gdy za każde trzy minuty połączenia z siecią internet płacono 35 groszy. Stałe łącza albo dopiero się pojawiały, albo były dostępne jedynie w dużych firmach czy na uczelniach.

Pracowałem tu i ówdzie, ale obecnie w Polsce nie ma zapotrzebowania na „szukaczy dziury w niby całym”. Słowo phreaker budzi w naszym społeczeństwie negatywne skojarzenia, tak jak słowo haker. A ani jeden, ani drugi szkodzić nie musi. Może pomagać. Na zachodzie, gdy napiszesz w CV że jesteś hakerem, to jest atut. U nas wychodzi tak, jakbyś napisał, że jesteś złodziejem, bandytą.

Phreaker to nie pajęczarz, który podłącza się pod cudzą linię, by podzwonić na cudzy koszt. Phreaker powinien pomagać zwykłym ludziom.

Ja napisałem poradnik dla abonentów i zamieściłem go w Internecie. Trochę jest już nieaktualny. U nas prawo zmieniają szybciej niż rządy, co wcale normalnym w świecie nie jest. Pewnie jednak niejednemu pomógł w walce z nieuczciwym operatorem. Pisałem też ekspertyzy dla Policji, po okradzeniu biednego rolnika, posiadającego radiodostęp NMT, który wszyscy uważali za „niemożliwy do złamania”. A ja zrobiłem próbę i poszło tak łatwo. Niestety nie tylko ja wiedziałem, jak dzwonić w ten sposób. Ale moja ekspertyza, budząca najpierw pokpiwanie „akademickich specjalistów”, dokładnie wytłumaczyła jak działa ten mechanizm i że rolnika faktycznie okradziono. Być może, bo nie wiem jak sprawa się skończyła, rolnik uniknął zapłaty... pięciu tysięcy złotych. Mnie najbardziej boli to, że dałem jedną metodę komuś, kto być może zrujnował małą firmę. A i sam kiedyś zrobiłem nie tak jak trzeba. Ale chyba już za to odpokutowałem. Przeciwnikiem (bo nie wrogiem) dla phreakera jest tylko urządzenie i jego administrator. Czyli można w skrócie założyć, że jest nim operator. Moim celem była głównie TP S.A. A to jest firma, która nie upadnie, nawet gdyby takich jak ja były tysiące. To była wówczas firma, która działała jak Państwo. Nie mogła splajtować, mając jak państwo swoich poddanych – państwo ma obywateli, a wielki operator ma miliony abonentów. I jedni i drudzy mogą sobie przerzucać dowolnie koszty. Urągając matematyce, mogą wydawać więcej niż mają. Gadanie, że „za to zapłacimy wszyscy podwyżką opłat za usługi” to demagogia. To co wydzwonili phreakerzy to są mniejsze koszty niż te powodowane przez złomiarzy kradnących kable czy szkody powstałe w wyniku burz i silnych wiatrów.

Tu przy okazji odpowiem na pytanie, czy phreakerem zostaje zazwyczaj osoba z umysłem ścisłym, lubiąca matematykę. Otóż wbrew pozorom nie. Podobnie jak elektronik konstruktor (a ja takim jestem – konstruuje nadajniki od podstaw, montuje, uruchamia i są, działają) bardziej liczy się chyba umysł... zaryzykuję to słowo – humanistyczny. Matematyka jest potrzebna i dobrze ją znać. Jako narzędzie. Czasem nawet samemu trzeba wyprowadzić jakiś wzór, gdy badamy nowe zależności i one są powtarzalne. Nie o wszystkim piszą w fachowych książkach. Wiele spraw fachowa literatura pomija lub upraszcza. Wiele prostych spraw komplikuje. Zwłaszcza polska literatura fachowa. Bo w Polsce, z reguły piszą teoretycy. Lwy akademickie, którym nigdy w zęby nie strzelił tranzystor.

Czy phreakerstwo ma przyszłość. Chyba nie ma.

Ja jestem typowym okazem czystego phreakera, który urodził się we właściwym momencie. Co niesie przyszłość ? Przyszłość należy do hakerów. Obecnie każda centrala telefoniczna to duży wyspecjalizowany komputer. Z czasem telekomunikacja odejdzie od komutacji kanałów, na rzecz komutacji pakietów. Cały VoIP już tak działa, a kiedyś „tradycyjna” telekomunikacja odejdzie tak, jak odeszła ostatnia centrala analogowa. Niejeden z Was, który czyta teraz te słowa, jest hakerem lub nim będzie. Może nawet o tym nie wie. A jeśli nim zostanie, to już nim będzie zawsze.

Jako że pewne aspekty działalności phreakerów są zbliżone do działalności hakerów, to uważam się za człowieka rozumiejącego duszę i pobudki hakerów. Myślę, że i tok rozumowania podczas zgłębiania nieznanego, jest ten sam. Natomiast hakerem nie jestem.

Technik hakerskich nie znam, nie zgłębiałem i... zostawiam to Wam.

W końcu Wy będziecie robić rzeczy o których mi się nie śniło. Niejeden z Was jest ode mnie młodszy i z komputerem oraz sieciami komputerowymi wyprawia cuda, zawstydzając administratorów. Administrator, to zawsze mi się wydawało, taki haker lub phreaker na emeryturze, który uważa że zjadł wszystkie rozumy. W tym sensie nie jestem administratorem. Opiekuję się jednak „społecznie” (jak Lech Ryś w Misiu sprawował społecznie dyskretną opiekę nad grupką urwisów... Motyla Noga...) kilkoma centralami w hotelach czy domach wczasowych.

Jaką mam filozofię w tej opiece? Doprowadzić system do takiego stanu, w którym ja sam nie mógłbym nic tu zdziałać. Oczywiście od strony dostępnej potencjalnym atakującym, czyli od strony linii telefonicznej. Ja, za „sterami” centrali mogę więcej i tylko tu mogę zrobić to, żebym sam poszedłszy do linii telefonicznej... nie potrafił zdziałać nic, czego nie życzył by sobie właściciel systemu.

To jest właśnie włożenie w ochraniający system całej znanej wiedzy.

I nie dam gwarancji, że nie przyjdzie ktoś, kto będzie wiedział więcej.

Ale skoro ktoś mnie prosi o zabezpieczenie, to robię tak, żeby było jak najlepiej umiem. A „tylnych drzwi” nawet sobie nie zostawiam. Tak każę lojalność.

Wielu z Was być może dopiero zainspirowana tą historią, zacznie rozwijać ukryty dotąd wielki talent. Może za lat kilka będziecie najlepszymi polskimi hakerami.

Mam do Was tylko jedną prośbę. Działajcie tak aby, jak mawiała moja babcia „nikt przez Was nie płakał”. Nie szkodźcie a twórzcie! Nie burzcie a budujcie! I niech te budowle lśnią. Niech zawstydzają pysznych. Skromność odbierze swoją nagrodę.

W internecie jest tyle zła, że Wasza wiedza może wielu uratować przed nieszczęściem. Są przecież hakerzy zwalczający strony pedofilskie, czy inne złe intencje ludzkie. Będziecie mieli co robić całymi latami. Ale wiem, że każdy z Was znajdzie własną drogę. Słuchajcie swego serca...

Niektórzy z czytelników wciąż czekają na swą drugą połówkę...

Nie traćcie nadziei. Na świecie JEST człowiek Wam przeznaczony i Opatrzność POSTAWI Was wobec siebie. Tyle wiem. Wasze linie istnień przecięte w przyszłości. Zatem nie ma wśród Was nikogo, komu pisane jest nieszczęście i samotność.

Są ludzie, którzy w to przestali wierzyć. Ale to nic nie zmienia. Od tego nie zmieni się rzeczywistość... na szczęście. Gdyby ktoś z Was przestał wierzyć w fale radiowe, to czy one znikną? A jeśli ktoś z Was uwierzy w krasnoludki, to czy one się pojawią?

Na szczęście my jako ludzie, mamy tylko oczy, uszy, po dwie ręce i dwie nogi oraz głowę do rozumnego myślenia.

Wasza miłość albo Was czeka albo ją już minęliście. Jeśli ją minęliście to znajdziecie ją w pamięci! Wróćcie do tej chwili i nie łudźcie się „wymyślonym ideałem” którego nie ma. Gdy przyjdzie ten moment, poczujecie go wyraźnie. Nie bójcie się go przeoczyć. Ale gdy chwila nadejdzie, nie wahajcie się. Chwyć słuchawkę, wciśnij ENTER! Wyciągnij dłoń... Jeśli zaś ta chwila jest jeszcze przed Wami, to się na nią doczekacie!

Doczekacie i wiedźcie o tym nawet w chwilach wielkiego zwątpienia. Nawet

bezgranicznego. Bo wszystko właśnie ma swoje granice, prócz Miłości.

Miłości, która cierpliwa jest... wszystko przetrzyma i we wszystkim pokłada nadzieję.

Jeśliś gotów kochać... to przyjdzie wnet Twój czas.

„Tipsy”.

Obecnie „tradycyjni” operatorzy stacjonarni (nie VoIP), używają kilku głównych typów central cyfrowych. Centrale analogowe pracują już tylko jako centrale zakładowe i jest to już znikomy procent, jeśli nie promil.

Głównie używane przez operatorów stacjonarnych centrale to:

- Alcatel S-12J
- Alcatel OCB
- Lucent 5ESS
- Siemens EWSD
- centrale rodziny DGT

Jak rozpoznać centralę do której jesteśmy podłączeni, lub do której dzwонimy?

Wprawna osoba, poznaje je po dźwięku sygnału zgłoszenia czy wołania.

Najłatwiej jeśli chodzi o „własną” centralę, możemy poznać centralę Alcatel - S12J.

Na linii dołączonej do tej centrali (przynajmniej na obecnej wersji oprogramowania i przynajmniej u operatora TP S.A.) działa usługa wywoływana poprzez wybranie tonowo sekwencji:

*40# oraz *41#.

Po wybraniu tych znaków należy poczekać. Być może dostaniemy „koguta” czyli trójtonowy sygnał (kiedyś używany jako „nieosiągalności”). Nie odkładajmy słuchawki, bo ten sygnał zbyt często ludzie kojarzą z następującym zazwyczaj po nim komunikatem „nie ma takiego numeru”. Nie odkładajmy zatem słuchawki, gdyby „kogut” się pojawił i poczekajmy na właściwy komunikat.

Na centrali S-12J w TP S.A. przy obecnym oprogramowaniu, pierwsza sekwencja spowoduje odczytanie komunikatu rozpoczynającego się słowami „odczyt licznika”.

Bo *40# to właśnie usługa „odczyt licznika”.

Zostanie nam odczytany „stan licznika”, ale nie pytajcie mnie „od kiedy”.

Nie jest on zerowany przy każdym nowym okresie rozliczeniowym.

Możemy za to pierwszego dnia nowego okresu rozliczeniowego, ranniem przed wykonaniem pierwszego połączenia, zanotować odczytany stan i potem w ciągu miesiąca śledzić ile „nabijamy” impulsów.

I tu ważna uwaga. Stan licznika jest w „impulsach” fachowo zwanych „jednostkami taryfikacyjnymi”.

Jeśli mamy inny niż „impulsowy” plan taryfowy (na przykład sekundowy) to stan

licznika jest... z kosmosu. Ponadto nie uwzględnia on „darmowych minut”, „darmowych wieczorów” i tym podobnych spraw, przez co szacowanie przyszłego rachunku na podstawie tego odczytu, jest możliwe tylko w przybliżeniu i to posiadając plan impulsowy bez żadnych „darmowości”.

Co więcej. Niektóre rozmowy, za które na rachunku de facto nie zapłacimy, mogą powiększać stan licznika. Za te rozmowy nie zapłacimy, bo postprocessingowy system billingowy, już poza centralą, wstawi tam „zero” impulsów za taką rozmowę.

Drugą usługą obarczoną tymi samymi wadami jest *41#, w zamyśle odczytującą ilość impulsów za „ostatnie płatne połączenie wychodzące”.

Warto o tym pamiętać, że chodzi o „ostatnie PŁATNE”. Bo po wykonaniu telefonu na bezpłatną Błękitną Linie czy darmowy numer 0-800 usłyszymy że „ostatnia rozmowa” ileś tam kosztowała. Chodzi o ostatnią płatną.

Tak więc w zasadzie, te dwie usługi wskażą nam tylko, o ile jesteśmy abonentami podłączonymi linią analogową do centrali TPSA, czy jest to centrala typu Alcatel S-12J.

Na innych centralach te kody albo spowodują otrzymanie zajętości, komunikatu „nie ma takiego numeru”, bądź jeszcze inne rezultaty, różne jednak od tych, jakie są na S-12J. Zaznaczam jednak wyraźnie, że kody te działają przy obecnym oprogramowaniu tych central.

Nie można mieć pewności, czy operator kiedyś nie wyłączy dostępu do tych usług.

Przy okazji chcę wyjaśnić sprawę numerów testowych, jak na przykład osławiony numer 974. Otóż TP S.A. już jakiś czas temu, wyłączyła na wszystkich swoich centralach, dostęp do takich numerów. One już nie działają.

Na centralach innych typów, były podobnie działające, lecz inne numery.

Czasem różniły się nawet na centralach tego samego typu, ale występujących w różnych miejscach kraju.

Jak rozpoznać, czy jesteśmy podłączeni do centrali Lucent 5ESS?

Jeśli jesteśmy podłączeni linią analogową (nie ISDN), to dysponując aparatem telefonicznym zdolnym do szybkiego reagowania na działania użytkownika (niektóre bezprzewodowe czy też telefaksy „wiedzą lepiej” i na przykład nie da się nimi tego wykonać) możemy to sprawdzić.

Otóż musimy podnieść słuchawkę i... cyklicznie rozłączać się, znów brać linię do pracy i gdy tylko usłyszymy sygnał, znów kłaść, by za chwilę znów podnieść.

Tu wymagana jest wprawa, no i właśnie dobry aparat. Podnosimy palec z widełek i gdy tylko usłyszymy sygnał, natychmiast palcem znów wciskamy widełki. Znów podnosimy, ale nie za szybko. Zbyt szybkie wciśnięcie i podniesienie widełek zostanie odebrane jako wybranie dekadowo czyli impulsowo (pulsowo) cyfry 1. Bo wybieranie dekadowe, to nic innego niż szybkie przerywanie obwodu linii, tyle razy jaką cyfrę wybraliśmy.

Czyli widełki musimy chwilę, ale nie za długo, przytrzymać wciśnięte, by po podniesieniu nie było ciszy. Cisza by była, jak byśmy wybrali cyfrę jeden, zbyt szybko podnosząc palec z widełek. Ma być znów tylko sygnał. Tu mała dygresja. Mając taki aparat możemy pobawić się w ćwiczenie refleksu. Na przykład trzy krótkie kłapnięcia

to wybranie cyfry 3. Osiem kłapięć to cyfra 8 a 10 kłapięć to cyfra zero. Możemy zrobić test. Przełączmy aparat w system wybierania pulsowego i po podniesieniu słuchawki kłapijmy raz w widełki. Teraz z klawiatury wybierzmy 18913. Dodzwonimy się pod Biuro Numerów 118913. Pierwsze kłapięcie to była cyfra 1. Możemy też po podniesieniu słuchawki kłapać szybko dwa razy, chwilę odczekać i znów kłapać dwa razy. Mamy wybrane pulsowo 22. Teraz wybierzmy z klawiatury na przykład jakiś warszawski numer a połączymy się z nim.

Pamiętajmy, że kłapiąc w widełki, powodujemy że dalsze cyfry też muszą już iść impulsowo i dlatego trzeba wcześniej przełączyć aparat na tryb wybierania pulsowego.

Gdy zaimpulsujemy widełkami... 11 razy lub więcej, to od razu dostaniemy komunikat „nie ma takiego numeru”.

Niestety takie próby są możliwe tylko na niektórych aparatach i to wyłącznie przewodowych. Najlepiej takich, które nie wymagają zasilania z sieci energetycznej. Czyli faksy oraz telefony bezprzewodowe odpadają. Należy też pamiętać iż próby te trzeba wykonywać mając zwykłą kablową linię analogową. Mając terminal radiodostępu, możemy wybierać cyfry, czasem wyłącznie tonowo.

Teraz wracam do rozpoznania centrali 5ESS. Otóż musimy kłapać tak, aby po każdym podniesieniu palca z widełek pojawiał się sygnał, ale gdy już go na ułamek sekundy usłyszymy, to znów wciskamy widełki. Chwila, ale nie za długa, przerwy i znów podnosimy. Niech tak z sekundę widełki będą wciśnięte.

Gdy dojdziemy do wprawy i kłapiemy tak kilkadziesiąt razy to centrala Lucent 5ESS... wyłączy nam na kilka minut napięcie na linii. Odetnie nam telefon. Na linii nie będzie żadnego napięcia, ani nie wystąpi żaden sygnał. Mierzona omomierzem linia (jeśli sprawna) wykaże rezystancję bliską nieskończoności. Po prostu przerwa w obwodzie. Oczywiście MegaOmomierz, do mierzenia izolacji, wykaże rezystancję izolacji o ile swym wysokim napięciem by nie uszkodził wyposażenia centrali.

W każdym bądź razie tylko Lucent 5ESS w takim wypadku, na kilka minut wyłączy nam telefon. Dzwoniący usłyszą że „linia abonencka uszkodzona”, lub inny komunikat zależny od centrali dzwoniącego. Na telefonach komórkowych sieci Plus, zobaczymy napis „błąd w połączeniu” tak jak przy zaparkowanej linii.

Po paru minutach zostawienia linii w spokoju – centrala ją ponownie automatycznie włączy.

Po tym poznamy że jesteśmy dołączeni do Lucenta 5ESS.

Apropos parkowania linii.

Po podniesieniu słuchawki, centrale przez pewien czas emitują ciągły sygnał zgłoszenia. Gdy nie wybierzemy żadnej cyfry, to centrala rzuci nas na zajętość, zwalniając zasoby rejestrowe. Po drodze od ciągłego do zajętości, na S-12J będzie krótko komunikat „wybrany numer jest za krótki”. Na innych centralach, aby uzyskać taki komunikat, trzeba jakąś cyfrę jednak wybrać.

Ta zajętość też nie potrwa wiecznie. Po kilku minutach zalegnie cisza. To centrala „zaparkowała linię”, a dzwoniący otrzymają komunikat, jak opisany wyżej, przy rozpoznawaniu centrali 5ESS, czyli zależny od centrali dzwoniącego. Może to być i

coraz częściej jest „linia abonencka uszkodzona” albo „połączenie nie może być zrealizowane”. Może być „abonent czasowo niedostępny” czy „abonent czasowo wyłączony”.

Gdy dzwonimy do kogoś, kto odłożył na bok słuchawkę, aby mu nie przeszkadzano, to właśnie takie komunikaty usłyszą dzwoniący. W sieci Plus na telefonach komórkowych pojawi się napis „błąd w połączeniu”.

Centrale innych typów już nie tak łatwo rozpoznać.

Najlepiej rozpoznać po sygnale.

Siemens EWSD ma często, miękko narastający i opadający (chodzi o głośność) sygnał wołania.

Lucent 5ESS ma nieco „zaszumiony” sygnał, a Alcatel S-12 czysty ton.

Alcatel OCB i DGT mają obecnie bardzo podobne sygnały.

Ton jest podobny do tego z 5ESS ale zamiast „zaszumienia” jest „zabręczony” - dodana lekko brzęcząca składowa. Nieraz można odnieść odwrotnie wrażenie. Takie że to 5ESS jest „brzęczący” a DGT szumiący. OCB z reguły jest odbierane subiektywnie jako „brzęczące”.

Starsze wersje oprogramowania central DGT dawały jej charakterystyczny „niski” sygnał, o tonie 400 Hz, gdy obecnie spotyka się prawie wyłącznie 425 Hz.

Dodatkowo sygnał był taki trochę też jakby leciutko szumiący, albo jak z tuby. Coś jak „dzwoniące” brzmienie kiepskiej MP3-ki.

Sygnał był podobny do sygnału, nieistniejących już dziś w eksploatacji, central E-10A. Przykłady central z sygnałami do posłuchania:

Sygnał Alcatela S-12J o wspomnianym czystym tonie, można spotkać pod numerem odzewnika 22 639 70 99. Przy okazji, po kilku sygnałach odbierze odzewnik i będzie pisał naprzemiennie dwoma tonami aż się rozłączymy. Jest to numer badaniowy, ale nie zagwarantuję, że TPSA go po tej publikacji nie wyłączy. Nasze zadzwonienie na odzewnik nie powoduje niczyjej szkody, bo jest on z wielokrotnym dostępem. Łatwo sprawdzić. Zadzwonie na niego z jednego telefonu i niech piszczy tymi swymi tonami. Zadzwonie teraz, w czasie trwania połączenia, na ten sam numer z innego aparatu. Nie będzie zajęty. Odzewnik zgłosi się... ponownie. Jakby jego kopia. Zatem dzwoniąc na współczesne odzewniki, nie powodujemy ich zajmowania i są one nadal dostępne do celów badaniowych przez służby techniczne operatora.

Odzewnik, a wcześniej jeden sygnał wołania centrali Siemens EWSD, można posłuchać pod numerem 22 812 08 99.

Z kolei sygnał wołania Lucent 5ESS zakończony odebraniem przez odzewnik, można posłuchać pod numerem 22 834 02 99.

Najgorzej jest z centralą Alcatel OCB, bo akurat tam gdzie mieszkam i mieszkałem, było ich mało.

Proponuję znaleźć jakiś obsadzony numer pod zakresem 22 782 70 xx.

Tam usłyszymy sygnał wołania OCB.

Z kolei sygnały wołania central DGT są dwa.

Stary (ale nie taki zupełnie, jak stary oryginalny) sygnał wołania można znaleźć szukając obsadzonego numeru (a to będzie trudne na tej centrali) pod zakresem 58 587 88 xx. Nowy sygnał DGT jest prawie nie do odróżnienia od tego z Lucenta 5ESS i brzmi tak jak sygnał znalezionej przez Was obsadzonego abonenta pod numeracją 52 331 01 xx (tu też trudno o obsadzony numer – wiele xx to „nie ma takiego numeru”).

Warto wspomnieć, że cały system radiodostępów G4F (GSM4F czy też GSM For Fixed) czyli telefonów stacjonarnych TP S.A. zakładanych tam, gdzie nie ma możliwości założenia telefonu przewodowego, opiera się o radiowy dostęp do sieci GSM operatora Orange, którego TP S.A. jest właścicielem. System radiodostępów oparty jest na centralach wyprodukowanych przez polską firmę DGT, na potrzeby sprzężenia sieci stacjonarnej TP S.A. z siecią GSM.

Te specjalistyczne centrale, oznaczane skrótem DSC wyprodukowała właśnie Gdańska firma DGT i mają one brzmienie „nowych” central DGT. Są więc prawie nie do odróżnienia od sygnału centrali Lucent 5ESS.

Jeśli chodzi o systemy radiodostępów, to operatorzy stacjonarni wykorzystują kilka ich typów.

Na terenach miast, a także na przedmieściach dużych miast, korzysta się z systemów opartych o zakresy mikrofalowe w pasmach 3,4 lub 5,7 GHz.

Do takich systemów zalicza się na przykład system AirLoop Lucenta.

Umożliwia on nawet „radiowe podłączenie” zakończenia ISDN.

Systemy te charakteryzują się specyficznymi antenami, na dachach u abonentów. Z reguły są to białe prostokąty. Czasem systemy wykorzystujące mikrofały, objawiają się posiadaniem przez abonentów na swych dachach anten w kształcie rury skierowanej w stronę stacji bazowej. W rurze bywa umieszczona antena kierunkowa Yagi, ale słyszałem też opinię o używaniu polaryzacji kołowej i umieszczaniu w rurze anten helikalnych pracujących w tej właśnie polaryzacji.

Systemy mikrofalowe wymagają bezpośredniej widoczności optycznej anteny u abonenta z anteną w stacji bazowej, a więc właśnie używane są w pobliżu wielkich miast, gdzie łatwo o lokalizację stacji bazowej na wieżowcu, kominie lokalnej ciepłowni, czy innych miejscach górujących nad okolicą.

Dla wsi i małych miasteczek przeznaczony jest wspomniany system, oparty o sieć GSM operatora Orange.

Abonent TP S.A. dostaje terminal i zakłada mu się z reguły zewnętrzną anteną różnego typu, w zależności od siły sygnału. Albo jest to pojedynczy dipol w szarej obudowie z tworzywa sztucznego, przypominający położoną bokiem literę T, albo montuje się mu antenę kierunkową Yagi, w białej plastikowej obudowie, przypominającej płetwę.

Bywały przypadki montowania u abonentów (sic!) anten sektorowych, stosowanych w stacjach bazowych BTS, w sytuacjach gdy poziom sygnału był bardzo niski.

W trakcie pisania tej książki, istnieją jeszcze radiodostępy oparte o starą analogową sieć komórkową NMT, pracującą w paśmie 450 MHz.

Abonenci radiodostępów tego typu są sukcesywnie przełączani na radiodostępy typu G4F, a sieć NMT ma zostać wkrótce wyłączona. Już Orange ograniczył pasmo wykorzystywane przez tę sieć i uruchomił na razie jeden kanał CDMA, oferując radiowy, stabilny dostęp do internetu, w miejscach bez optycznej widoczności anten.

Sieć NMT ma być wyłączona po zmigrowaniu wszystkich radiodostępów oraz po wypowiedzeniu umów upartemu tysiącu abonentów komórkowych NMT. Wśród nich są głównie ludzie pracujący w Bieszczadach (gdzie też nie wszędzie jest sygnał NMT, ale łatwiej o niego, niż o sygnał jakiegokolwiek innej sieci komórkowej) oraz szyprowie kutrów, którzy mają bardzo dobry zasięg tego typu telefonów na morzu. I nie jest to zasięg ograniczony technologią, jak w przypadku GSM, gdzie z powodu wykorzystywania technologii TDMA, zasięg nie przekracza 70 kilometrów. Powyżej tej odległości, opóźnienie sygnału radiowego powoduje, że abonent nie zdąża „dolecieć” w czasie swojej szczeliny czasowej jaką przydzielił BTS.

TP S.A. używa jeszcze jednego systemu radiowego.

Jest to system RSŁA 160 pracujący w zakresie 160 MHz.

Tak jak wygaszany system NMT, głos jest tu transmitowany analogowo i nie zapewnia poufności rozmów. Podслуchać można za pomocą taniego „skanera” czyli odbiornika radiokomunikacyjnego, pracującego w szerokim zakresie częstotliwości.

Ponadto zarówno system NMT jak i RSŁA, są podatne na nieuprawnione użycie naszego numeru przez pirata. Mimo pewnych zabezpieczeń, w obu systemach można zatelefonować na koszt abonenta. Co ciekawe, w systemie NMT dotyczy to tylko abonentów radiodostępowych, a nie tych pozostałych, komórkowych.

System RSŁA używa zakresu od abonenta do stacji bazowej: 164,050 do 164,350 MHz a w kierunku odwrotnym 169,800 do 170,100 MHz. Odstęp kanału nadawczego od odbiorczego wynosi 5,75 MHz.

System NMT po jego „okrojeniu”, używa zakresu od abonenta do stacji bazowej : 452,525 do 455,175 MHz oraz od stacji bazowej do abonenta 462,525 do 465,175 MHz.

Moce terminali abonenckich NMT oraz RSŁA wynoszą do 2 Watów mocy wyjściowej.

W przypadku starszych wersji systemu RSŁA, moc ta bywała mniejsza i wynosiła nawet pół Wata, zarówno po stronie abonenta jak i centrali.

Oba analogowe systemy używają anten kierunkowych Yagi, przy czym system NMT pracuje w trybie punkt – wiele punktów i używa wyłącznie polaryzacji pionowej, a system RSŁA pracuje w trybie punkt-punkt i używa obu polaryzacji.

O tym jak się chronić przed zagrożeniami czyhającymi na abonenta ze strony pajączarzy czy operatorów, można przeczytać w Poradniku Abonenta pod adresem internetowym <http://varitronic.webpark.pl>